

ROK I

NR 2

PRZEGLĄD HISTORYCZNO - OŚWIATOWY

KWARTALNIK
POŚWIĘCONY BADANIOM DZIEJÓW,
OŚWIATY I WYCHOWANIA W POLSCE

REDAKTOR
JAN HULEWICZ
PROF. UNIW. JAG.

WARSZAWA 1949
WYDAWCĄ: ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Nakład 3000 egz.
Papier drukarski 70x100 cm 70 g
Wydruk i druk w czerwcu 1949 r.
Składy Drukarni „Nasza Księgarnia” w Warszawie, Zam. 284.

Wydawca: Związek Nauczycielstwa Polskiego
Miejscowość: Warszawa
Data: 1949 r.

PAMIĘCI
NAUCZYCIELI, DZIAŁACZY OŚWIATOWYCH I PRACOWNIKÓW
NAUKOWYCH NA POLU PEDAGOGIKI

ZMARŁYCH
ZAMORDOWANYCH
ZAMĘCZONYCH PRZEZ WROGA W OBOZACH ŚMIERCI

W LATACH WOJNY
1939 — 1945

WSPOMNIENIA NINIEJSZE POSWIĘCA

ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA”

1
REDAKCJA PRZEGLĄDU HISTORYCZNO-OŚWIATOWEGO

3.

4.
Vacc.

PRZEDMOWA

Zebrałe w niniejszym zeszycie materiały biograficzne, zmarłych w okresie wojny nauczycieli i działaczy oświatowych, nie są kompletno i posiadają pewne luki. Brak nazwisk takich jak np., Henryk Sault, Bronisław Marzyn i wielu innych zasłużonych łucicowych działaczy nauczycielskich i oświatowych; niewyczerpująco też oświetlone zostały ich poglądy pedagogiczne i działalność. Traktując zeszyci niniejszy jako zbiór materiałów źródłowych, zgromadzonych przez Redakcję „Przeglądu Historyczno-Oświatowego” w latach 1945-47, Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” pragnie w najbliższej przyszłości przygotować II wydanie i prosi o nadsyłanie wszelkich materiałów, uwag i spostrzeżeń.

INSTYTUT WYDAWNICZY
„NASZA KSIĘGARNIA”

5.

6.
Vacat.

NIEZNANY NAUCZYCIEL

Tysiące nauczycieli szkół wszystkich typów zginęło w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej. Pamięć ich żyje najczęściej tylko wśród najbliższych im osób. Ujmujemy ich życie, ich pracę i walki w suchie, statystyczne liczby, spośród których trudno jest często dojrzeć człowieka. Rzeczą wprost niemożliwą byłoby zamieścić w „Przeglądzie Historyczno-Oświatowym” sylwetki choćby tylko najwybitniejszych działaczy oświatowo-kulturalnych, którzy pracą całego życia i oddaniem życia zasłużyli sobie na pamięć wśród nas żyjących. I nie tylko to. Praca ich, walka o ideały, całe ich działanie to dzieje kultury polskiej, to również część historii Polski w ogóle.

Nie ma w Polsce powiatu, który pozostałby w spokoju na ten okrutny czas 6-letniej okupacji. Dziesiątkami nazwisk nauczycieli rozstrzelanych, zamęczonych w więzieniach, obozach jenieckich i obozach koncentracyjnych służyć może kolumna tej wojny.

Każdy też powiat w Polsce ma takich zapomnianych „nieznanych nauczycieli”, którzy w zapadłych, głuchych wieśkach, oddalonych dziesiątki kilometrów od miast i kolei, w najcięższych warunkach, niezauważeni, cieni i skromni dawali poważny wkład do ogólnego dorobku kultury narodowej. Tak było przed wojną i w jeszcze wyższym stopniu w czasie wojny. Sama tylko praca w szkole na wsi była najcenniejszym aktem samozaparcia, poświęcenia się i wyrzeczenia wielu ambicji i marzeń mających swe źródło w najszlachetniejszych pobudkach. A jeśli dodać do tego czynności kulturalno-oświatowe: zakładanie i prowadzenie bibliotek, organizowanie kursów dokształcających, kółek dramatycznych, chórów, wygłaszanie odczytów i wiele jeszcze innych prac — to obraz takiego i skromnego nauczyciela szkół powszechnych wyrasta wysoko ponad przeciętną miarę, jaką zwykle stosujemy do inteligencji polskiej. Zdawał sobie z tego sprawę okupant niemiecki i dlatego uderzenie w nauczycielstwo było szczególnie bolesne i dotkliwe.

Dzisiaj już często zapomina się o roli nauczyciela w okresie walki z okupantem. A przecież każdy bestronny i uważny obserwator w czasie

okupacji na wsi stwierdzić mógłby, że wszelka czynność nielegalna, każe się przejaw walki z najcięższą hitlerowakim i organizowanie ośrodków oporu, sabotaż, dywersja, tworzenie oddziałów bojowych — nie mogły się dokonać bez czynnej, często wybitnej i kierowniczej roli nauczyciela. I dlatego ginęli tak masowo. A jakie rozpamiętanie, że trudno jest znaleźć podobny przykład w dziejach Polski porobiorczej i na pewno nie będziemy zapomnieli twierdząc, że podobnego przykładu tajnej oświaty nie znajdziemy w historii innych narodów. Ale za to trzeba było płacić krwią i latami męki w obozach koncentracyjnych.

W jakiej więc formie najbardziej trafnej i najbardziej oddającej heroizm tych setek i tysięcy nauczycieli należałoby utrwalić ich pamięć?

Pomnik, mauzoleum czy też prosty i skromny, jak skromne było ich życie, grób *Niezanego Nauczyciela* miałby być wyrazem naszej pamięci, wciąż żywej i odnawianej z pokolenia w pokolenie? Nim to nastąpi, a może nigdy nie nastąpi, należy bodaj tym skromnym wspomnieniem ukazać pracę, walkę i śmierć tych wszystkich, skądkolwiek byli: z Podlasia, Kujaw, Pomorza, Śląska, Polesia, Wileńszczyzny, Krakowskiego — tych najskromniejszych ze skromnych — i w postaci jednej, symbolicznej, a przecież realnej i z prawdziwego zdarzenia, uczcić tysiące jej podobnych.

Nie trzeba zamykać ich życia w słowa pełne patosu i w zdania wyszukane, nie trzeba wiązać rymami, a tylko po prostu opowiedzieć historię jednego życia. Zwyczajnie i prawdziwie. Niceli będzie historią tych wszystkich nauczycieli niezauważonych i już często w ciewartym roku po ostatniej wojnie zapomnianych. Razić może będzie to wspomnienie brakiem barw i gorących tonów, brakiem „nadzwyczajności”, aczkolwiek pod grubym pokładem codzienności pulsować będzie bujne, ciekawe i płodne życie.

Wybieramy jedną postać, nie ze względu na jej wagę szczególną i nie dla wyróżnienia jej spośród innych, ale jedynie dlatego, że przeciwnością swoją symbolizuje w najlepszym sensie owe tysiące.

Florian Wigęek pracował w powiecie łukowskim. W powiecie, z którego można by wybrać parę dziesiątków nazwisk nauczycieli rozstrzelanych lub zamęczonych w obozach koncentracyjnych: Dachau, Mauthausen, Oświęcimiu, Sachsenhausen, Stutthofie i wielu innych. O każdym zresztą z powiatów w Polsce można by to samo powiedzieć, co o łukowskim. Można by poza Florianem Wigękiem, kierownikiem trzy-, a potem dwuklasowej szkoły we wsi Wnętrzna, oddalonej od Łukowa ponad 30

kilometrów, z równą rzeźnią pisał o zamordowanych w więzieniach i obozach nauczycielach: Józefie Capie, Adamie Kolodziej, Maksymilianie Madeju, Stefanie Dyle, Marianie Postowiczu, Józefie Kalinowskim, Stanisławie Poredzie, Samborskim, Wielgosku i wielu, wielu, których imię Legion.

Florian Wiącek urodził się w małej wiosecie Oziemkowie powiatu garwolińskiego w roku 1902 jako syn drobnego rolnika. Skończył kilka oddziałów szkoły powszechnej i następnie pomagał rodzinie przez dłuższy okres w gospodarstwie rolnym. Dopiero w 1921 r. sytuacja materialna w rodzinie Wiącków poprawiła się o tyle, że Florian wstąpił do seminarium nauczycielskiego w Siemnicy, które ukończył w roku 1926. Już w czasie nauki pracował wiele na kursach doszkalających dla młodzieży wiejskiej, zorganizowanych przez Benedykta Kubskiego. Po ukończeniu seminarium powołano go do wojska i dopiero w r. 1928 otrzymał posadę nauczyciela w Wólce Konopnej, w powiecie łukowskim, skąd przeniesiony został do wsi Wnętrzne. Tam się żenił, tam urodziła mu dziecko jedyne i tam Wiącek pracuje do końca życia. We Wnętrznem prowadzi bardzo czynną działalność oświatową. Sumienny w pracy szkolnej, drobniarzewy aż do przesady, gdy idzie o wykonanie zadania, nie oszczędzający się mimo choroby serca, zakłada bibliotekę dla młodzieży i dorosłych, prowadzi świetlicę, tworzy zespół teatralny i w małej, senniejszej, ukrytej wśród lasów wioszczynie budzi żywe zainteresowania i ukazuje szersze horyzonty.

Zdobywał zaufanie społeczeństwa okolicznego, a żywe zainteresowania sprawami gminy wyrażały się nie tylko działalnością w dziedzinie społeczno-oświatowej, ale i gospodarczej. Wybrany do Rady Gminnej i Zarządu, pełnił przez 5 lat obowiązki ławnika, inicjował rozbudowę szkolnictwa w gminie Mysłów, był referentem oświaty pozaszkolnej, której poświęcił wiele czasu i energii, i ustawicznie zajęty organizowaniem kursów i konferencji mało miał czasu dla siebie i rodziny. W roku 1937 wstąpił na Wolną Wszechnicę Polską w Warszawie, gdzie studiował w Sekcji Społeczno-Oświatowej, wybierając grupę: oświata i kultura. Nie przeczywał jednak łączności z terenem, przyjeżdżał bardzo często do Wnętrznego, interesując się pracą miejscowego koła młodzieży, bada i obserwuje rozwój pracy w kole absolwentów szkoły powszechnej w pobliskim Staninie (napisze potem pracę dyplomową na podstawie zebranych materiałów), odbywa praktykę w Szkole Przeprobończenia Rolniczego w Miętne, znajdując na wszystko czas i siły. Po ukończeniu studiów wraca do Wnętrznego, myśli jednak o większym warstwie, pragnie objąć stanowisko instruktora oświaty dorosłych w którymś z powiatów, ale wojna niweczy te zamiaty.

Od pierwszego dnia okupacji niemieckiej rozpoczął — jak wszyscy prawie nauczyciele powiatu łukowskiego, jak wszyscy prawie nauczyciele

w Polsce — upartą, zdecydowaną walkę z najeźdźcą. Nim jeszcze zorganizowano tajne nauczanie, prowadził samodzielnie wykłady historii i geografii (zabronione przez władze niemieckie), wstąpił do zespołu kierowniczego tajnego Zarządu Oddziału Powiatowego ZNP, a z początkiem r. 1940 objął w dwu gminach funkcję łącznika, a potem faktycznego kierownika w organizacji podziemnej. Głównie jednak tkwił w pracy oświatowej, tworzył zespoły tajnego nauczania, zabezpieczał biblioteczki, które miały być wydane okupantowi, utrzymywał kontakt z powiatowymi i wojewódzkimi ogniwami TON-u i nie wątpił, że okupacja, że zahamowanie oświaty to tylko stan przejściowy.

Miał dużo szczęścia w pracy. Z powiatu łukowskiego giną w obozach Adam Kolodziej, Stefan Dyl, Maksymilian Madej, Józef Cap, Marian Postowicz, giną koledy nauczyciele z sąsiednich powiatów. Wiąckowi udaje się przetrwać do kwietnia 1944 roku. Ginie w przededniu wyzwolenia.

Zona jego, Maria, tak o tym zawiadania w liście:

...Florek zginął 12 kwietnia 1944 roku. Rozstrzelali go Niemcy w Żelaznowie. Zabrali go z Oziemkowie, gdzie spędziłam święta Wielkanocne. Jedna grupa zandarmów była we Wnętrznem, a druga w Oziemkowie. Wzięli go rano o godzinie 5: tego samego dnia około 4 po południu rozstrzelali.

Na drugi dzień, nie wiedząc o niczym, pojechałam do Żelaznowa i w drodze dowiedziałam się o wszystkim. Postanowiłam odebrać zwłoki. Odradzano mi usilnie, żebym nie próbowała, gdyż komendant żandarmerii nigdy takich prób nie uważał. Uparłam się jednak i postanowiłam iść. Nie prosiłam, ale żądał wydania zwłok. Trzymałam się cały czas do przodu, ani jednej try u mnie nie zobaczono. Bez prób, bez uniżeń, patrzak komendantowi wyzywająco w oczy powtórzyłam trzy razy swe żądanie. Dwa razy odpowiedział twarde i bezwzględnie: nie. Za trzecim razem zawałił się, milczał długo, wreszcie dał pozwolenie.

Pogrzeb odbył się w Miaszkowie. Nie było placza, nie było też. Postanowiłam sobie i dotrzymałam. Nawet matkę Florika zdołałam przekonać, by przez miłość dla syna nie płakała, by nie okazała wrogowi słabości.

Na cmentarzu jego rodzina, krewni, przyjaciele i znajomi przylizali, hymn porzuciła trumnę otworzył. Chcieli go zobaczyć ostatni raz. Kazalnemu tłumowi otworzył, ale przedtem zapowiedziałam, by nim nie powalił się płakać. Rezygnując, ale przedtem zapowiedziałam, by nim nie powalił się płakać. Rezygnując, ale przedtem zapowiedziałam, by nim nie powalił się płakać. Rezygnując, ale przedtem zapowiedziałam, by nim nie powalił się płakać.

Pracuję tutaj od 1 września 1944. Nie mam domu, nie mam rodziny. Została mi szkoła.

To nie jest historia żywota. To dzieje tysięcy i tysiące Florianów i Maryj Więcków, tych dziwnych ludzi, których zawsze cechowały bezinteresowność, szlachetność i stopienie się bez reszty z ideą niesienia oświaty.

Oni stoją u podstaw, u fundamentów tego wielkiego gmachu wiedzy i sztuki, który nazywa się kulturą narodową. A jeśli uratują poprzez swój szary żywot i nieopłakiwaną śmierć do miary posągów, to są świadectwem wartości narodu i słusznym powodem naszej wdzięczności i dumy.

Stanisław Brzozowski

TADEUSZ ADAMCZYK

(1893 — 1944)

Tadeusz Adamczyk, kurator okręgu szkolnego woiłyńskiego w chwili wybuchu wojny w r. 1939, pracował głównie na siemisz zachodnich, w gimnazjach Gdańska i Poznania.

Urodzony 6 marca 1893 w Sanoku, ukończył studia polonistyczne na uniwersytecie lwowskim. Pracował w gimnazjach w Inowrocławiu, w Gimnazjum im. Batorego w Warszawie, a w r. 1928 przybył do polskiego Gimnazjum Macierzy Szkolnej w Gdańsku. Po kilkuletniej pracy w gimnazjum gdańskim, przerwaną dłuższą podróżą naukową, w czasie której studiował organizację, podstawy i kierunki szkolnictwa szwajcarskiego, francuskiego i niemieckiego, przeszedł się dr Adamczyk na stanowisko dyrektora Gimnazjum im. Marcinkowskiego w Poznaniu. Powołany w kilka lat później na stanowisko wizytatora ministerialnego do Warszawy, mianowany został w czerwcu 1939 r. kuratorem okręgu szkolnego woiłyńskiego. Działalność jego na tym stanowisku przerwała szybko wojna. Zginął dnia 5 sierpnia 1944 rozstrzelany przez Niemców w Warszawie.

Tadeusz Adamczyk był pięknym typem nauczyciela, który w całej pełni rozumiał i czuł, że szkoła nie powinna i nie może być dla ucznia tylko urzędem czy obozem przymusowej pracy. Że, przeciwnie, powinna być dla niego środowiskiem, gdzie nie tylko uczy się myśleć i pracować, ale także kochać pracę i smakować w myśleniu. Środowiskiem, wreszcie, gdzie uczy się wychodzić z wartościowego wprawdzie i pięknego, ale ciemnego środowiska rodziny, być we wspólności ludzkiej gromady i pracując z nią i dla niej rezygnować z wybujałych pretensyj własnej osobowości. Dr Adamczyk, osobiście niezwykle spokojny, kulturalny, taktowny i miły, wnosił wszystkie te wartości do środowiska szkolnego: był nie tylko najbliższym kolegą w Gronie, ale również miłym nauczycielem dla uczniów, nie tracąc przy tym nic z koniecznego w szkole autorytetu.

Gdy polskie Gimnazjum Macierzy Szkolnej w Gdańsku pod dyktando Jana Augustyńskiego poszukiwało dobrego polonisty i wychowawcy młodzieży w ówczesnym bardzo trudnym środowisku, wybór padł na Adamczyka. Mimo sprzeciwów dyrektora Gimnazjum Batorego Ministerstwo WR i OP zdecydowało powołanie Adamczyka do Gdańska w 1928 r. Tam pozostał do 1935 r. Całą duszą oddany młodzieży, oddał się na nią swą wybitną osobowością niezwykle silnie; wychowuje ją skutecznie w duchu na wskroś polskim niwelując wpływy dawnej niemieckiej szkoły oraz oddziaływanie niemieckiego środowiska gdańskiego wrogo do Polaków nastawionego. Dzięki m. in. i jego intensywnej pracy wychowawczej atmosfera szkoły zmieniła się stopniowo na lepszą, gimnazjum stało się żywo pulsującym ogniskiem polskości i promieniowało na zewnątrz na całą tamtejszą Polskę. Właśnie dr Adamczyk przez dwa lata prowadził z ramienia Rady Pedagogicznej referat wychowawczy w szkole, którego działalność objęta była młodzieżą całego gimnazjum. W tym zakresie okazał bardzo wiele inicjatywy i dużo czasu poświęcił zagadnieniom wychowawczym. Mając wybitne nastawienie społeczne zorganizował kursy języka polskiego dla ludności tubylczej polskiej, dla której opracował specjalny podręcznik do nauki języka polskiego. Gdy zaś powstał w Gdańsku Związek Polaków, od razu zgłosił się w nim do pracy i prowadził jeden z wydziałów z doskonałymi wynikami. Przede wszystkim zaś, jak w ogóle wszyscy Polacy pracujący wówczas w Gdańsku, jest czynnym członkiem Polskiej Macierzy Szkolnej i bierze bardzo żywy udział w pracach Macierzy w dziale kulturalno-oświatowym (kursy dla dorosłych, świetlice, biblioteki, czytelnictwo). Pragnąc przyczynić się do zespolenia wszystkich nauczycieli polskich na terenie Gdańska, współpracuje z innymi jako jeden z współwódców Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Gdy w 1935 r. zawakowało stanowisko dyrektora Państwowego Gimnazjum im. Marcinkowskiego w Poznaniu, ówczesne władze kuratorskie przeprowadziły powołanie go na ten odpowiedzialny posterunek mając pełne zaufanie do jego głębokiej wiedzy pedagogicznej, zdolności administracyjnych i jego wielkiego taktu. Istotnie nie zawiodł pokładanego w nim zaufania. Szybko dał się poznać jako jeden z najwybitniejszych dyrektorów w okręgu szkolnym poznańskim.

Z wielkim żalem żegnano go, gdy mianowany został wizytatorem okręgowym w Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego, a także gdy w 1937 r. opuścił na stałe Poznań powołany na stanowisko ministerialnego wizytatora w wydziale wychowania w Ministerstwie WR i OP. Tu z całą energią i zapałem opracowywał programy wychowawcze, współpracował z wydziałem programowym nad programami dla poszczególnej kategorii szkół. Wszędzie wnosił bardzo wiele pomysłów i wiele

okazywał inicjatywy mające na widoku sprawę jak najlepszego, wręcz stronnego ukształtowania przyszłego obywatela Polski. Gdy sprawy pracy, sposobienia wojskowego nabrały i na wielką skalę postanowiono reorganizować w szkołach PW, dr Adamczyk i jako pedagog, i jako były oficer WP żywo współpracował z władzami wojskowymi w układaniu programów PW męskiego i żeńskiego, które dla szkół miały się stać obowiązującymi.

W marcu r. 1939, a więc nieomal przed wybuchem drugiej wojny światowej, zamianowany został kuratorem okręgu szkolnego wulgińskiego.

W czerwcu r. 1940 powrócił poprzez Lwów i Przemysł do Warszawy. Bardzo czynny i żywy udział wziął od samego początku w pracach konspiracyjnych wojskowych i oświatowych. Należąc do grona osób przygotowujących organizację szkolnictwa na terenie Prus Wschodnich, przewidziany tam na stanowisko kuratora szkolnego, przeprowadza gruntowne studia nad tym terenem, zbiera materiały, odbywa zebrania, wyszukuje odpowiednich ludzi na różne stanowiska, pracując organizację szkolnictwa oraz oświaty dla dorosłych z uwzględnieniem potrzeb Masurów i Warmiaków. Pracy tej oddaje się jak zwykle z wielkim zapałem, znajdując w niej zapomnienia o ciężkich troskach materialnych i kłopotach związanych z chorobą i śmiercią umiłowanej żony.

Brał poza tym czynny udział jako znający dobrze ziemie zachodnie w pracach Biura Szkolnego Ziemi Zachodnich związanego z podzielnym departamentem O. K. Był przewodniczącym komisji wychowania, która pod jego kierunkiem opracowała szczegółowy program wychowawczy młodzieży polskiej w okresie powojennym z uwzględnieniem Ziemi Odrykańskich.

W czasie powstania warszawskiego pozostał w stolicy. Dom, w którym mieszkał, znajdował się na linii frontu i od początku był w rękach Niemców. W pierwszych dniach sierpnia 1944 wyprowadzony z domu przez właścicieli, żołdaków zostających na żołdzie niemieckim, dostaje się do siedziby gestapo w gmachu Ministerstwa WR i OP, skąd w czasie powstania prawie nikt żywy nie wyszedł. Zginął, jak wielu szlachetnych i dzielnych Polaków.

Adamczyk był człowiekiem niewątpliwie wybitnym. Szlachetny w każdym calu, rzetelny i uczciwy, o niepodważalnym charakterze. Wrogów nie miał, wszystkich szedł sobie pełną godnością i miłą postawą, ludzkim podejściem do wszystkich, dobrocią, uczynnością i niezwykłym taktem. Życza przysiąc, że otoczenie swoje czerpał każdym swym wystąpieniem. Przygotowany do zawodu bardzo dobrze, swą wiedzą pedagogiczną

wybitnie pogłębił w czasie studiów w Szwajcarii (w Genewie), dokąd wyjechał na cały rok jako stypendysta Ministerstwa WR i OP. Tam się zapoznał z najważniejszymi kierunkami pedagogicznymi oraz z organizacją szkolnictwa szwajcarskiego, francuskiego i niemieckiego. Z tego skarbcza w swym wnętrzu zgromadzonego czerpał potem szeroki gmach i boję szafował ku polityce polskiej szkoły, polskiego nauczyciela i polskiej młodzieży. Zawsze czynny, energiczny i bardzo pracowity, osiągał duże rezultaty swej pracy prowadzonej z myślą o realizacji wielkich i głęboko odczuwanych, i przez siebie zrozumiałych ideałów.

Szkolnictwo i administracja szkolna poniosły bardzo dotkliwą stratę zważywszy, że zginął w sile wieku.

Michał Pollak

ZENON ALEKSANDROWICZ¹⁾

(1885 — 1946)

Urodził się dnia 23 czerwca 1885 r. we Lwowie, gdzie też spędził lata młodości, kształcąc się w latach 1897 — 1904 w państwowym gimnazjum III, a po złożeniu w r. 1904 egzaminu dojrzałości — na Uniwersytecie J. K. w latach 1904/5 — 1908/9 — oraz (przez jedno półrocze) na wydziale prawa, następnie zaś na wydziale filozoficznym, gdzie poświęcał się studiom języka i literatury polskiej oraz historii. Zainteresowany nowszą literaturą polską pracował pod kierunkiem prof. Józefa Kallenbacha, kolegując na ławie uniwersyteckiej z przyszłymi wybitnymi badaczami literatury: Julianem Kleinerem oraz Stanisławem i Zygmuntem Łempickimi. Użytkowawszy w r. 1909 absolutorium objął posadę zastępcy nauczyciela w gimn. V we Lwowie, na której pozostał do końca r. szk. 1911/12 przygotowując się pod wytrawnym kierunkiem dyrektora Józefa Nogaja do pracy w zawodzie nauczycielskim. W jesieni 1912 r. porzucił jednak posadę szkolną i zapisał się ponownie na uniwersytet, był w latach 1912/13 — 1913/14 kontynuować przerwane studia prawnicze. Nie miał ich wszakże dokończyć, gdyż wybuch wojny w r. 1914 skazał go, jako rezerwistę, na kilkoletnią tułaczkę po różnych frontach walczącej Austrii, gdy zaś po skończonej wojnie powrócił do odrodzonej Polski,

¹⁾ Przy pisaniu niniejszych wspomnień korzystałem z informacji, jakimi mi chętnie udzielił p. H. Aleksandrowiczowa, p. prof. Jan Pińszewski oraz uczeń śp. Zenoniego p. Tadeusz Hücker. Za okazaną mi łaskawie pomoc wszystkim im serdecznie dziękuję.

nie było już sposobności do kończenia studiów prawniczych, konieczność bowiem szukania pracy zarobkowej zmuszała go do powrotu do służby nauczycielskiej, którą też znalazł w zorganizowanym podówczas gimnazjum w Borysławiu. Decyzję tę gwałcił s ciężkim sercem, jakkolwiek bowiem ten pobyt na prowincji miał mu zapewnić lepsze warunki materialne, to jednak odsuwał go od wielkomiejskich ośrodków kulturalnych i od warunków pracy naukowej, do której garnął się wówczas z wielkim zapalem. Tymczasem jednak znalazł w tym prowincjonalnym gimnazjum nie tylko lepsze warunki materialne, ale też wyjątkowo dobrą atmosferę kulturalną, szkoła bowiem potrafiła pożytkować dla siebie wartościowe siły nauczycielskie, które nadawały jej ton i kształtowały jej charakter. Dość powiedzieć, że do grona nauczycielskiego ówczesnego gimnazjum borysławskiego należał pracownik naukowy tej miary, co Stanisław Lempicki, a dyrektorem szkoły był wytrawny pedagog i wzdolniony badacz literatury polskiej dr Zygmunt Gerstman. Nie było więc źle młodemu nauczycielowi w tym prowincjonalnym gimnazjum, skoro jeszcze po latach wielu wspominał zawsze jak najlepiej borysławskie czasy, a szkoła również długo pamiętała cichego, skromnego nauczyciela, który wniósł do niej nie tylko zasób solidnej wiedzy, ale też dużo dobrej iniejażywy, przede wszystkim zaś wielkie zalety serca i charakteru. Czasy borysławskie nie były dlań bynajmniej szkołą nauczania i wychowania, gdyż lata spędzone w lwowskim gimnazjum V dały mu solidne podstawy do pracy w zawodzie nauczycielskim. Były natomiast czasy borysławskie okresem wyzwalania się jego indywidualności nauczycielskiej i krystalizowania własnych poglądów na zagadnienia nauczania i wychowania, co sam w latach późniejszych często stwierdzał. Odsunięty na prowincji od warunków pracy naukowej, zwraca się ku rozważaniu zagadnień dydaktycznych i wychowawczych, jakie nasuwa mu codzienna praktyka szkolna, a zwłaszcza, pozbawiona atrakcyj atmosfery środowiska sprzyja wydatnie takim rozważaniom odpowiadającym jego refleksyjnej, analitycznej umysłowości, obecność zaś w gronie nauczycielskim świetnych kolegów umożliwia wymianę poglądów i utrwalanie ich w ogniu ożywionych dyskusyj. Mimo wszystko jednak czeka tylko na sposobność, by wrócić do Lwowa. Początkowo uczy w latach 1921 — 1923 na kursach wojskowych, organizowanych wówczas przez D. O. K. Lwów dla niepełnowojskowych, następnie zaś w latach 1923 — 1926 w seminarium nauczycielskim ścisłym, a w latach 1926 — 1928 w seminarium nauczycielskim męskim, wreszcie w r. 1928 otrzymuje posadę w szkole ekonomiczno-handlowej, przekształconej w r. 1938 na gimnazjum handlowe męskie, gdzie uczy aż do wybuchu wojny w 1939 r.

Nie ogranicza się jednak do pracy zawodowej jedynie, ale mimo nadmiaru zajęć rozwija ożywioną działalność naukową i literacką. Interesuje się wówczas żywo najnowszą poezją polską i ogłasza o niej artykuł informacyjny w „Przeglądzie Katechetycznym”, niebawem zaś obszerniejszy szkic, drukowany w r. 1921 w „Gazecie Lwowskiej” oraz wydany w osobnej odbitce pt.: „Skamander wilaną lini falą”. Zajęcie się współczesną poezją polską miało swe źródło nie tylko w fachowych zainteresowaniach polonistyczno-literackich, ale też w jego własnej twórczości poetyckiej, której się wówczas oddawał drukując swe wiersze w dziennikach lwowskich. Były to liryki refleksyjne, w których wypowiadał się w oryginalnej nowoczesnej formie. Wiersze te rozproszone po niedostępnym dziś przezwaniu dziennikach wymykają się teraz spod dokładniejszej oceny. Drobną ich zresztą zaledwie część ujrzała światło na łamach prasy, większość natomiast pozostała w papierach, które zaginęły w czasie wojny. Do wierszy swych był szczerze przywiązany i niejednokrotnie ubolewał nad tym, że brak funduszy, trudność znalezienia chętnego wydawcy, przede wszystkim zaś żmudna praca zarobkowa nie pozwalają mu zebrać ich i przygotować do druku. Nie ogłosił więc wówczas zbioru swych wierszy, wydał natomiast opracowaną wspólnie z Kazimierzem Tysskowskim naukowo-popularną monografię o Stanisławie Żółkiewskim, która ukazała się nakładem Macierzy Polskiej. W ówczesnym lwowskim ruchu naukowo-literackim brał udział jako członek Wydziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza i w tym czasie ogłosił w organie Towarzystwa w „Pamiętniku Literackim” (rocznik XX z 1923 r.) trzy wnikliwe recenzje, świadczące zarówno o ścisłości i trafności jego metody krytycznej, jak też o szerokiej ekali jego zainteresowań naukowo-literackich. (Oceniał broszurę L. Skoczylasa: „O wzruszeniu lirycznym”, pracę Z. Lempickiego: „Zasadnicze problemy współczesnego językoznawstwa” oraz artykuł Stefana Bałeya: „Psychologiczne uwagi o gępcie poematu Słowackiego „W Szwajcarii.” Zwłaszcza w ocenie pracy St. Bałeya zaznacza się dobitnie jedna ze znamienitych cech jego umysłowości, a mianowicie spokojny i zrównoważony krytycyzm w stosunku do pobudzających często nadmiernie ogół modnych „nowinek”, do których w tym czasie należała psychoanaliza Freuda, nadużywana niejednokrotnie w badaniach nad dziełami sztuki, a zwłaszcza literatury.

Ow spokojny i zrównoważony krytycyzm ujawni się niebawem dobitnie również w jego ustosunkowaniu się do zagadnień programowo-dydaktycznych, które rozstrzygał podówczas nauczycielstwo w związku z wprowadzonymi przez Min. W. R. i O. P. nowymi programami nauczania.

Lwowscy nauczyciele języka polskiego omawiali nowe programy na posiedzeniach sekcji polonistycznej, która pod przewodnictwem znakomitego dydaktyka i zasłużonego badacza literatury dyrektora Konstantego Wojciechowskiego rozwijała wówczas szczególnie ożywioną działalność. Na posiedzeniach sekcji omawiano nowe programy i zalecane przez nie metody nauczania, a zwolennicy dawnych i nowych kierunków ściąrali się ze sobą w namiętnych dyskusjach, które przybrały na sile zwłaszcza przed I Ogólnopolskim Zjazdem Polonistów, zwołanym na 24 — 26 kwietnia 1924 r. do Warszawy, na który sekcja lwowska zgłosiła referat abiorowy, opracowany przez członków sekcji Z. Aleksandrowicza, J. Balickiego, R. Skuśkiego, J. Zaleskiego: „Program ministerialny nauki języka polskiego w szkole średniej w świetle dotychczasowej praktyki” (druk w „Museum”, Lwów, 1924 i w publikacji „Pamiętnik I Ogólnopolskiego Zjazdu Polonistów”, 1924). Aleksandrowicz, jak większość polonistów lwowskich, należał do zwolenników nowych programów i zalecanych przez nie metod nauczania, ale nie bez poważnych zastrzeżeń. Usnąjąc słusność ograniczenia materiału historyczno-literackiego, na rzecz szerszej potraktowanej i analitycznie pogłębionej lektury utworów literackich, uważał jednak konieczność przyswojenia młodzieży pewnego zasobu nieodzownych wiadomości historyczno-literackich dosmagając się uwzględnienia w ramach szkolnej nauki literatury również w pewnym zakresie wiadomości historyczno-kulturowych, które uważał, zwłaszcza przy omawianiu dawniejszych epok literatury, za nieodzowny czynnik w nauczaniu; w odniesieniu zaś do lektury szkolnej, jakkolwiek osobście był przeciwny w tym względzie zalecanej konieczności liczenia się przy tym przede wszystkim z możliwościami psychicznymi oraz rozwojem umysłowym młodzieży.

Podobnie umiarkowane stanowisko zajmował w odniesieniu do nowych metod nauczania, zwłaszcza zaś w stosunku do propagowanej wówczas (często nadmiernie) heurysty. Nie negując bynajmniej wysokich wartości heurystycznej formy nauczania zakreślał jednak jej stosowania w szkole pewne granice, poza którymi mogła się ona stać wręcz niebezpieczna. Nie rezygnował też, jak to wówczas było w modzie, ze stosowania w szkole formy akromatycznej, z tym wszakże zastrzeżeniem, że musi być stosowana z umiarem, w odpowiednim miejscu i nigdy nie może się stać jedyną i wyłączną formą nauczania języka i literatury w szkole. Poglądy teoretyczne, wypowiadane w referatach czy też dyskusjach popierał przekonująco żywym przykładem na organizowanych wówczas często lekcyjach pokazowych w szkołach lwowskich, w których brał udział już to jako nauczyciel prowadzący lekcje, już to jako członek Komisji zahierający głos w dyskusjach polekowych. Jego lekcje spotykały się zawsze

z gorącym uznaniem uczestników, były bowiem trafnym uzasadnieniem dyskutowanych podówczas żywo zgadnięć programowych i dydaktycznych. Wkrótce po zjeździe warszawskim ponownie lwowska sekcja polonistyczna doznała stratę na skutek śmierci jej niestrudzonego przewodniczącego K. Wojciechowskiego, który zmarł 16 lipca 1924. Wówczas groźno jego przyjaciół, uczniów i współpracowników postanowiono ogłosić drukiem niewydane jeszcze jego prace (przed wszystkim wykłady uniwersyteckie) względnie wnanie wyczerpane już wydania jego prac dawniejszych. Na pierwszy ogień poszło wznowienie doskonałej popularno-naukowej historii literatury pt.: „Dzieje literatury polskiej”, drukowanej pierwotnie w wydawnictwie zbiorowym: „Polska — opisy i obrazy” tom drugi, nakład Macierzy Polskiej, Lwów 1906, a wydanej obecnie w nowym opracowaniu dokonanym przez Z. Aleksandrowicza, St. Maykowskiego, Z. Szwedkowskiego i J. Zaleskiego pod redakcją J. Balickiego, poprzedzonym wstępem przez Ignacego Chruszowskiego (wyd. drugie, 1926 oraz wyd. trzecie, 1928). Aleksandrowicz opracował w wyd. drugim czasę od początków do końca XVII w. oraz rozdziały po Goszczyńskim do pozytywizmu, zaś w wyd. trzecim ponadto rozdział poświęcony literaturze najnowszej.

W r. 1927 zbliżył się Aleksandrowicz do wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie służyć pomocą i radą kierownictwu literackiemu wydawnictwa, w szczególności przy ocenie składanych do druku rękopisów. Niechcąc opracować z inicjatywą tegoż wydawnictwa dla przygotowywanego wówczas Becealnego podręcznika literatury polskiej A. Brücknera, J. Klejnera i in. (zwanego popularnie podręcznikiem 5 autorów) tomik wypisów z zakresu historii kultury, a w kilka lat później wspólnie z Szcz. Zimmerem przystosował do potrzeb gimnazjów kupieckich wydane przez „Ossolinum” podręczniki dla gimnazjów ogólnokształcących pt.: „Mówią wieki”. Wybuch wojny nie pozwolił dokończyć tej pracy, która ograniczyła się skutkiem tego do wydania podręczników dla dwóch klas gimnazjów kupieckich.

W czasie wojny pracował nadal w odpowiednio przekształconym gimnazjum kupieckim we Lwowie ucząc ponadto na kursach tajnego nauczania, a wreszcie w 10-letniej XVI szkole średniej. Wypadki wojenne, różnorodnie dotkliwe braki, ciężkie przeżycia psychiczne, ponadto wywołana przez zarobkowską i troska o syna jednynka, powołano do służby wojennej na froncie, nadwątliły jego siły z natury organizmu; gdy więc w styczniu 1945 r. zapadł na gripę, wycieńczony organizm nie miał dość sił odpornych, by się skutecznie przeciwstawić chorobie. Na domiar słoego, mimo nalegań lekarzy, nie przerwał pracy, „by uczniowie nie mieli braków”, ale uczył nadal w fatalnych warunkach, w nieopalonym lokalu, przez co się nabawił ciężkiej niedomogi serca. Dopiero w kwietniu na

skutek wysięku płucnego przestał chodzić do szkoły i oddał się Kuracji nie zrywając jednak kontaktu z młodzieżą. Gdy tylko stan zdrowia na to pozwalał, przyjmował uczniów w domu, przerabiając z nimi obowiązkowy materiał naukowy lub też wywalał piasny wykład do szkoły za pośrednictwem żony, która pracowała w tejże szkole jako higienistka. W ten sposób był czynny jako nauczyciel do ostatnich chwil życia. W lecie 1945 r. stan jego zdrowia uległ polepszeniu, tak iż zdawało się, że będzie mógł wyjechać do Polski, czego tak bardzo pragnął. Tymczasem w jesieni nastąpiło nagłe pogorszenie w stanie zdrowia, a choroba coraz gwałtowniej atakowała wycieńczony organizm. Cierząc zbliżający się koniec, rozdarał swą biblioteczkę i zmarł 23 marca 1946 r. przy zachowaniu pełnej przytomności, osierocając żonę i jedynego syna. Był rätowickim, rozdarowanym, skromnym, zamkniętym w sobie, jak gdyby pograżonym w rozważaniu iściej mirtującej go tajemnicy. Skromność ta nie wpływała jednak na chorobliwego poczucia niższości; miał bowiem pełną świadomość swej wartości, a przekonani swych bronili z całym zapalem i trwałą przyłością ze salachetnym uporem nawet wówczas, gdy wiedział, że to jego stanowisko mogło się nie podobać lub narazić go na poważne przykrości.

Skromność stała natomiast swe źródło w jego charakterze, przede wszystkim zaś w jego głęboko refleksyjnej naturze, której obecność była wszelką świadomością, poza i efekciarstwem, a której znamiennej cechą była szczerza prostota ujawniająca się zresztą w jego sposobie bycia, chociażby w struju niezmiennie ciemnym oraz w jego stosunkach z ludźmi. Uniknął gnień, wzrąży tłumnych zebrani, nowych znajomości, legną natomiast do nielicznego grona zaufanych przyjaciół ceniąc szczerą rozmowę, w której odkrywał prawdziwą głębię swego ducha zadziwiająco ścisłością rozumowania, trafnością sądu, bystrością spostrzeżeń, precyzyjnością w formułowaniu myśli, przede wszystkim zaś rozległością obejmowanych horyzontów, wynikającą z jego niepośpolitego wprost oczyszczenia i to w różnych dziedzinach, do których garzał się z jakąś namiętną i nie nasyconą wprost ciekawością. Skutkiem tego zaś miał oczy otwarte na różne zjawiska świata i życia i nie tylko rozumiał je należycie, ale miał też o nich wyrobiony trafny sąd własny. Dlatego też rozmowa z nim była prawdziwym przeżyciem, które potęgowało się zwłaszcza wówczas, gdy skrzyżowały się w niej zdania przeciwne. Wówczas zachodziły w nim dziwne zmiany — jego poważne, zazwyczaj cieniem smutku zamglone oczy gorzały, a spokojna, opanowana twarz opramieniała blaski pewności i przekonania. Nigdy jednak nie narzucał swego zdania przemocą, nie sadował się powierzchownym przysnaniem mu racji przez przeciwnika, ale dawał chętnie poulch obcym argumentom, co więcej, prowokował ich ujawnienie, rozważał je, konfrontował z własnymi i dopiero stwierdzwszy zrozumienie i uznanie dla swego stanowiska ustępował z placu. Dyskuje takie

były mistrzowskim pojedynkiem prowadzonym wedle przepisów i zasad rycerskiej walki. Miał bowiem zawsze głęboki szacunek dla cudzych przekonań i nie lekcewał ich nawet wówczas, gdy były mu wręcz przeciwnie, respektując po rycersku wszelkie przejawy cudzego trudu myślowego, co nie było jednak przejawem delikatności jedynie lub też dobrą formą towarzyskiego obcowania z ludźmi, ale co wynikało z najgłębszych pokładów jego natury, której znamiennej cechą było poszanowanie godności ludzkiej, a przecenione wprost poczucie sprawiedliwości oraz przeważnie na wszelką krzywdę czy to jednostkową, czy też społeczną. Toteż świadomość niesprawiedliwości czy krzywdy wywoływała w nim namiętny protest i wówczas ten zazwyczaj bardzo opanowany człowiek stawał się zdecydowanym bojownikiem. Z tego też poczucia sprawiedliwości wynikało u niego fanatyczne wprost umiłowanie prawdy, świadczące o głęboko etycznych pokładach jego osobowości. Był jej surowym rzecznikiem zarówno w pracy naukowej, jak zawodowej, jak wszędzie w stosunkach z ludźmi i dlatego też nie znosił zakłamania, obłudę, podstęp uznając zawsze i wszędzie jedynie uczciwą, prostą drogę postępowania.

Nie trzeba chyba uzasadniać, że człowiek o takich cechach charakteru musiał być doskonałym nauczycielem-wychowawcą. Był też nim latotnie nie tylko dzięki wiedzy i doświadczenia pedagogicznemu, ale przede wszystkim dzięki uwydatnionym cechom osobowości, znajdował w nich bowiem zawsze najtrafniejsze rozwiązanie najbardziej nawet zawitych zagadnień wychowawczych, jakie mu nasuwała praktyka szkolna, dla młodzieży zaś był żywym przykładem postępowania oraz wzorem owych życiowo najbardziej wartościowych cnót i zalet, których nie potrzebował teoretycznie uzasadniać. Krzewił je bowiem praktycznie dobrym przykładem własnej postawy życiowej oraz własnego postępowania oddziałując przez nie wychowawczo na młodzież. Nie był bynajmniej łatwy w pościeniu z ludźmi. Zamknięty w sobie, nie uwagastrzający się zbyt pochopnie, mógł na pierwszy rzut oka sprawiać wrażenie wyniosłego samotnika, odcobniającego się od otoczenia. Rychło jednak okazywało się, że jest wręcz przeciwnie. Otoczenie przekonywało się szybko, że owa rzekoma wyniosłość wynikała jedynie z niechęci do czułościowego a płytkiego stosunku do ludzi, i że ten samotnik nie zanyma się w kręgu „splendid isolation” z pogardy dla ludzi, jest bowiem szczerym społecznikiem, czującym głęboko po ludzku, rozumiejącym dobrze potrzeby człowieka, wyrozumiałym na jego braki, wrażliwym na jego krzywdy i domagającym się prawdy i sprawiedliwości. Odczuwali to i zrozumieli szybko uczniowie zmroczeni w pierwszej chwili nieco sztywną powagą niedostępnego, zda się, nauczyciela, tym bardziej jednak łgnący doń, skoro się przekonali, jak bardzo ludzkie i jak szeroko dostępne serce otwiera się przed nimi, ceniąc nie tylko jego doświadczenie życiowe i wiedzę, nie tylko jasną,

przystępne sposoby jej podawania, ale też głębokie zrozumienie, trafność oceny i sprawiedliwość, na której można było zawsze niezmiennie polegać. Dla tych też zalet cenili go również koleśdzy i przelotni, jakkolwiek nie miał naszyt wielu zaszytych przyjaciół wśród pierwszych i jakkolwiek nigdy nie unikał się przed drugim. Cenili go przede wszystkim dla zalet osobistych, dla tych cech prawdziwego człowieczeństwa, które tak niezmiennie ujawniały się w jego osobowości.

A że był szczerym, uczciwym i prawnym człowiekiem, szon jego okrzył zaletą nie tylko garstkę jego bliskich przyjaciół, ale też tych wszystkich, którzy zwłaszcza w obecnych czasach zdolni są ocenić dotkliwą stratę społeczną, spowodowaną ubytkiem wybitnej, zdolnej do pracy, prawdziwie twórczej jednostki.

Julian Baliński

WŁADYSŁAW ARCIMOWICZ
(1904 — 1942)

¹ Podczas okupacji niemieckiej zmarł w Wilnie w zupełnym zapomnieniu Władysław Arcimowicz, zdolny pedagog i literat, znany norwidzista wileński, profesor Pedagogium w Wilnie.

Urodził się w Wilnie w 1904 r. Pochodził z rodziny urzędniczej, prawosławnej, która szybko tu się zasymilowała. Kształcił się w mieście rodzinnym. Od dzieciństwa będąc sierotą miał bardzo trudne warunki materialne. Choroba w wieku młodzieńcym odebrała mu jedną nogę, toteż chodził z protezą. Ci, którzy go bliżej znali, sądzili, że niezmiernie tylko kuleje. Normalnie nie mógł ukończyć gimnazjum, toteż w wieku chłopięcym musiał ciężko pracować. W pierwszych latach wkręszczenia uniwersytetu w Wilnie zapisał się jako wolny słuchacz na wydział humanistyczny, później złożył egzamin maturalny jako ekstern i w 1931 r. uzyskał dyplom magistra polonistyki. W r. 1933 złożył egzamin doktorski. Studiował specjalnie literaturę polską. Był uczniem Stanisława Piłonia i Cywińskiego, toteż należał wraz z Zygmuntem Falkowekim do nielicznej grupy młodych norwidzistów wileńskich propagując niedawno odkrytą wielkość Cypriana Kamilla Norwida. W okresie akademickim, jako wybitnie zdolny poeta, redagował szereg różnych jednodniówek akademickiego Koła Polonistów U. S. B.: „Alma Mater”, „Pamięć po niebie” i in., w których zamieszczał swoje piękne wiersze, jak „Śnieg”, „Poeta”, „Roemnia” (poświęcona przez autora jego matce Justynie ze Śnieżaków Arcimowiczowej zmarłej na ochłódźwie w 1920 r.) itp. Obok licznych prac i rozpraw na temat poezji Norwida napisał w ciągu swego krótkiego życia wiele większych i mniejszych artykułów i felietonów dziennikarskich, wygłosił sporo pogadek literackich przed mikrofonem Pol-

skiego Radia w Wilnie. W r. 1933 w Kwietniowym numerze (7) „Włoczęgi” zamieścił z okazji 175-lecia prasy wileńskiej krótkie wspomnienie wykazujące żywe zainteresowanie dziejami piśmiennictwa wileńskiego. Mimo że bardzo często zasiłzał prasę wileńską swymi cennymi artykułami, zawodowo pracował jako nauczyciel, początkowo w szkole powołanej nr 5 na Zarzeczu, a następnie w Państwowym Pedagogium w Wilnie. Od r. 1934 do 1939 pod redakcją Wł. Arcimowicza wyszedł szereg politycznych broszurek stanowiących biblioteczkę poradni dydaktyczno-wychowawczej dla nauczycieli. Ukazywały się one co miesiąc nakładem Kuratorium Okręgu Szkolnego Wileńskiego w postaci dodatku do „Dziennika Urzędowego Kuratorium”.

W wyniku swoich badań nad wielkim artystą-myślicielem napisał obszerną pracę pt. „Cyprian Kamill Norwid na tle swego konfliktu z krytyką” (Wilno, 1935).

Jest to jedna z najobszerniejszych prac Wł. Arcimowicza. Zarysowuje on w niej historię Norwidowego „niezrozumiałwa” poprzez ewolucję jego twórczości. Wielką ilość przypisów i cytów z pierwszej ręki świadczy o solidnym oparciu naukowym, z jakim przystąpił autor do opracowania zagadnienia. Arcimowicz wykorzystał bardzo wiele różnych źródeł: rozległą korespondencję Norwida, współczesną publicystykę, pisma Klacki, Koźmianów i in. W literaturze o Norwidzie praca Arcimowicza ma swoją porcję jako zebranie i oświetlenie materiałów dotyczących stosunku krytyki do jego twórczości.

Pracę tę autor poświęcił pamięci swej matki i swej żony. Był nadzwyczaj silnie przywiązany do swej córki. Ostatnio doglądała ona chorego ojca w domu, a gdy stan się pogorszył, koleśdzy oddali go do szpitala przy Alei Róż, gdzie wkrótce zmarł dnia 9 maja 1942 r. na raka płuc. Pochowany został na cmentarzu Rossa. Zmarł w skrajnej nędzy, a ponieważ nie miał tu bliższych ani dalszych krewnych, więc 12-letnią córeczkę zaspichował się kolega po fachu, nauczyciel Pedagogium, artysta-malarz Józef Rodziński.

Aleksander Śnieżko

RUDOLF AURIGA
(† 1943)

Jeśli młody nauczyciel wchodząc w rydwan pracy zawodowej na terenie powiatu rzeszowskiego chciałby obrnąć sobie tarczę z wyrytym na niej nieskazitelnym wotem, to znalazłby ten wzór bez trudu w nim — Rudolfie Auriga.

Od zarania swej pracy był ojcem i troskliwym opiekunem nauczycieli, pedagogiem wielkiej miary, był niezachwianym bojownikiem w walce

o ideały demokratyczne. W postawie swej, zbilansowanej do idealizowania życia, bezinteresowny i zawsze skory do niesienia pomocy człowiekowi pracował cicho, nigdy nie szukając rozgłosu w społeczeństwie. Najchętniej po spełnieniu zadań uszał się nieznacznie w cień, pełen zadowolenia, że zamierzony wysiłek przyniósł pożądany efekt. Szedł z sercem do wszystkich, co żyją na świecie, zawsze szczodry w rady, zawsze gotowy ofiarować miłość ciętar, który mu życie na barki kładło. Jemu pełnię życia dawała możliwość służenia ludziom, którzy, zarażeni optymizmem, niejednokrotnie odwracali się od świata. W sercu jego należały szukać ożywczej krynicy, która otaczającym go moc czynienia dobra węszała w krew. Oto człowiek, który żył uskokrotnionym życiem, bo z kinkolwiek łęczył go los, tego życie potawał i wiewał w niego słowa mocy i wytrwania.

Takim był, gdy huragan wojny targnął Ojczyznę, będącą jego najdroższą miłością. I naderodł czas, że trzeba było nreki niewoli rozjarzyć żywym światłem, a ludziom pokazać na dłoni szers, co trwa wiecznie. Szedł Auriga odważnie między ludzi, wierząc w światło i godność tych, którym polecenia wydawał. Jego to dziełem było zmontowanie już w początkach 1940 r. Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury oraz nieco później koronkowej wprost siatki tajnego nauczania po wszystkich gminach powiatu rzeszowskiego. Trzeba było dużego wysiłku, oderwania się od trosk osobistych, serdecznego podjęcia do sprawy, by wyrósł plan chwalebny. Iść to konferencję zmontował w drewnianym niepokasnym domku w Rzeszowie przy ul. Moniuszki i później w szkole zawodowej, w salach gimnazjum żeńskiego, u siebie w mieszkaniu, wreszcie w szkołach i chałtach wiejskich. Bywały dni, że i dwudziestu pracowników tajnej oświaty zjeżdżało na konferencję informując o postępach pracy. Potrafił tejżej ogień rozplomienić w duszy wiarą w zwycięstwo sprawiedliwości. Wierny zasadom równości, umiał wnieść się ponad wszelkie klimaty polityczne. W pracy wychowawczej choździło mu o charakter człowieka i jego polskość. Wyraz tej zasadzie dali instruowani przez niego gminni mężowie zaufania, którzy akupiali w tajnych kompletach najróżnorodniejszą młodzież. Jeśli wszystkich Polaków zjednoczyła w czasie okupacji walka z wrogią siłą niemiecką, to młodzież naszą przede wszystkim segmentowała na śmiertelne i życie tajna oświata. Rosły komplety gimnazjalne, kursy dla dorosłych, kursy przedowników wiejskich. Jeździły komisje egzaminacyjne od wsi do wsi, często w nocy, często w ulęwe lub sawicję. Bywało, że i dom, w którym egzamin odbywał się, trzeba było ubospiczyć oddziałem do brzo uzbrojonych żołnierzy. Było i tak, że część chłopców zdawała egzamin, a druga część z bronią w ręce czuwała w krzakach ogrodzenia domostwa, by komisja nie „wpadła”. O tym pamiętać musiał on, Rudolf Auriga, przewodniczący powiatowej komisji. Zarządzenia tajnego kuratora Jana Śmolonia wykonywał z iście wojskowym poczuciem obowiązku.

Szczegółowe sprawozdania o sytuacji politycznej, gospodarczej, oświatowej wysyłał regularnie kurierem na ręce kuratora, a zachowanie ich w warunkach konspiracyjnych nie było sprawą łatwą.

Kiedy nadeszły komplety książek do bibliotek szkolnych, sam, służąc przykładem, roznosił paczki po wsiach okolicznych.

Przyszła jesień roku 1943. Tajne nauczanie przybrało rozmiary tak wielkie, że trzeba było w wielu wypadkach zmieniać miejsca kontaktowe, zmieniać „sale wykładowe”, tu i ówdzie daleczki zbyt wielkie komplety. Coraz częściej nasz wywiad wojskowy donosił o wypisywaniu meldunków konfidentów, które miały dotrzeć do Gestapo. Najczęściej były one trafne. Na jednej z konferencji ostrzeżono przewodniczącego, że są pewne dane, które pozwalają wnioskować o rozszyfrowaniu przez Niemców trójki powiatowej. Auriga wtedy cały ciętar pracy bierze na siebie chcąc zaszczędzić ludzi. Odprawy odbywa wprawdzie w różnych miejscach, ale z tą samą odwagą i zapalem, nie wypuszczając z ręk ani jednej nici wiążącej pracowników z nim. Ponad wszelką wątpliwość stwierdzić należało, że wtedy już Gestapo rozpracowywało sieć okręgu, jednakże sieci powiatowej i gminnych nie znało. Było jednakże w posiadaniu numeru asy-frowego powiatu owej tajemniczej „14”, jaką oznaczano Rzeszów. I to było bodźcem do śledzenia pracy oświatowej zwłaszcza czynników odgórnich, by sparaliżować z miejsca robotę. Pod koniec lata 1943 zasięga wywiad niemiecki u swych zaufanych osób coraz częściej informacji o wybitnych nauczycielach.

Rudolf Auriga utrzymuje w tym czasie bardzo żywy kontakt z wszystkimi szkolami w powiecie jako przewodniczący Komitetu Pomocy Nauczycielek. I zasadniczo ta sprawa naprowadziła Gestapo na drogi śledstwa. Kiedy każę mu się zgłosić pod pozorem zbadania księgi metryki szkolnej do gnaucha kuźni, ma możliwość ucieczki, jednakże poczucie odpowiedzialności nie pozwala mu na to, ma szerszą w sobie tyle mocy, że liczy na utrzymanie całego ciętaru. Śledstwo trwało całą noc, obfitowało w sceny makabryczne łącznie z wieszaniem na rżce, jednakże nie słamało ducha badanego. Zmaltretowanego wywieziono do Krakowa z innymi więźniami. Po dwóch tygodniach część ich zostającą przy życiu przetransportowano z powrotem. Znowu śledstwo, najzwyklejsze tortury i chęć wydobyć nazwisk. Trzeciego listopada 1943 wraz z dziewięcioma zakładnikami został rozstrzelany w Złotnikach w powiecie mieleckim.

Zginął człowiek, który tyle lat był krok od śmierci, który nie ulękł się jej, który testament zostawił przejasny, chwalebny i wicesysty, pisany własną krwią. Pokolenia gina, lecz drogowskaz zostaje i potomnym służy dalej. Drogowskazem dla wychowawców i młodzieży jest i będzie Rudolf Auriga.

Józef Rohloff

JAN AUGUSTYŃSKI

(1878 — 1943)

„naszym świętym obowiązkiem jest bronić tego, co pozostało w Gdańsku z dawnej polskiej pracy i polskiej tradycji... naszym obowiązkiem bronić przed wynarodowieniem stałych mieszkańców Wolnego Miasta — Polaków i ich dzieci”. Tak ujął cele i zadania Macierzy Szkolnej w Gdańsku, w jej walce o polską szkołę, jeden z wybitnych pedagogów i organizatorów polskiego szkolnictwa na terenie Gdańska lat 1920 — 1939, dyrektor Kazimierz Sołtyśk.

Piękną kartę w dziejach polskiego szkolnictwa posiada nauczycielstwo polskich szkół Wolnego Miasta Gdańska. Składali się nań ludzie wytrwali i zahartowani, o młodzieńczym zapale i wytrawności dojrzałych pedagogów, ludzie, dla których słowo głoszone w szkolnej sali miało wartość czynu, którzy żyli swym i śmiałością dali świadectwo prawdziwości i realizmu głoszonych przez siebie ideałów — miłości ojczyzny i ukończenia polskiego morza i polskiego Gdańska.

Niewielu z nich przetrwało noc okupacji wojennej. Razem ze swymi wychowankami, uczniami i absolwentami polskich szkół Gdańska ginęli od kul egzekucyjnych plutonów w lasach Piaśnicy czy placach Stutthofa, padli w obozach koncentracyjnych i więzieniach, padali na ulicach Warszawy...

Niepelna jeszcze lista ofiar. O wielu ślad zaginał zupełnie, o wielu zaledwie fragmentarycznie, niepewne krąg wieści. Rozstrzelani zostali: ks. Marian Górecki i dr Władysław Pniewski, profesorowie polskiego gimnazjum; Alf Liezmański i dr Szecepan Pilecki, profesorowie szkół handlowych; Kazimierz Sołtyśk, dyrektor szkoły średniej; Alojzy Mroczkowski, nauczyciel szkoły powszechnej. Zginęli w obozach koncentracyjnych profesorowie: Erwin Behrendt, Feliks Kalewski, dr Bernard Pilarowski, Leon Romatowski, Ferdynand Siwa, Leon Wojtaszewski; nauczyciele szkół powszechnych: Kazimiera Kürbisowa, Antoni Michna, Władysław Świechocki, Teodor Wrzosiński. Zaginęli: prof. dr Tadeusz Kulesycki, prof. Bronisław Gawle. W Warszawie zmarł w maju 1943 dyrektor polskiego gimnazjum Jan Augustyński, w czasie powstania warszawskiego zginęła prof. dr Maria Tarnawska. Ze służby szkolnej zginął w obozie Aleksander Mock, woźny gimnazjum polskiego. Przeżyli lata wojenne i zmarli już w wolnym Gdańsku: kierownik szkoły powszechnej Michał Mieliski w r. 1947 i woźny szkół handlowych Bernard Mańkowski w r. 1945.

Zniszczenie aktów i dokumentów Macierzy Szkolnej i polskich szkół Wolnego Miasta Gdańska nie pozwala na odtworzenie dokładnych życi-

rysów. Może z biegiem lat zbiorą się okruczy wiadomości. Zanim to nastąpi, niech przystosowane fragmenty wywołają w pamięci pozostałych postaci tych, którzy w długim szeregu bojowników o polskość Gdańska w ciągu dziejów — ostatni za polskie słowo w Gdańsku głoszone — życie swe dali¹⁾.

Marian Felcar

Zmarły podczas okupacji w Warszawie Jan Augustyński, dyrektor Gimnazjum Macierzy Szkolnej w Gdańsku, pozostawił po sobie piękne imię w dziejach szkolnictwa polskiego w ogóle na Pomorzu, w Gdańsku zaś w szczególności.

Jeśli wśród młodego pokolenia Polaków-gdańszczan podczas ostatniego najazdu niemieckiego na Polskę tak mało okazało się jednostek, które dla ocalenia życia i zapewnienia sobie jakiegoś takiego istnienia wyrzuciły się polskości, łwia w tym zasługa Jana Augustyńskiego. Powołany na stanowisko dyrektora gimnazjum polskiego w Gdańsku w 1925 r., w ciągu swej czterdziestoletniej działalności na terenie W. M. Gdańska przyczynił się przeważnie do tego, że szkolnictwo polskie u ujścia Wisły w chwili wybuchu wojny w dniu 1 września 1939 r. doszło do maksimum rozwoju, że z małym wyjątkiem cała młodzież polska w wieku szkolnym do polskich szkół uczęszczała i że wchodziło w życie już coraz więcej młodych ludzi dobrze przygotowanych nie tylko do życia w ogóle, ale i do walki o polskość na tym tak ważnym dla Polaki terenie nadmorskim.

Przyśzedł do Gdańska w chwili, gdy stworzona w r. 1921 przez polskich działaczy tamtejszych z drzem Kubaścem na czele Macierzy Szkolnej, mającej prowadzić szkolnictwo polskie w Wolnym Mieście, zmalała się w bardzo trudnych warunkach finansowych, gdy otwarto w 1922 r. przy udziale Stanisława Przybyłowskiego gimnazjum polskie pod każdym względem stała na najniższym poziomie, gdy oficjalne szkoły polskie powstające w Gdańsku były tylko nominalnie polskie.

Obdarzony wysoką inteligencją i kulturą, wielką energią, mocnym charakterem, gorącym patriotyzmem, nie dającą się wyczerpać pracowitością, doskonale przygotowany, jako nauczyciel i pedagog, studiami we Lwowie w najlepszych czasach uniwersytetu lwowskiego i pracą poezytkowo w gimnazjum w Sanoku, nastąpił na stanowisku dyrektora w Nakle i w Gru-

¹⁾ Por. Wspomnienia o Janie Augustyńskim (str. 27), Erwinie Behrendzie (str. 31), Bronisławie Gawle (str. 82), Feliksie Kalewskim (str. 98), Alfie Liczmieckim (str. 100), Michale Mieliskim (str. 180), Władysławie Pniewskim (str. 230), Kazimierzu Sołtyśku (str.), Władysławie Świechockim (str.) i Marii Tarnowskiej (str.).

Żądnu, całą duszą oddał się naprzód gimnazjum polskiemu w Gdańsku, a wkrótce jako członek Zarządu Macierzy Szkolnej i całego szkolnictwa polskiego na terenie Wolnego Miasta tym bardziej skutecznie, że całkowicie zaangażowanie cieszył się uznaniem i szacunkiem w Ministerstwie W. R. i O. P. oraz w Komisariacie Generalnym Rzeczypospolitej Polskiej, który powołał go na jednego z przedstawicieli swoich do pertraktacji z władzami gdańskimi w sprawach szkolnictwa.

Jeśli chodzi o gimnazjum, to przede wszystkim uporządkował jego skład pedagogiczny powołując za zgodą Ministerstwa W. R. i O. P. a z terenu całej Rzeczypospolitej naprawdę najlepsze siły nauczycielskie. Następnie stworzył warunki finansowe po temu, by nauczyciele gimnazjum mogli całkowicie oddać się swej pracy nie potrzebując oglądać się na to, czy wystarczą im na normalne bytowanie, jakie człowiekowi kulturalnemu przystało. Dalej potrafił uzyskać środki na urządzenie wewnętrzne szkoły, na organizację pracowni, na potrzebne pomoce naukowe, przyrządy, okazy, książki. Wreszcie po 10 latach swej działalności na stanowisku dyrektora potrafił zdobyć znaczny fundusz na przebudowę i rozbudowę gmachu gimnazjalnego i doprowadzić do tego, że w chwili wybuchu wojny gimnazjum kierowane przez niego było naprawdę najlepiej urządzone w całym Wolnym Mieście i swym poziomem budziło podziw i uznanie nie tylko wśród swoich, ale i wśród Niemców oraz na ogół wśród usposobionych dla szkolnictwa polskiego władz gdańskich. Wzrastala go stopniowo — coraz bardziej licną młodzieżą uczęszczającą do gimnazjum: z dwustu kilkunastu w r. 1925 do przeszło sześciuset w 1939 r.

Nie żałując swych sił, którymi szafował nieustannie, był bardzo wymagający dla ciała nauczycielskiego zakładu, ale miał ogromne zalety: nie krępował nikomu inicjatywy, jeśli uznał ją za dobrą, pomagał z całym zapalem i nigdy wyników nie zapisywał na swoje konto. Nie był o nic zdrowszy, jak najbardziej lojalnie oddawał zawsze i wszędzie każdemu, co się mu należało. Totek w gronie nauczycielskim panował prawdziwy entuzjazm dla pracy, całkowite jej oddanie się i każdy członek jego coraz bardziej przywiązywał się do środowiska, które poczytowało była mu obowiązkiem, ale z którym wiązały go coraz liczniejsze rzesze uczniów i byłych uczniów.

Dyr. Augustyński był wymagający i w stosunku do młodzieży. Ale że zawsze kierował się jej dobrem, że nigdy nie odmawiał pomocy, tam gdzie istotnie była potrzebna, że umiał trafić i do serca, i do głowy, że młodzieńcy czuli wszystkie wartości dyrektora i szkoły przez niego prowadzonej, że umiał budzić w najbardziej uśpienych duszach ucznie patriotyczne i przywiązanie do polskości, więc łączny był zawsze bardzo trwałe węzły z młodzieżą uczęszczającą do szkoły i tą, która ją już opuściła. Totek doznał podczas wojny od swych byłych uczniów parokrotnie jak naj-

bardziej akuteznej pomocy, czego wyrazem było m. in. przyślanie mu do rąk piśma demuncjującego go w Gestapo w Warszawie, co go uratowało od katuszy i od śmierci z rąk katów niemieckich.

Jako członek Zarządu Macierzy Szkolnej nadał jej szeroki rozмах i przyczynił się do rozszerzenia jej działalności na cały teren Wolnego Miasta, wszędzie tam, gdzie polskość jeszcze trwała. Pod jego niewątpliwym wpływem, a nieraz i za bezpośrednią inicjatywą powstała sieć obożnek, przedszkoli i szkół powszechnych Macierzy w Gdańsku, w okolicach podmiejskich i w wioskach gdańskich, w których najmłodsze dzieci polskie od razu kształciły się z polskością. Powstała tzw. Szkoła Średnia, na dyrektora której odszedł z gimnazjum niezapomniany Kazimierz Soltyś. Powstała Szkoła Handlowa, której dyrektorem został prof. Seredyński. Podniósł się i z pokytkiem coraz większym zaczęły pracować szkoły polskie oficjalne, których wizytatorem, szarwem z ramienia Komisariatu Gen. R. P. jak władz gdańskich, został prof. gimnazjum polskiego Erwin Behrendt. Cztery tysiące młodzieży polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku uczęszczało w 1939 r. do szkół polskich, co wobec 40 tysięcy ogółu ludności polskiej na tym terenie stanowiło niewątpliwie szczyt tego, co można było osiągnąć.

Oczywiście złożyły się na ten wynik wysiłki licznego grona osób, przede wszystkim nauczycielstwa polskiego pracującego w szkołach polskich w Wolnym Mieście, ale J. Augustyński był tym, który je tu wprowadził, dokonał wśród niego selekcji, stworzył dla niego możliwość działania. Nauczycielstwo gimnazjum polskiego w Gdańsku i innych szkół polskich przyczyniło się niemniej w latach 1925 — 1939 do podniesienia i rozwoju życia polskiego w Wolnym Mieście: grało dużą rolę w instytucjach kulturalnych i politycznych polskich zajmując coraz wybitniejszą w społeczeństwie polskim tamtejszym stanowisko. I do tego pośrednio przyczynił się J. Augustyński, który zawsze stał na straży godności nauczycielstwa polskiego i wszelkimi sposobami starał się podnieść jego stanowisko w społeczeństwie.

Podczas okupacji, przebywając w Warszawie, wciąż myślał o Gdańsku, wciąż układał plany dalszego rozwoju szkolnictwa polskiego u ujścia Wisły po wojnie, o której pomyślał dla Polaków wyniku ostatecznym nie wątpił i w który gorąco wierzył. Przygotowywał się do szerszej pracy już na czysto polskim terenie na Wybrzeżu po usunięciu Niemców i niewątpliwie stanąłby tu do pracy od razu po zakończeniu wojny, gdyby nie to, że na rok przedtem zakończył pracowity a tak pożyteczny żywot na skutek wylewu krwi w mózgu, tym tragiczniej, że w pełni sił umysłowych i twórczych.

Spoczywa na Powązkach w Warszawie, ale powinien spoczywać w Gdańsku, dla którego polskości w ostatnim piętnastolecu przed wojną tyle uczynił. Należy wierzyć, że wdzięczni uczniowie o tym skutecznie pomyślą.

Jan Augustyński urodził się 1 lutego 1878 w Odporyszewie w pow. dąbrowskim, woj. tarnowskim. Gimnazjum ukończył w Tarnowie w 1898 r. Początkowo studiował prawo w Krakowie, po dwóch latach przeniósł się na filologię do Lwowa, studiując specjalnie języki grecki i łaciński. We Lwowie prowadził bardzo czynne życie w kółkach młodzieży akademickiej. W r. 1906 objął posadę nauczyciela w VII gimnazjum w Lwowie, a w rok potem w gimnazjum w Sanoku, gdzie pozostał do r. 1920, pełniąc m. in. czynności zastępcy dyrektora. Od 1920 r. do 1923 był dyrektorem w Grudziądzu, wszędzie wnosząc z sobą postęp i rozwój w organizacji szkoły i podniesienie jej poziomu. Dot się też poznał jako niezwykle czynny na polu społecznym. W 1923 r. minister oświaty Stanisław Grabski wysłał go do Gdańska w celu uporządkowania spraw gimnazjum polskiego oraz Macierzy Szkolnej. Wywiązał się z tego zadania znakomicie.

Wylechawszy na pogrzyb starszego brata do Katowic w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. powrócił w dniu 31 sierpnia do Gdyni, gdzie go zastał wybuch wojny. Obciążony w oczach Niemców nieczystą wiarą z germanizacją Polaków — gdańszczan, niewątpliwie stałby się ofiarą Gestapo, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, który pozwolił mu wyjechać z Gdyni po pewnym czasie do Warszawy. Zmarł dnia 13 czerwca 1943 r. W czasie choroby z całym zamilowaniem oddawał się lekturze klasyków w oryginale.

Adam Czartkowski

HENRYK BALK
(1902 — 1941)

Henryk Balk był uczniem Uniwersytetu Jana Kazimierza. Studiował polonistykę pod kierunkiem prof. Juliusza Kleimera. Z drobnych szkiców, umieszczanych w piśmie lwowskim, a zwłaszcza we „Słowa o sztuce dzisiejszej” (Kurier Lwowski, 19 — 26 VII 1926) dawał się poznać jako dobrze zapowiadający się krytyk literacki, o szerokim odczuciu i znaczącej wręczliwości estetycznej. Jego praca doktorska ukazała się jako trzeci tom „Badań literackich” w 1927 r. pt. „Z badań nad wyobraźnią artystyczną St. Wyspiańskiego”. Balk wykazał w niej dużą znajomość literatury krytycznej nad zawartością tekstu artystycznego, zarówno polskiej jak niemieckiej i francuskiej. Zbadał sumiennie i bardzo skrupulatnie wszystkie teksty Wyspiańskiego, aby wykazać, że wyobraźnia artystyczna Wyspiań-

skiego, poety i malarza, była prawie wyłącznie emocjonalna. Bardzo rzadko używał Wyspiański przedstawięń wtórnych dla malarskiego określenia przedstawięń głównych. Wogóle wyobraźnia twórcza Wyspiańskiego była raczej prosta. W miarę lat nawet ubożała. Analiza świata zwierzęcego w utworach Wyspiańskiego wykazała, że Wyspiański do porównań najczęściej używał z ptaków orla, ze zwierząt lwa, ale w barwie, ruchu, czy kształcie zupełnie ich nie zarysował. Orzeł posiadał dla niego ogromny walor dzięki mgławicy asocjacyjno-uczuciowej, związanej z królem ptaków, Patos, górnictwem i majestatem z główne jego cechy. We lwie podkreślał pierwiastki siły i potęgi, pojmowanej przenosiem dla ilustracji metaforycznej górnych lotów ducha ludzkiego. Ze świata roślinnego emocjonalnie najżywiej odczuwał Wyspiański kwiat. Wśród kwiatów króluje u niego róża, ma bowiem usajlniejszy walor uczuciowy, muryzyczny niejako. Rezultaty żmudnych badań Balka są przekonywujące. Kończona paralela między dwoma pisarzami i równocześnie malarzami, Stanisławem Witkiewiczem i Stanisławem Wyspiańskim, wydawnia raz jeszcze, że o ile Witkiewicz w obrazowaniu przedstawięń wtórnych jest malarzem par excellence, to Wyspiański wręcz przeciwnie dąży tylko do dynamiki uczuciowej o patetycznym napięciu. Zamilowanie Balka do badania zawartości tekstu, rehabilitujące krytykę literacką, towarzyszyło mu również w codziennym pracy nauczycielskiej w lwowskich szkołach średnich. Rezultaty tej poważnej roboty były dodatnie i budziły ogólne uznanie.

Jako poeta należał Balk do szkoły „Skamandra” i do ulubionych swych mistrzów zaliczał Tuwima i Iwaszkiewicza. Tom „Anioł niemany” z 1932 r. skąpany jest cały w biel. Poeta przynosi ludziom „słowa białe”, „niebieska oplatki”, biały jest staw, tuń, talerz, ręce, palce; białe milczenie, anioły białe, „dobry” jest Bóg. Jesienna róża wydaje się poczci „bieliście biała”. Nawet tytuły poszczególnych wierszy są jasne, jak przystało w zbiorku „Anioł niemany”, a więc „Oplatki”, „Biały staw”. O połowę mniej niż barwy białej jest w tym tomiku barwy czarnej, smoków i ciemności. Jasno robi się na wspomnienie matki, Słowackiego, Dickensa, lektury z lat dziecińczych, zabawek, melodii. Poeta rzadko poddaje się jeszcze czarnym myślom, chce nieść „niebieską nowinę”, rośdawsz „chleb wiary, miód miłości”, „dobrą wieść”. Widocznie jednak mało otworzyło się sero na przywitanie „białego posłańca”, bo drugi tom poezji z 1936 r. ma już tytuł „Rozmowy z nocą”. W drugim tomie oba kolory biały i czarny zjawiają się już na samym wstępie tomiku w wierszu „Siostry”. Tym razem w gościnę do poety przychodzi jednak głównie mrok nocy. Czarna jest oczywiście noc, „groźna ciemność”, „ocean ciemności”; czarne są też rzeka, deszcz, kamień, lód, dom, kwiaty; czarna — melodia, chwila, pacie-

rze, serce, nawet „brunatny” jest Bóg. Z tych czarnych kolorów wyrasta czasem taki ładny drobiazg liryczny, jak np. „Katedra”:

Wysoko rośnie drzewo samotnej uienności,
gotyckie smukłe liście nad nocą kołysać,
aż wyrosły gałęzie, wyrósł mroczny kościół:
katedra obudowana z twardej czarnej cizy.

Balk szuka ratunku przed rozpaczą w przyjaźni. Stąd dedykacje poszczególnych wierszy: Horacy, Chwistkowi, Tuwimowi, Lisiewiczowi, Matusiakowi; stąd upodobania do kojących podmiot: muzyki Szopena, „retubnego anioła umarłych”, do św. Franciszka.

Złe przecucia poety zaczęły się spełniać w 1939 r. Spotykałem się wówczas z Balkiem dość często na posiedzeniach lwowskich polonistów. Rozmawialiśmy wiele o poezji. Niehadow Balk obdarzył mnie swymi tomikami, opatrzone je przyjaźnymi dedykacjami. Balk wojny, zbliżającej się do nas nieoczekiwanie, nieświadomie, co do Niemców nie miał żadnych złudzeń. Upadek Polski, potem kapitulacja Francji zgębszyły go zupełnie. Już z wiosną 1941 r. przewidywał wybuch wojny między Niemcami a ZSRR i wtargnięcie hitlerowców do Lwowa. Późną jesienią tego roku spotkałem Balka na jednej z bocznych ulic. W ręku miał wiązankę kwiatów.

— Żegnaj się z przyjaciółmi — powiedział — i z życiem — dodał smutno po chwili. W kilka dni potem dowiedziałem się, że już nie żyje. W tomie „Anioł nieznany” umieścił Balk *esterwiersz*:

Dwa wrogi światy to są: jesień i ja.
Gardzę czerwoną, bławną sceną.
Jesień jak aktor niby się zabija —
ja — umrę serio.

Nie przewidywał jednak Balk, zabijając się jesienią 1941 r., że za scenę będzie miał we Lwowie ponure szaleństwa i arogancję hitlerowców i nacjonalistów ukraińskich. Odeszł nagle w „mroźną mroczną noc”. Po zostawił jednak po sobie pamięć dobrego nauczyciela, zdolnego krytyka, subtelnego poety i wrażliwego człowieka.

Stefan Papée¹

ADOLF BEDNAROWSKI
(1878 — 1943)

Emerytowany dyrektor Państwowego III Liceum i Gimnazjum im. Stefana Batorego we Lwowie. Urodził się w r. 1878 w dawnej Galicji Wschodniej. Szkołę średnią ukończył w Brodach, a studia uniwersyteckie we Lwowie, poświęcając się filologii klasycznej. Profesorami jego byli:

Ćwikliński, Kruczkiewicz i Wiśkowski. W r. 1905 rozpoczął zawód pedagogiczny jako zastępcza nauczyciela. W r. 1907 zdał egzamin kandydacki, po czym został nauczycielem w ówczesnym II gimnazjum we Lwowie. W okresie pierwszej wojny światowej pełnił służbę — przeważnie pozafrontową — w armii austriackiej, a następnie w polskiej, dosługując się stopnia kapitana rezerwy. Po zakończeniu działań wojennych powrócił na swe dawne stanowisko służbowe i pełnił przez czas jakiś funkcje instruktora filologii klasycznej w gimnazjach Lwowskiego Okręgu Szkolnego. Dnia 1 września r. 1926 mianowany został dyrektorem Państw. III Gimnazjum im. Stefana Batorego we Lwowie i pozostał na tym stanowisku aż do chwili przejścia w stan spoczynku (8 września r. 1939). Jedynie w latach 1928/29 wykonywał obowiązki wizytatora O. S. L.

Umiłowaną dziedziną Bednarowskiego była filologia klasyczna. Zgodnie z tradycjami epoki, w której wyrósł, widział w nauce języków i kultury klasycznej podstawy, na których oprócz należało wychowanie i wykształcenie naszej młodzieży. W dziedzinie swej specjalności przysporzył też naszej literaturze naukowej i dydaktycznej kilka wartościowych publikacji i parę dobrych podręczników. Z prac jego wymienić należy: 1) „Nowa teoria o powstaniu eposu homerowych”, Słowo Polskie, 1925, nr 215; 2) Sofoklesa: „Tropielele” (przekład i objaśnienia), Sprawozdanie gimnazjum Józefa Kamerling we Lwowie, 1913 (w osobnej odbitce); 3) „Horacy a Opera Lyryka St. Konarskiego”, Eos XXVII; 4) „Uwagi ogólne o nauczaniu filologii klasycznej”, Muzeum, 1922.

Poza tym wydał „Wybór z pism Keenofonta” oraz podręczniki do nauki języka łacińskiego dla klas I i II gimnazjów ogólnokształcących. Był członkiem Komisji Filologii Klasycznej P. A. U., członkiem przybranym Towarzystwa Naukowego we Lwowie oraz członkiem Zarządu Głównego Towarzystwa Filologicznego.

Bednarowski przedstawiał niewątpliwie typ pedagoga dawniejszego pokroju, któremu trudno było nagiąć się do nowych prądów nurtujących nasze szkolnictwo po r. 1918. Nie znaczy to jednak, aby był człowiekiem zacofanym, zwłaszcza w dziedzinie metod dydaktycznych. Przeciwnie, interesował się żywo wszystkimi nowymi osiągnięciami w tym zakresie i sam był lektorem dydaktyki i metodyki języków klasycznych na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza.

Będąc dyrektorem dużego zakładu naukowego o tak pięknych tradycjach, jak państw. III gimnazjum we Lwowie, stał wytrwale na straży jego godności i powagi, świadomy odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła. Jako przełożony był człowiekiem niezwykle służbiwym, bezwzględnie wy-

magającym, pedantycznie sumiennym i punktualnym. Totek jako administrator słyszeć mógł i nieraz słyszał z wódr innym. W uznaniu tej pracy odznaczono go też dwukrotnie złotym krzyżem zasługi.

Powierzoną sobie młodzieńczę otaczał staranną opieką, nie gonisz jednak bynajmniej za tanią popularnością nabywaną dzięki pobliżności. W stosunku do młodzieży kierował się ścisłym obiektywizmem, wolnym od jakichkolwiek uprzedzeń rasowych lub wyznaniowych. Owocem jego działalności było m. in. nabycie i urządzenie wielkiego domu odpooczynkowego dla uczniów III gimnazjum, położonego w Komadzi, w powiecie sanockim. Tam to, w zdrowej, górskiej okolicy, z dala od zgiełku dużych miast, znajdowali jego wychowankowie dobre warunki do spędzenia miesięcy wakacyjnych.

Burza drugiej wojny światowej zaskoczyła go w chwili, gdy po wysłużeniu lat pracy przechodził na emeryturę. Przejęty głęboką wiarą w siły państwowości polskiej nie mógł pogodzić się z myślą o klęsce. Straszna rzeczywistość wstrząsnęła nim głęboko i spowodowała zaćmienie jego umyłu. Ze stanu tego nie otrząsnął się już do chwili, w której śmierć wyzwalała go od dalszych cierpień.

Zdzisław Żygulski

ERWIN BEHRENDT

(1889 — 1941?)

Urodzony w r. 1889 w Dąbrowce, pow. Świechów przebiegł się przez twarde szkoły pruską i zakończył ją studiami w dziedzinie filologii klasycznej na uniwersytecie w Monachium, Królewcu i ostatecznie, w wolnej już Polsce, w Poznaniu. Służbę nauczycielską rozpoczął w gimnazjum węgierskim, skąd, po niedługim w nim pobyciu, przeniósł się już w r. 1921 do nowozałożonego i z trudem, w ciężkich warunkach politycznych i finansowych, organizującego się właśnie Gimnazjum Meislerzy Szkolnej w Gdańsku. Na tym stanowisku przetrwał aż do końca tej szkoły, do września roku 1939. Od r. 1936, nie przestając uczyć, choć w zmniejszonej liczbie godała, zajmował zresztą inne jeszcze stanowisko, bardzo ważne dla polskości w Gdańsku ówczesnym, uginającym się coraz bardziej pod hitlerowskim terrorem. Był mianowicie inspektorem szkół senackich z polskim językiem nauczania. Mimo tego, że, na stanowisku tym, dzięki swemu taktowi, sumiennoci i pracowitości budzącej szacunek nawet u polskoterznych senackich władz szkolnych, potrafił utrzymać z nimi względnie dobre stosunki, dosięgła go mściwa ręka niemiecka niedługo

po wybuchu wojny. Aresztowany w Pielplinie, został wprawdzie zrazu po dwóch tygodniach uwolniony, ale już z końcem października aresztowano go po raz drugi wraz z całą grupą księży polpłdińskich. Wywieszony z nimi w niewiadomym kierunku, przepadł, jak tyłu innych, bez śladu. Wszakto poszukiwania rodziny i próby dowiedzenia się czegoś o jego losie pozostały bez skutku.

Na dwa lata przed wojną odznaczono go złotym krzyżem zasługi. Był to niewątpliwie piękny dowód uznania. Ale żaden krzyż ani dyplom nie mogły być odpowiednikiem głębokiej, najgłębszej wartości tego charakteru, wartości tym większej i tym bardziej zasługującej na podkreślenie, że tak bardzo nieostentacyjnej ani nie demonstrującej. Dopiero po dłuższej znajomości z tym małymowym, serwetrymnie czasem szorstkim człowiekiem, zawsze pełnym jakichś z troskąd o uczniowiek bratnie pomocy, o buty i ubranie, i stypendia dla uczniów, zaczynała się domyślać głębokiej jego dobroci, jego ciągłej myśli o innych i dla innych. Czasem, w wiele już lat po wyjściu ze szkoły tego lub owego chłopaka, dowiadywał się ktoś przypadkiem, że to właśnie profesor Behrendt umożliwił tamtemu dalsze studia stałą pomocą finansową, czerpaną z własnej skromnej, nauczycielskiej kieszeni.

Jego na wokroń rzetelna dusza sądziła szczerzei szczerzei i od innych szczerzei i pracy. Żądał ich bezwzględnie, aż do granicy, na której szczerzei się jego głębokie ludzkie współczucie dla ludzkiej niedoli i ludzkiego zmagania się z nią. Od wszelkiej egoistyczności był daleki. Ale najszczerzei i najbardziej pod każdym względem wymagający był sam dla siebie.

Edwin Jędrkiewicz

ANNA BIALOKUROWA

(1897 — 1942)

Parę dat i faktów z życia...

Od nauczycielki „p. L.” i Josi z „Ludzi Biedomnych” wiedziele przesta, Janna L. najkrótsza droga do p. Hanki, bo tak ją wszyscy nazywali. Kochali ją starzy i młodzi za piękno fizyczne i duchowe, za spojrenie czarownych oczu i za upojny głos, który nakazywał szacunek dla jej z Zeromskiego wyniesionych myśli, przekonań i czynów. Była romantyczną, idealistką w każdym calu, ale znała i przeciwarzała po swojemu rzeczywistość, której wiernie służyła przez całe życie. Z okresu pobytu w więzieniu 1920 roku opowiadała p. Hanka kiedyś o jasnovidzu, który bywał w domu jej rodziny. W czasie pewnego sesanu, nie wiedząc, czy

Żyje, pytano o nią. Jasnowida wpatrując się w szklaną kulę opisał pociegi, stojący w polu, w pobliżu lasu itd. Za parę dni wróciła p. Hanka i w tym opisie poznała swój „poc'ąg” i postój w „polu”...

Takie było jej całe życie i całe na niemi bojuwanie...

Anna z Gilewiczów Białokuruwa urodziła się 28 maja 1897 r. w Białopolu na Ukrainie (gub. kijowska, pow. berdyeszowski) z rodziców Mieczysława i Anieli z Podcaraszyńskich i od dzieciństwa żywała się z pogodną atmosferą rodzinną, w której krzepły więzy jej z trzema braćmi i starszą siostrą. Jako najmłodsza, we wczesnym dzieciństwie (później znacznie przysłała na świat drugą siostrę, której Anna Białokuruwa okazała wyjątkowo serdeczną pomoc i opiekę) była otaczana w domu miłością rodziców i rodzeństwa, do czego przyczyniły się jej cechy charakteru, żywiliwy, pogodny i wyrozumiały stosunek do ludzi; od dzieciństwa kierowała się w życiu szlachetnością pohudek. Wczesne dzieciństwo nie przebiegało jednak beztrudno. Złożyła się na to paroletnia choroba jej ojca, w której zabezpieczenie mu spokoju narzucało sroawe wymagania całemu układowi życia domowego. A dalej ciężkie zawsze warunki materialne. Prawda, że to nieco uległo zmianie z chwilą poprawy zdrowia ojca i przeniesieniu się jego do gubernii kałużyńskiej na dobre płatne stanowisko administratora dużego majątku książy Boratyńskich. Po długich wahaniach, w których główną rolę odegrało działanie do kulturalna dziewczka w atmosferze polskości, rodzice zdecydowali się na umieszczenie Anny w zakładzie sióstr św. Józefa w Tarnopolu; zakład ten z chlubnymi świadectwami ukończyła w 1914 roku uzyskując świadectwo dojrzałości.

Lata wojny 1914 — 1916 (do listopada) spędziła p. Hanka częścicowo w domu rodziców (r. 1914), pozostały zaś czas — w Kaluzie, po objęciu stanowiska nauczycielki na kursach dla emigrantów Polaków, utworzonych przez Towarzystwo Pomocy Polakom poszkodowanym przez wojnę. Na nich nauczała polskiego, historii i francuskiego. Równocześnie brała żywy udział w pracach charytatywno-opiekunich natury. Stosunki koleżeńskie i towarzyskie jej i braci, którzy uciekali do szkół w Kaluzie, spowodowały, że dom ich rodziców stał się ośrodkiem życia tamtejszej młodzieży.

Z końcem 1916 r. wyjechała do Piotrogradu, by kontynuować tam własne studia na Wyższych Kursach Polaków, rok jednak 1917 i rewolucja rosyjska zmusza ją do przerwania studiów i przeniesienia się do Kijowa,

gdzie obejmuje posadę nauczycielki polskiego i historii w gimnazjum Towarzystwa Popierania Szkół Średnich.

Pomimo bardzo młodego wieku (20 lat) umiała sobie zdobyć szacunek i miłość młodzieży. Promieniowała z niej siła moralna, która ujemniała i przybliżała serca dzieci. „Dawne wrażenie — pisze mi jej koleżanka tych lat — robiła ta śliczna dziewczyna wśród gromady niesformych, rozrukanych ukraińskich paniczów (ten element przeważał w szkole). Nie okazując gniewu, nie podnosząc głosu, zda się jednym spojrzeniem ewych mądrych oczu potrafiła opanować i pożywać sobie młodzień. A wpływ jej był ogromny — bo trwały. Panią Hankę kochali i szanowali wszyscy — koleżdy, uczniowie, rodzice, woźni...” W latach 1917 — 1919 pracuje zawodowo i studiuje w Polskim Kolegium Uniwersyteckim, a równocześnie znajduje czas na pracy społecznej pod kierownictwem znanej na Ukrainie, a potem i w Warszawie działaczki społecznej Anny Roszkowskiej.

Rozwój dziejowych wypadków zmusza w końcu 1919 r. p. Hankę do opuszczenia Kijowa i przeniesienia się do Żytomierza, gdzie zamieszkuje u matki. W styczniu 1920 r. objęła stanowisko nauczycielki polskiego i historii w gimnazjum utrzymywanym przez Macierzą Polską. Pracę zawodową uzupełnia w tym okresie ożywioną działalnością społeczną w ramach stowary i opieki, głównie w środowisku wojskowym, a to tak jak poohlania, że nie ma możliwości wyjazdu z Żytomierza wraz z całą powracającą do kraju osobą. To wyrzeczenie się to był nie pierwszy w jej życiu, ale znamenny przejaw silnej woli, wypływającej z poczucia narodowej solidarności i społecznego obowiązku, bowiem tęskniła za wyjazdem do Kraju, gdzie mogłaby wypocząć i odżyć w bliskiej sobie atmosferze rodziny brata doktora. Dzięki staraniom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża została repatriowana do Warszawy.

Po powrocie z Rosji do Polski w 1921/2 r. p. Hanka zaczęła pracować w gimnazjum E. Labusiewicz-Majewskiej na Pradze oraz zapisała się do Instytutu Pedagogicznego. I chociaż nieraz zaznaczała, że ma żal do losu i swoich warunków, że nie pozwalają jej dość czasu poświęcić młodzieży i tak w szkole pracować, jakby się chciało — wpływ jej na naukę i postawę młodych bardzo wyraźnie przy każdej okazji się zaznaczał.

„Dowodem tego — pisze jedna z uczennic — było m. in. zakończenie roku szkolnego 1922/23 w kl. VI — kiedy to cała klasa w liczbie 44 uczennic ośmielnego dnia w szkole w tajemnicy przed skochaną nauczycielką przybrała się masą pełnych kwiatów (chabry, maki, różyczki itp.) oraz urządzenia wystawę różnych prac, wykonanych przez wszystkie wychowanki dla p. Hanksi. Bo za jej pracę nad nami tylko własną pracą mogliśmy się od-

wdzięczny. Całość wyglądała podobno wspaniale, bo czego tam nie było... wszystkie „możliwości” artystyczne i umiejętności praktyczne (np. ciastka i koszyki własnej roboty) zostały wykorzystane. Pamiętam dobrze to wielkie wzruszenie p. Hanki, jakie i nas ogarnęło, gdy weszła do klasy. Trudno było jej mówić i miała try w oczach. A zwłaszcza dlatego, że mogła jednocześnie oznajmić nam radośnie nowinę... wszystkie 44 uczennice promowane zostały do klasy VII. To było jej zasługa, to był jej wpływ na naszą naukę i pracę...”

We wrześniu 1924 r. przeszła do Gimnazjum Państwowego im. Królowej Jadwigi. Opuszczała szkołę z żalem, pisząc do uczennic gimnazjum Łabuńskich-Majewskiej 5.VIII.1924: „Żal mi ogromnie Waszej klasy, bo się bardzo z Wami sżyłam i było mi z Wami bardzo dobrze. Sądzę jednak, że zawsze Was u siebie będę widywać i o Was wiedzieć będę...”

Z dawnymi uczennicami nie rzywała kontaktów i prócz listów organizowała nadal wspólne spacerować w wolne popołudnia czwartkowe do Lasienek lub Zachęty Sztuk Pięknych. Wielkim przeżyciem dla młodzieży był ślub p. Hanki z dr. Franciszkiem Białokurzem, który odbył się w okresie wielkanocnym w 1924 r. — ale i to nie przeszkodziło pani Hance przeżywać wspólnie z młodymi ich maturę tego roku.

Prócz zajęć szkolnych i społecznych szalenie dla p. Hanki było ciągle samouctwo oraz wytrwale uczęszczanie na różne kursy wakacyjne. Nie było w życiu Warszawy zjazdu odwiatowego, wystawy książek czy obrazów, żeby nie brała w nim udziału p. Hanka. Szczególnie ulubioną posycję zajęła jako inicjator i organizatorka Klubu Polonistów, który długie lata pracował w jej mieszkaniu. Z inicjatywy jej powstało w gimn. im. Królowej Jadwigi zorganizowane pierwsze ognisko polonistyczne i wystawa książek Wyspiańskiego i Żeromskiego oraz obchody „W stulecie Pana Tadeusza”. Pamiętam te pierwsze u niej zebrania polonistów, zwoływane drogą zaproszeń i zawiadomień pisanych przez nią i jej przesyłanego mięsa...

Wielu jest nauczycieli — wychowawców zdolnych, pracowitych, sumiennych, ale Białokurowa poza tymi wszystkimi zaletami miała wielki dar opanowywania zwłaszcza młodych dusz. Wpajała im kult niezłomnej pracy, uczciwego stosunku do wiedzy i do ludzi. Surowa dla siebie pod tym względem, o niezwykłej silnej woli i uczucia umiała wymagać wiele od młodzieży prowadząc ją na drogi prawdy, nigdy kompromisu i nigdy wstępczości... Zawsze ofiarą i uczynną zwłaszcza dla młodych i słabszych, o wysokim poczuciu obowiązku narodowego i społecznego, szerokim horyzoncie światopoglądowym, umiała na otoczenie wywierać głęboki wpływ, potęgowany nie tylko jej wdziękiem i urzęd, ale przede wszystkim rozumem, przykładem t., szczerem.

„...Dziękuję — pisze w pięknym wspomnieniu W. Żółkiewska — lubiły ją bardzo, bo była wyjątkowo sprawiedliwą i bardzo zdolną nauczycielką. Młodsze ją szczerze interesowała — dlatego znajdowała drogę do jej serca. Nie znać było to bynajmniej, aby była sentymentalna, wprost przeciwnie, trwała i surowa wymagała od swych uczennic systematycznej pracy. Wkładała bardzo wiele wysiłku w to, aby nauczyć, aby rozbudzić w dalszych latach zainteresowanie dla ojczystego języka i literatury...”

Listy p. Hanki do uczennic

Właśnie one najlepiej charakteryzują jej poglądy i zamiłowania wychowawcze. Dlatego z listów skrupiecznie zbieranych przez uczennice parę przynajmniej wyjątków pozwalam sobie tu przytoczyć. Listy jej, często pisane na karteczkach, w czasie wolnych godzin w szkole, uczennice przechowywały do dziś. Pisze p. Hanka:

„...Jak się cieszę każdym takim przejawem rozwijającej się jaśni i woli. Im bliżej samodzielnego życia, tym bardziej krzepnąć trzeba — może i nieraz z siebie będziesz musiała czerpać dla innych. Parę krótkich miesięcy już pozostało do matury, która będzie już wprowadzeniem w świat samodzielnych prac, myśli, postanowień. Trzeba więc w przyszłość włączyć w Z. B., bo ma ciężki okres rezygnacji, prawie przygnębienia; powiedz jej, że się człowiek ciągle jednak odradza i życie w darze oprócz ciężkich niepodatniek przynosi i bardzo miłe chwile. A jej się dużo jeszcze do bregu od losu należy...”

Do jednej ze swych „pupilek” wysłanych przez siebie na kolonie z dziećmi sąsiadkami pisała nauczycielka 28.VII.1947 r.:

„...Ogromnie się ucieszyłam Twoim listem ze względu na samą sprawę, bo znając Ciebie wiem, że te dzieci dobrze trafiły i że wyrosną z Polski jak najlepsze wspomnienia. Ale cieszę się również, że względu na Ciebie. Bo chociaż namęczysz się porządnie, tego rodzaju praca jest bardzo odpowiedzialna i trudna, ale jest przede wszystkim samodzielną, wymagającą twojej inicjatywy i stanowczości i w rezultacie da Ci duże zadowolenie i pewność, że dobrze sprawisz parę tygodni poświęcając i z siebie innym tyle dać mogła...”

Głosy uczennic o swej nauczycielce

Pisze mi jedna z nich:

„...Muszę podkreślić, że pani Hanka, mimo przybywających jej ciągle uczennic, starała się utrzymać ciągły kontakt z nami, zawsze gotowa do pomocy i rady. Miałam ciężkie warunki materialne, toteż studiując matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, całymi dniami ganiałam po

lekcjach. Na wakacje, z namowy p. Hanki, która brała udział w Zw. Obr. Kr. Zach., wyjeżdżałam na kolonie z dziewczyni śląskimi, organizowane przez Zw. Obrony Kresów Zachodnich¹⁾.

„...Cele życie wdziedzna jestem losowi, że mnie rzeknął z taką wychowawczynią — to musiało zawezdyć na mojej pracy i stosunku do życia i ludzi. Tym bardziej że zatrzymywaliśmy tę łączność do końca Jej życia...”

„Po latach studiów zostałam nauczycielką matematyki i fizyki w szkołach średnich — zawsze przy tym przyjmowałam wychowawstwo klasy, mające przed sobą wzór wychowawczyni, jaką była dla mnie p. Anna Białokrzówna — i zawsze, gdy trzeba było, szłam do niej po radę...”

Działalność społeczna i bojownicza podziemia

Pomimo bardzo ciężkich warunków materialnych, zwłaszcza przed przyjazdem do Polski, i wielu lekcji w szkołach p. Hanka już w Rosji i na Kresach rozwinęła szeroką działalność charytatywno-społeczną, zwłaszcza głównie pod kierunkiem Anny Roszkowskiej w Polskim Tow. Pomocy Ofiarom Wojny. W Warszawie przez pracy ofiarnej szkolnej, wychowawczej i oświatowej oraz ciąglej samouczki bierze czynny udział w Związku Obrony Kresów Zachodnich i Tow. Kolonii Letnich dla dzieci polskich z Niemiec, Austrii i Górnego Śląska.

Nie należała nigdy do szeregów partyjnych, ale była wprost uczciwą zwiazana, choćby przez kult dla Żeromskiego, z ideą postępu i radykalizmu społecznego. Wrzuciła na bóg i ciężkie przeżycia ludzkie była zawsze po stronie krzywdzonych, więzionych i uciskanych.

Nie należała do Związku Zawodowego Naucz. Polskich Szkół Średnich i Z. N. P., zwiazana dawnymi sympatiami z T. N. S. W., ale niejednokrotnie świadczyła tym organizacjom i ludziom różne przysługi, spiesząc chętnie z pomocą i książką dla kolegów szkół powozecznych. Wyjednywała m. in. u „władz” ówczesnej sanacji urlopy i względy w traktowaniu „przeznosiń” lub redukcji pensji. Nigdy m. in. nie zapanowała jej ułudności i gorliwości, a jaką spieszyła na pomoc w ciężkich latach mojej choroby, której się nabawiłam przy organizowaniu w 1934 r. wraz z p. Hanką obchodów „Nalecia Pana Tadeusza”.

W czasie okupacji spotkania nasze były krótkie, rozmowy ograniczały się do spraw bieżących, bo każdemu z nas gduć się zawsze spieszyło, chodziło raczej o pewność, że jesteśmy i trwamy na swoich stanowiskach. Ale „telefon” cały ciągle — głos p. Hanki koił i zachęcał. Bliżej zetknęłam się znow z p. Hanką organizując „bunt” nauczycieli kompletów przeciw „władzom” podziemnym z racji norm płacy i stosunku do nas. Znow p. Hanka była wśród nas używając mieszkania na nasze zebrania. Po-

stanie zawodowego i społecznego obowiązku wiąże ją dość wcześnie, bo od 1939 r., z pracą podziemną, a umiłowaniem młodzieży skłania do włączenia się do akcji, której celem było podtrzymywanie ducha w obozach jeńców, przy pomocy sztyrowanej korespondencji. „...Podjęła akcję bardzo niebezpieczną: utrzymywała nielegalny kontakt z polskimi jeńcami wojennymi w Niemczech, odbierała od nich informacje, meldunki i sprawozdania kierowała na użytek organizacji, dla której pracowała. Pracowała ofiarnie i szczęśliwie bez wypadku dwa lata. Zdradził ją Niemcom jeden z jeńców za cenę zwolnienia z obozu. Wydana w ręce Gestapo dostała się na Al. Szecha. Gestapowcom niezmiernie zależało na nawiązaniu pomocników — mali fakty, wiedzieli, że akcja miała zbyt szeroki zakres, aby udział w niej brała tylko jedna kobieta. A mali przecieć tylko jeden sposób wydobycia z rąk oskarżonego: tortury. Nie odgrywały tu już roli sumne oświadczenia: nie jesteśmy barbarzyńcami, nie krzywdzimy dzieci i kobiet. Kobieta spała na łob na sycie z zafabrykowanego hitlerowskiego piedestału kobiety i matki, a wchodziła na piedestał mężczyźniwa.”

Obserwujący moment przywiezienia z Pawiaka i odwiezienia z powrotem oskarżonej stwierdzili, że z gnaczu przy Al. Szecha wyniesiono ją na noszach nieprzytomną. Tak było istotnie: bito ją w nerki i okolice nerek dotąd, aż nie zmasakrowano ostatecznie. Wtedy oddano na kurację do szpitala, aby podleczyć i przedłużyć możliwości badań i tortur. Oskarżona była dość inteligentną i dość obczaną ze sposobami postępowania hitlerowców, aby się ludzi, że pozostawią ją w spokoju. Nie żużliła się. Wiedziała aż za dobrze, co ją czeka...”¹⁾

Aresztowana była wraz z mężem drem Franciszkiem Białokrzem zamiatowanym przez Niemców w czasie przesłuchiwań w Gestapo przy Al. Szecha (zmarł na skutek pobicia na Pawiaku). Katusze, jakim ją poddawano na Pawiaku, spotęgowała wiadomość o śmierci męża, której przy czynę widziała w swej konspiracyjnej działalności, zresztą zmajnej męszwi.

„...I w tych ostatnich godzinach między aresztowaniem a dopełnieniem się jej losu, najgorzej ze wszystkiego była myśl, że nie wytrzyma dalszych badań, że wyda towarzyszy pod wpływem nieludzkich tortur. Trudno wyobrazić sobie męczarnię człowieka ciężko chorego, trupionego króć w króć w niemieckim szpitalu przez szpicla, n'e odstępującego ni dniami, ni nocą. Jedynie w lasience i ubikacji szpicla-męczyznie zmieszano na kobiecie.”

Nie wiem, jakim sposobem nieszczęśliwej męczyznie udało się zdobyć kawałek mocnego sznurka, fakt jednak, że 25 maja 1942 roku kobieta

¹⁾ Wspomnienia o Annie Białokrzowskiej (zmarłej 25 maja 1942 roku) Wanda Zółkiewska: „Koniec królestwa rodni!” — Spółdzielnia wydawnicza „Kosmos”, str. 10—12.

odprowadziwszy p. Annę do ubikacji nie doczekała się jej powrotu. Wystraszona łomotała szczerła do drzwi. Na niskiej, na metr od ziemi znajdującej się kłance, wisiał w kłępczej pozycji trup p. Anny. Jakiej beznadziejnej trzeba było rozpaczy przy jednoczesnym akcie odwagi, aby tu w ten sposób odebrać sobie życie. W tej śmierci, poniżającej godność człowieka ze względu na miejsce, jest coś z tragicznego patosu odajęcia bohaterki dużej miary. Normalnie każdy człowiek, skazany nawet na śmierć, kurczowo chwycił się życia w nadziei, że wyrok jakimś cudem zostanie odwołany, może mu coś przeszkodzi, może nastąpi coś nieprzewidzianego, co odwróci strasliwy cios. P. Anna miała podatwy tak myśleć, wiedziała przecież, że stoi za nią grupa wpływowych, zorganizowanych ludzi, która będzie starała się interwelować, a jednak obawa o ludzi bliskich jej przez pracę dla wspólnego celu kamata zrozrygnować z własnego zycia na korzyść tych na wolności, którzy dalej poprowadzą podjęte dzieło...

Sukoda wielka, że p. Hance nie zdołano na czas okazać jednej, ostatniej „przysługi”: wielu żołnierzy armii podziemnej, stojących na wysuniętej i niebezpiecznej placówce, zastraszonych było w małą ampulkę ojankali, broń ostateczną przeciw szóbejkim katom, broń, która w ostatecznej chwili dozwalała zachować świętą godność człowieka, broń przeciwko męczeństwu i katowaniu. Oprawcom dostawały się tylko martwe zwłoki. A jaśnie duszy na pewno za grzech nie poczytano tej ostatniej najtragiczniejszej chwili... Tego p. Hance jednak „pożalowano”.

Pomimo całego tragizmu jest w tym wspomnieniu uśmiech krawczycy i zwycięski; takie były, takie są i takie będą polskie kobiety i dziewczyny. Doczołajo odważnie przed życiem i przed śmiercią, promienie aureoli bohaterstwa, którego nie znaleźć w historii, które czasem nawet się gani, ale na które nigdy nie potrafiły się zdobyć żaden inny naród na świecie. „Takie są polskie kobiety” pisał Juliusz German w „Gazecie Ludowej” z dn. 25.VIII.1946 r. nr 233, str. 5, w artykule pod tytułem „Pan! Treasa i Ania”:

„...O swych sprawach nie wolno nigdy zapomnieć ani obecnemu pokoleniu Polaków, ani też wielu jeszcze pokoleniom następnym: o niewysławionym codziennym heroizmie, z jakim walczyły z nikczemnym hitlerowskim najzjadliwszą przemocą pięć lat polskie organizacje podziemne i o tego najzjadliwszym zbroczonym bestialstwie i najpodlejszym okrucieństwie...”

Działaj, gdy z petyzmem i z czcią najgłębszą odgrzebuje się z Palmie i innych słowotroch miejsce stracenia szczerki i prochy tych świetlanych polskich męczenników, chciałbym wspomnieć o heroicznych warszawiankach, które znalazłem, których jaśnie postacie nigdy nie będą zapomniane. A do nich p. Hanka należała od początku!

Stanisław Świdwiński

JÓZEF BIEDRAWA

(1878 — 1944)

Wojna okrutna, niezapomniana, zabrała Polsce szereg ludzi niezastąpionych, ludzi, których brak przy odbudowie ojczyzny daje się odczuwać we znaki. Do takich nieodwołalowych należy Józef Biedrawa. Brak jego odczuwają na terenie ziemi mazurskiej ci wszyscy, którzy go znali, którzy pracowali z nim na terenie Działdowszczyzny, tego skrawka ziemi mazurskiej, która przyłączona została bez plebiscytu do Zmarłych Rzeczypospolitej. Tam prowadzona praca nad repolonizacją ludu mazurskiego promieniowała za północny kordon. Tam w Działdowszczyźnie dyr. Biedrawa przez 15 lat wychowywał młode pokolenie Mazurów, przez chwilę nie wątpiąc w to, że „niebiedno nadejdzie czas, kiedy Polska przyjdzie na Mazury”.

Józef Biedrawa ujrzał światło dzienne w r. 1878 na Zaolziu w malowniczo położonym Tryznie, którego przemysł spoczywał jeszcze w kolebce. Przywiązanie gorące do Polski miał we krwi. Ojciec jego, bojując o polskość Śląska Cieszyńskiego, miał śmiało publicznie przeciwstawiać się germanizatorom austriackim. Spokrewniony i spowinowcony z rodzinami najbardziej zasłużonymi sprawom polskości na Śląsku Cieszyńskim: Michejdów, Mamcików, Gryczów, Macurów, Stosawskich, Kuliczków i in., od najmłodszych lat, czy to na ławie gimnazjalnej w Cieszynie, czy na Uniwersytecie Jagiellońskim, budził i podtrzymywał Biedrawa ducha polskiego wśród ludu Śląska Cieszyńskiego.

Powróciwszy po wojnie w czyste pielusze, w Orłowej w czasie plebiscytu tu broniał polskiego, a zasłaniając własną pierś atakowaną działającą polską na jednym z zebrań odnosi ciężkie rany głowy. Po plebiscytcie osiada Biedrawa w Cieszynie, pracuje i wykłada w Gimnazjum im. Ouchowskiego.

Tymczasem z północy, ze skrawka ziemi działdowskiej, która miała stać się Piemontem mazurkim, nadchodzi propozycja: „przyjeżdżaj, brak ludzi właścicych, jesteście potrzebni...”. W Działdowie skupiło się grono działaczy śląskich, aby pracować nad uświadomieniem narodowym ewangelickich Mazurów. Jest w ich gronie jako pierwszy dr Tadeusz Michejda, syn wielce zasłużonego Franciszka Michejdy z Nawia. Biedrawa nawiązała się, żal mu opuścić ukochany Cieszyń — kto wie, co go czeka na północy...

I oto pewnego listopadowego dnia r. 1923 odbiera numer czasopisma „Ziemia”. Znajduje tam artykuł zupełnie mu nieznanego młodego autorki, Emilii Inkertowej... Czyta raz, drugi, potem odkłada czasopismo, kreśli do Kuratorium wniosek: decyduje się tytułem próby na rok wyjechać do

Działdowa... Piętnastego listopada staje w Działdowie, przystępuje do pracy ciężkiej, morderczej, gdzie na każdym kroku piętna się trudność.

Autochtoni na widok nowego „człowieka przybyłego z ciepłych krajów” (jak w Działdowie Cieszyńskó w nazywano) powiadają: „Ten coś reprezentuje, sama jego postać chwytą za serce” (autentyczne). Biedrawa swoim kryształowym charakterem, głębokim rozumem, niezwykle dźwięcznym głosem, serdecznym obejściem, umiłowaniem i zrozumieniem młodzieży zdobywał nie tylko gorące przywiązanie wychowanków, ale zjednywał sobie Masurów, w których twarza dola i wielowielkowie zmaganie się z przeciwnościami wykreślały nieufność do przybyszów. Ojcowie masurcy z zaufaniem oddają pieczy Biedrawy swoich synów do Seminarium Nauczycielskiego, matki często dowiadują się o postępy „lurków” swoich, zasięgają rady, dzielą się kłopotami. Biedrawa — świętym pedagog, pracy nad młodzieżą masurską oddaje się całym sercem, bez zastrzeżeń. Praca ta nie zasklepia się w szkole.

Organizuje z działaczką miejscową, Emilią Inkertową (autorką wspomnianego artykułu, który zaważył na losach Biedrawy), Muzeum Masurskie w Działdowie przyłącza do współpracy nie tylko młodzież seminarialną, ale całe nauczycielstwo powiatu i młodzież szkół powiatowych. Młodzież seminarialna koła krajoznawczego z zapalem zbiera przysłowia, pieśni, zagadki, bajki masurskie. Następuje wyścig synów masurskich oraz rywalizacja bahek i śladków, kto więcej pamięta, kto piękniej zaśpiewa czy opowie, kto dokładniej spisek, szmatuje melodie... Przerysowuje się szczyty chat, kościółki drewniane, materjały opracowują monografie wiosek. Ogląda się i rozbija kamienie przydrożne, obficie zgromadzone, poszukuje skamielin, wyorywanych z ziemi monety, kości, fibel, skrompek urn — wszystko to zbiera się z porywem i przyjeździe do Muzeum. Seminarzyści i ich młodzi bracia penetrują strychy, piwnice, a stare kancjonały, kołowrotki, kaffe barwnie malowane z polskimi napisami wędrują do Muzeum. Dumni są chłopcy, kiedy ich dyrektor pochwali albo uściśnie z podziękowaniem młodą dłoń. Do seminarium zjeżdżają młodzi Masurzy, „za kordonu”, są to przeważnie synowie zasłużonych działaczy z terenu i oni mają kiedyś stanąć do pracy wśród jeździ masurklich.

Z czasem powstaje gimnazjum, liceum humanistyczne, które Biedrawa samemu nazwał imieniem Wojciecha Kętrzyńskiego. Biedrawa przez szereg lat jest duszą różnych instytucji kulturalnych, członkiem Rady Miejskiej.

Następują czasy Becka. Działalność Biedrawy i jego żony staje się niewygodna; nie wolno drażnić sąsiada. Kacykowie sanacji widzą najlepszą wyjście w przeniesieniu Biedrawy „z dużym awansem”. Z początku jest znawa o stanowisku kuratora szkolnego na południu Polski, potem

proponuje się zorganizowanie pedagogium w Plocku, a kiedy Biedrawa prosi o zatrzymanie go na skrajnej placówce, aby mógł kontynuować rozpoczętą pracę, przeszedł się go do Bydgoszczy jako dyrektora gimnazjum miękkiego.

Biedrawa nie może rozstać się z placówką masurską, podaje się w stan spoczynku. Cieszy się myślą, że szereg wychowanków wkroczywszy w życie nie wyzbywa się zaszczepionych mu ideałów (a przecie niejedyn „stypendysta” korzystał z poparcia dyrektora, niejedno „stypendium” płynęło z osobistych funduszy Biedrawy, co było jego tajemnicą). Nie tylko pokierował swoimi ośmieszystami i gimnazjalistami, ale i innymi młodymi Masurami, którzy odrębna drogą w życiu obrali. Pożegnanie Biedrawy z uczelnią ówczesną było wzruszające. „Tyle kwitów, tyle las i tyle gorących i rzuwanych przesądów mógł spowodować jedynie pogrzeb bardzo zasłużonego i ukochanego człowieka” — pisze świadek Toteń Biedrawa, podcażując się w swym esmiku, twierdził, że przysię własny pogrzeb.

Nie było mu sądzono jednak kontynuowanie pracy w terenie: wybuchła wojna. Rozpoczyna się dla Biedrawy w Warszawie ciężka dola: ruina materialna, zmieszczenie nagromadzonych zbiorów muzealnych, Gestapo, bombardowanie, przesładywanie w piwnicy...

Otrzymaawszy rozkaz organizowania szkolnictwa polskiego dla terenu Prus Wschodnich, Biedrawa pracuje z młodzieńcym Hecie Zapalem. Wierzy w szeregowe zakończenie dla Polaki wojny. Już ma gotowy plan, naszkicowane sieci, liczących kandydatów na placówki. Zaczynają się piętrzyć przeciwności. Z jednej strony Gestapo przesładuje za ukrycie zbiorów muzealnych, z drugiej strony — propozycja wysokiego stanowiska naukowego za cenę „reichsdeutschowstwa”, wreszcie — poszukiwania w domu Biedrawów wybitnego działacza-Mazura. Wszystko to zbiega się jednocześnie. Pozostaje jedynie wyjście — ucieczka pod przybrany nazwiskiem... Tulaczka, nieda... Chmielnik, Konstantynów nad Bugiem, Biała Podlaska... Nadwątlone w czasie bombardowania Warszawy zdrowie Biedrawy rośnie srujnowane. Nie pomaga przeniesienie do Krona; brak środków leczniczych wywołuje katastrofę po 8-miesięcznym cierpieniu. W dniu 2 maja 1944 roku na ementarzu krośnieńskim wobec wielkiej garstki żydliwych słono do grobu... Józefa Bernatowicza...

Własną niedolę smodził spokojnie, martwił i lękał się jeno o los swoich ukochanych wychowanków; jedni poległ bohaterka śmiercią na polu walki, inni zamęczeni w obozach, wielu przepadło bez wieści, jeszcze inni nie byli pewni ani dnia, ani godziny.

O sprawie masurskiej Biedrawa w najcięższych chwilach nie zapomniał, utrzymywał kontakt z działaczami rozsypanymi po Generalnej Guberni pod przybranymi nazwiskami, wyskakującymi chwilami powrotu,

pracującymi w konspiracji. I nadszedł dzień, kiedy uczniowie Biedrawy sjechali na sienieć masurską, aby budować od podstaw Polskę, objęli szolowe stanowiska.

Doczesne szczątki Biedrawy pozostały na Podkarpaciu, czekają na żnięd, kiedy życzeniom zmarłego stanie się udział, kiedy awiazione zostaną do umiłowanej sieni masurskiej. Duch jego jednak przebywa wśród nas... W chwilach rozterki duchowej, w chwilach ciężkich, mylą twarzemy się o pomoc i radę do naszego wychowawcy... Na sieni masurskiej cudem prawie ocalał portret Biedrawy namalowany przez jednego z tych młodych Masurów, którymi kierował i którym właściwą drogę w życiu wskazał. Młody malarz świetnie uchwycił podobieństwo. Charakterystyczny jest fakt, że nie tylko wychowankowie masurcy, ale i dawni ze Śląska żywią gorące przywiązanie i z rozradowaniem wspomniają tego niepospolitego pedagoga. Dał nam naszym, trudnym masurskim terenie brók nam Józefa Biedrawy, jego współpracę i mądrą radę.

Jeden z uczniów

LEONARD BORKOWSKI

(1888 — 1939)

Wśród ofiar rozstrzelanych w r. 1939 przez Niemców w forcie VII w Poznaniu znalazł się redaktor „Przyjaciela Szkoły” — Leonard Borkowski. Zmarły był typowym przedstawicielem pozytywistycznej zasady „pracy organicznej”, która tak silnie zapuściła korzenie na gruncie poznańskim. Urodził się w 1888 r. w Toruniu. Tam ukończył w r. 1908 seminarium nauczycielskie, po czym pracował jako młody nauczyciel na Kaszubach, w Kielcynie, Lichewkach, Rowia, Grybowia. W r. 1914 przeniósł się do Berlina, skąd w r. 1919 wrócił do Poznania, gdzie w latach międzywojennych rozwijał bardzo pożyteczną dla nauczycielstwa i szkolnej polskiej działalności. Na Uniwersytecie Poznańskim studiował nauki pedagogiczne i prawo-ekonomiczne pracując równocześnie jako nauczyciel szkoły powszechnej. Po ukończeniu studiów przeniósł się do szkoły handlowej.

W r. 1922 założył dwutygodnik „Przyjaciel Szkoły”. Pismo to prowadzi bez przerwy do chwili wybuchu wojny w r. 1939, wydając ogółem 17 roczników, dochodzących do tysiąca stron. Pismo to zyskało sobie wkrótce ogromną popularność i czytane było w najodleglejszych zakątkach kraju, docierało nawet do szkół polskich na obszarze.

Oto co nakreślił sobie Borkowski w chwili założenia pisma: „Program „Przyjaciela Szkoły” mieści się już w samej nazwie: wydawnictwo nasze służyć będzie wyłącznie sprawom szkolnictwa, którego najistotniejsze

wyrazem jest nauczyciel, szkolnictwa naszego twórcą, organizatorem i kierownikiem. Aby zaś tym lepiej mógł spełniać swoje zadanie, jest i pozostanie zawsze „Przyjaciel Szkoły” czasopiśmie niezależnym, a więc nie stojącym na usługach żadnego kierunku politycznego, żadnej dzielnicy w pojęciu separatystycznym¹⁾, żadnej wręcz organizacji zawodowej.

Pragniemy, aby „Przyjaciel Szkoły” służył sprawie nauczania w pojęciu ogólnonarodowym. Nie będzie więc w nim miejsca na waśnie i spory, a za to otwiera szeroko swe łamy dla każdej myśli, każdego poglądu, którego celem głównym szkolnictwo polskie, jego budowa i odbudowa, jego wielkie posłannictwo. Idea nasza: nie krytyka śródna, lecz szczerą pracę pozytywną²⁾”

Programowi temu pozostał Borkowski wierny do końca życia. Pismo jego nie miało ambicji naukowych, chciało służyć szerokim rzeszom nauczycielskim i dać im poradę w codziennej pracy szkolnej. Wyrosło ono z potrzeby lat powojennych, kiedy — jak dziś — wielu nauczycieli bez wystarczających kwalifikacji uczyło w szkołach, w byłym zaborze pruskim uczyli nauczyciele co prawda wykwalifikowani, ale którym brakiem był duch szkoły polskiej.

Wobec swoich współpracowników okazywał Borkowski daleko posuniętą tolerancję. Każdy pogląd mógł w „Przyjacielu Szkoły” znaleźć trybunę do wypowiedzenia się. Przyczyniło się to do rozwinięcia ciekawych dyskusji na łamach pisma, przysparzało jednak i przykrości redaktorowi. Kiedyś śalił mi się, że zrobiono mu zarzut ze strony starszych katolików za umieszczenie artykułu o Tołstoju, to znów kołom lewicowym nie podobało się, że do głosu dochodzą autorzy klerykałni. „Przyjaciel Szkoły” robił wakurkę tego wracanie pisma bez wyraźnego oblicza, ale Borkowski celowo dążył do tego, by pismo było żywe, by wypowiedzieć się w nim mogli wszyscy, by czytelnik na podstawie jego pisma nie wchłaniał pewnego światopoglądu, ale go sobie wyrobił własną pracą myślową.

Borkowski umiał sobie pozyskać wybitnych współpracowników. Gdy przejrzymy 17 roczników „Przyjaciela Szkoły”, natrafimy na takie nazwiska, jak prof. Białkowski, prof. Jaxa-Bykowski, Bernard Chrząstowski, Ciembroniewicz, prof. Fryca, ka Gadowski, dr Kłpek, prof. Kołcoski, dr Kostecki, prof. Kłeci, prof. Kostrzewski, Kilarski, Małkowiakowski, dr Magiera, Karbowski, dr Majchrowski, Miski, Mirski, Młotek, prof. Nawroczyński, dr Nitman, dr Niesiołowski, Nowaczyk, Osterloff, Poprawski, Przyłucki, dr Papke, dr Rudniański, Świdwiński, Wanda Szyman, prof. Szyman, prof. Srober, Sedlaczek, dr Skopowski, prof. Soł-

¹⁾ W owym czasie wychodził w Poznaniu separatystyczny periodyk nauczycielski pt. „Trybuna Jerychońska”.

²⁾ Przyjaciel Szkoły, Rok I, str. 3.

nicki, prof. Tync, dr Tynelski, prof. Ulaszyn, Wachowski, Warscak, ks. Weryński, Więcek, prof. Zakrzewski i in. Większość autorów to oczywiście szara brzoza nauczycielska. „Przyjaciel Szkoły” był więc typowym piśmie nauczycielskim. Poziom pisma był często nierówny, obok prac oryginalnych i twórczych znajdowały się w piśmie często rzeczy słabe. Borkowski chciał dawać dużo, chociaż nieraz ucierpiała na tym jakość. Przecież jednak trzeba, że taki sposób redagowania pisma naktywili czytelników, z których każdy miał możliwość wypowiedzenia swego stanowiska wobec poruszonych spraw. Z tego względu Borkowski szczególnie pieczołowitością otaczał takie dzieła, jak „Uwagi dydaktyczne” i „Nasze echa”. Kiedy dziś przeglądamy długą listę współpracowników, to zauważymy, że niejedni działacze nauczycielski, wysoko postawieni w hierarchii szkolnej, jako młody nauczyciel debiutowali na łamach „Przyjaciela Szkoły”.

Celem naktywiania czytelników Borkowski ogłaszał ankiety i konkursy na aktualne tematy z teorii i praktyki wychowawczej i dydaktycznej. Po pierwszej wojnie światowej trzeba było się zastanowić — podobnie jak dziś — nad idealami wychowania, wówczas też idea szkoły pracy zaczęła sobie w Polsce torować drogę. Spotykamy więc ankiety na temat dółsterów, którzy najbardziej podobają się młodzieży (rocznik 1922), w sprawie zabaw i gier ruchowych polskich (rocznik 1923), obok tego konkursy z nagrodami na takie tematy: Ideal wychowania narodowego (rocznik 1923). Jak urządziłem-pracownicę robót ręcznych (rocznik 1923), Programy dla szkół powstających a możliwości ich zręczności (rocznik 1924).

Aby czytelników do pisma przywiązać i uczynić każdy numer „Przyjaciela Szkoły” dla oka miłym, Borkowski coraz więcej dba o formę graficzną. U grafików poznańskich zamawia drzeworyty do okładek, do piśmka dołącza wkładki artystyczne, a pod koniec roku przesyła gustowne okładki do oprawienia roczników. Dziś, gdy okiem rzucimy na bibliotekę domową niejednego nauczyciela, czy nasze spoczną na zielonkawych grzbiatach ze złocnymi napisami grubych tomów poszczególnych roczników „Przyjaciela Szkoły”.

Borkowski bardzo dbał o to, by każdy numer pisma wychodził punktualnie. Aby pod tym względem niezależeć się od dostawców, zakłada własną drukarnię. Nie zdarzyło się, by przez 17 lat numer pisma spóźnił się chociażby o kilka dni. Pod tym względem „Przyjaciel Szkoły” był naprawdę bezkonkurencyjny. To samo odnosiło się do korespondencji. Na każdy list wysłany do redakcji otrzymywało się odpowiedź w ciągu najdalej tygodnia.

Jak redaktor sobie z tym wszystkim dawał radę? Pracował w szkole, nie zaniedbywał swych obowiązków zawodowych, umiał rozstrząść w kla-

sie miłą atmosferą i pozostawił o sobie dobrą pamięć u uczniów. Po południu przeglądał i czytał rękopisy, co dwa tygodnie składał numer objętości 48 stron, sam przeprowadzał korektę, zatwalał korespondencję, przyjmował interesantów, prowadził księgowość, zaglądał do drukarni. Wszystko robił sam. Kiedy pismo się rozrosło, zatrudnił u siebie jedną stenotypistkę. To było całe biuro redakcji i administracji. Borkowski był naprawdę tytanem pracy. Nie korzystał z żadnych subwencji.

Kiedy byłem u niego po raz pierwszy, zatrzymał mnie na obiedzie. Spodziewałem się zastać zamkniętego w papierach poważnego starszego pana, który poza swoją pracą świata nie widzi. Tymczasem Borkowski okazał się przemiłym gospodarzem, niezwykle szczerym, gawędziarzem o rozległym doświadczeniu życiowym i prawdziwym self-made-man'em. Ale już przy dmerze i kawie poobiedniej wyjmował z kieszonki długie arkusze, którymi mnie uraczył, i wspólnie zrobiliśmy korektę. Potem zasiadał do biurka i punkt po punkcie zatwalał sprawy według codziennego terminarza. Wieczorem siedział z rodziną do trawajsja, jechał za miasto i pracował w swoim ogródku działkowym. Tam prawdziwie odpoczywał po trudach dnia. Przy tych wszystkich zajęciach znajdował czas na teatr, na rozmowy w kawiarni, na uczestniczenie w zebraniach naukowych. Zrozumiałem, że podoba wszystkim, bo światła umię gospodarzyć czasem, a przy tym był człowiekiem wybitnie zdrowym. Kiedy go o to zapytałem, odpowiadał mi, że nie rozumie, dlaczego ludzie jedzą do szkodliwych, chyba przez snobizm. Posłuchajmy jednak, co sam o sobie pisze: „Jestem nauczycielem czynnym, wypełniłem całkowicie pensum, prośby zgłoszonej przed rozpoczęciem roku szkolnego o zmniejszenie ilości godzin do ustawowego minimum nie uwzględniono, więc udzielałem się w szkole, i czasopiśmie. W tym kierunku redakcyjnym chodziłem od kilku lat bezustannie i dobrze mi. Raz jedyn w ciągu ostatnich lat pozwoliłem sobie na tydzień wolności: na wycieczkę-ucieczkę do Czechosłowacji. Latem bieżącego roku zamierzam odbyć podróż wakacyjną po Polsce, ale mimo licznych zaproszeń zamiaru musiałem zaniechać. A gdy dwa lata temu przygotowywałem się na dwutygodniową podróż za granicę, celem uczestniczenia w kursach pedagogicznych, by zatknąć się znów bliżej z ruchem naukowym na Zachodzie, to Ministerstwo odmówiło mi paszportu ulgowego”. Później udało mu się jednak przełamać te trudności. Wyjechał do Wiednia, by pomazać szkoły tamtejsze w świetnym okrestie Głocka, od czasu do czasu znów wyjeżdżał na kongresy międzynarodowe.

Obok „Przyjaciela Szkoły” wydawał biblioteczkę, w której ukazała się praca prof. Blachowskiego o egiptynie, „Podręczny leksykon pedagogiczny”. Co roku przysyłał też swym czytelnikom kalendarze kieszono-

we, które w owe czasy były najlepiej opracowanymi według zasad etyki, norm i techniki pracy umysłowej kalendariami.

Dziś odczuwamy brak tego człowieka, którego zabrali nam okupanci w pełni sił, a wydane przez niego roczniki „Przyjaciela Szkoły”, choć treść ich niejednokrotnie już się zdezaktualizowała, mówić będą o prawie zawsze szpilemym żywocie.

Ludwik Bandura

STANISŁAW BUZATH
(22.IV 1887 — 12.VIII 1940)

Dziecko Krakowa, gdzie ujrzał światło dzienne i gdzie — po ukończeniu Gimnazjum oo. Jezuistów w Głuchowie w dniu 21 maja 1906 — odbywał studia historyczne i geograficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim przez siedem semestrów w latach 1906 — 1910. Te studia ukończył dopiero we Lwowie i to dyplomem doktora filozofii w dniu 8 lipca 1910 oraz dyplomem egzaminu nauczycielskiego w dniu 21 maja 1912 r. Od tej pory związał się na stałe ze Lwowem i z regionem czerwonarskim. Miał przed sobą otwartą karierę uniwersytecką. Jego światna, biograficzna praca doktorska o Michale Kazimierzu Ogińskim, wielkim hetmanie litewskim (1731 — 1801) rokowała dla autora najlepsze nadzieje, ale pomimo szczerej zachęty ze strony mistrzów krakowickich i lwowskich Buzath nie obrał drogi uniwersyteckiej. Nie umieszczała mu się też i administracja szkolna, do której nakłaniano go z wielu stron, bo trzeba pamiętać, że w aplikacjach swoich do ukończonego fakultetu filozoficznego dołączył też później i fakultet prawniczy z dyplomem doktora praw, uzyskany 17 czerwca 1922 r. Został tylko i tylko nauczycielem i tu frontowa służba na rozmaitych posterunkach szkoły polskiej była terenem jego pełnego wyżywiania się duchowego. Tu odnalazł siebie w ciągłym, bezustannym obcowaniu i współżyciu z młodzieżą. Był zawsze hojnym szafarzem swej bogatej wiedzy, którą umiał serwować swoim uczniom z niezwykłą pasją i temperamentem i to na rozmaitych stopniach nauczania, czy to były lwowskie gimnazja męskie, czy prywatne zakłady średnie, czy kursy maturalne, czy Wydział Ogólny Politechniki Lwowskiej, czy Wyższa Szkoła Pedagogiczna (Pedinstitut).

Był zawsze frontowcem. Pierwszą wojnę światową przeżył razem z baterią swoją na kilku frontach. Z żołnierzami był blisko, podobnie jak później ze swymi uczniami. Znal zawsze po imieniu swych uczniów, wzmuszał się ich dołą-niedolą osobistą, miał zawsze serce otwarte dla wszystkich swoich wychowanków bez różnicy wyznania czy pochodzenia. Był nie tylko jednym z pierwszych organizatorów Sekcji Nauczycieli Szkół Średnich

ZNP we Lwowie, ale i w szkole był realizatorem najczystszych zasad demokracji. Nie nawidził małości i szaroci, a nawet jako dyrektor miał wstręt do biurokracji, do cyfr i papierów. Nie też dziwnego, że młodzież uwielbiała swego profesora i dyrektora, koledzy widzieli w nim swego najlepszego przyjaciela-brata, a Koło Rodzicielskie II gimnazjum lwowskiego, idąc zslakami entuzjazmu swego przewodnika, jako jedno z pierwszych we Lwowie stworzyło po prostu z niczego kolonię szkolną (w Szkole). Przez takie hojne rodawnictwo siebie na ożarno szkoły polskiej Stanisław Buzath przedwojenie strwoił swoje siły fizyczne, spalił się do cna, a grób jego na Cmentarzu Lyczakowskim we Lwowie — do dziś dnia nieopłakany.

Ryszard Skulski

BERNARD CHRZANOWSKI
(1861 — 1944)

Bernard Chrzanowski urodził się 27 lipca 1861 r. w Wojnowicach, w województwie poznańskim. Był synem Kazimierza i Bronisławy z Lipińskich. Szkołę średnią ukończył w Gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu. W 1880 r. odal się do Krakowa. Zapisał się na wydział filozoficzny Uniw. Jagiellońskiego, na wykłady historii. Brał udział w seminarjach profesorów Stanisława Smolki i Wincentego Zakrzewskiego. Zamilowanie do historii towarzyszyło mu odjąd przez całe życie. Kiedy z kolei przybył na studia prawnicze do Berlina, równocześnie pogłębiał nadal swą wiedzę historyczną. W seminarium ekonomicznym prof. Gustawa Schmollera kończył dwie prace historyczne: „O cechach w średniowieczu” i „O wewnętrznych dziejach Polski za Stanisława Augusta — Tadeusza Korzona”. Druga z tych prac pojawiła się w druku w „Jahrbuch für Gesetzgebung und Verwaltung” (Berlin, 1884). Po słożeniu egzaminu referendariuszowskiego w 1884 r. odbywa Chrzanowski praktykę sądową w prowincji saskiej w miastach Torgawa, Stendal, Wittenberga, Naumburg nad Sałą, Halle nad Sałą, prace w uniwersyteckim seminarium statystycznym w Halle u prof. Courada, aby ulepszyć swą metodę badań historycznych.

W 1890 r. osiedla się Chrzanowski w Poznaniu w charakterze adwokata przy sądzie ziemiankim. Od lat był już Chrzanowski członkiem tajnych towarzystw niepodległościowych, budził więc zaufanie i w Poznaniu. Niebawem w jego rękę skupiło się wiele poczyniń oświatowych i politycznych. Prelekcje Chrzanowskiego z historii polskiej i z literatury cieszyły się stałe powodzeniem. Chrzanowski należał do najgorliwszych prelegentów „Towarzystwa Wykładów Ludowych” w Poznaniu, zorganizowanego w 1898 r., wygłaszając w nim przeszło pięćdziesiąt wykładów

z rozmaitych dziedzin kultury polskiej. Niektóre z późniejszych prelekcji w „Towarzystwie Czytelni Ludowych” ukazały się nawet drukiem. Pełno również z tych czasów przemówień Chrzczanowskiego i prelekcji z sejmików oświatowych, zlotów i wieców „Straży”.

Od 1890 r. piastuje Chrzczanowski kilkakrotnie godność prezesa „Sokoła” poznańskiego i prezesurę całego Związku w zaborze pruskim i dba o to, aby „Sokół” przysparzał dobrych synów ojczyźnie. Ogłoszone przez Chrzczanowskiego w 1905 r. w „Sokole” „ABC w sprawie szerzenia narodowej oświaty przez Gniazda Sokole” wykazuje, jak pilnie zabiegał on wśród członków Towarzystwa i przez samych „sokolów” o rozbudzenie i rozpowszechnianie miłości i znajomości przelności narodowej. Tymi samymi drogami szła również praca Chrzczanowskiego wśród młodzieży, skupionej w tajnym Związku Towarzystw Tomassa Zana, wśród harcerek i wśród uczestników tajnych wycieczek wakacyjnych uczniów z Wielkopolski i Pomorza do Krakowa, organizowanych od 1905 do 1914 r.¹⁾

W latach 1901 — 1909 jest Chrzczanowski posłem poznańskim do parlamentu niemieckiego. Koło Polakie często powierza mu wtedy obronę najżywniejszych spraw, np. przy wnioskach o naukę religii w ojczystym języku (1902), przy projekcie prawa o stowarzyszeniach (1907), w obrocie sztuki i literatury polskiej (1908). Zwłaszcza ciekawe jest przemówienie Chrzczanowskiego przeciw sądownictwu praskiemu z dnia 25 lutego 1908 r., które słusznie przypominano w przekładzie polskim w czasopiśmie „Niepodległość” (1933, str. 288—295).

Chrzczanowskiego nazywali przeciwnicy politycy „najkrajniejszym spośród naszych demokratów”, a równocześnie reprezentantem „wykwintnej kultury”. Feliman wyraził się o nim: „Jussa-mimosa w ciele polityka”; a kanclerza Bülow, po mowie Chrzczanowskiego szczególnie Niemiec rządowi (z 16.III.1905 r.), wołał z oburzeniem: „Nie wierzę, aby gdziekolwiek mógł być taki kraj i taki parlament, w którym by przedstawiciel obcej narodowości mógł sobie pozwolić w ten sposób wyrażać się o rządach, administracji, historii i charakterze życia tego państwa, w którym żyje”. Widocznie ten „język czystego ducha, język wznieślości”, umiał być jednak groźny w parlamencie. „Der Chrzczanowskische Ton”, tak zwalczany przez Niemców, był zdaniem samego Chrzczanowskiego „jedyne odpowiedzi” jako ton nie „ubolewania, skarg i jęku, lecz ton oskarżenia”²⁾. O jednym z parlamentarnych przemówień Chrzczanowskiego pisał „Kurier Poznański”: „Krótkie ono było, ale świetne i porwijące. Porywające nie ogniem krasomówczym i tym aparatem

¹⁾ B. Chrzczanowski, Dzieńcień lat tajnych wycieczek młodzieży z zaboru praskiego, 1905 — 1914. Niepodległość. 1931. Str. 241 — 247.

²⁾ Ważne zebranie przedwyborcze na m. Poznań. Kurier Pozn. 3.IV.1903.

swyłym, którym rozporządzają wielcy mówcy, ale znakomitą treścią, na którą złożyły się trafność i stanowczość zdania, głębokość myśli i ciepła prawdziwie polskich uczuć”³⁾.

Kiedy Poznań w 1910 r. wystawił „kandydaturę ludową” na posła, pierwszy Chrzczanowski poparł gorąco swego „rywala”. „Co zaś dotyczy kandydatury robotniczej w zasadzie — mówił na wiecu przedwyborczym — to przywiązuję do niej wielką wagę. Przez masę robotników idziemy w przyszłość. Kandydatura robotnicza nie przyniesie ujemnej inteligencji, przeciwnie, przyszyje jej to za wielki czyn”⁴⁾. Wierzył tu był Chrzczanowski zasadom głoszonym już w odezwie z 13.V.1898 r. „Do moich przeciwników”, w której pisał: „tylko taki szeroki ruch demokratyczny, jaki wkręcił Czechy, tylko takie odrodzenie społeczeństwa od dołu może nas uchronić od zagłady”; wierzył zasadom, które jako poseł wypowiedział na poznańskim zebraniu przedwyborczym w 1903 r., kiedy wyrażając zadowolenie, że jego kandydatura jest, jak w gazetach wyczytali „kandydaturą zgody”, w ten sposób określił swe przekonania: „stoje na stanowisku warstw niższych, ponieważ żywotność naszego narodu spoczywa w tych warstwach. Nie chciałem przez to powiedzieć, jakbym był wrogiem warstw wyższych, lecz stanowczo wyrażam, że w interesie dobra narodowego trzeba podporządkować interesy warstw wyższych interesom warstw niższych”⁵⁾.

Powierzenie Chrzczanowskiemu, po odyskaniu niepodległości, napróżd jako podsekretarzowi stanu w Ministerstwie h. Działalności Pruskiej, a od 1921 r. jako pierwszemu kuratorowi Okręgu Sokolnego Poznańskiego pieczy nad szkołą było w rzeczywistości tylko uprawnieniem przez polskie władze tej chwalebnej misji, jaką Chrzczanowski od przeszło trzydziestu lat w Wielkopolsce pełnił. W ciągu ośmiu lat kuratorstwa Chrzczanowski zabiegał nie tylko o to, aby przejęcie szkolnictwa z rąk Niemców odbyło się szybko i sprawnie, aby szkoły polskie zdobyły możliwie najlepszy zespół nauczycielski, rekrutowany z całej Polski, ale przede wszystkim o to, aby wytworzyła się w ukończonej polskiej szkole atmosfera miłości i pracy. W „Dzienniku Urzędowym Kuratorium Okręgu Sokolnego Poznańskiego” pojawiały się raz po raz okólniki, których nie znaly inne okręgi, np. o pielęgnowaniu kwiatów, o kształceniu dobroci serca⁶⁾, o wzbudzaniu ciekawości do książki⁷⁾. Pośnagany okólnik kuratora z dnia 31 maja 1928 r.⁸⁾ zwracał się z prośbą do nauczycielstwa,

¹⁾ Kurier Pozn. 6.V.1902.

²⁾ Inteligencja wobec kandydatury ludowej. Kurier Pozn. 15.III.1910.

³⁾ Kurier Pozn. 3.IV.1903.

⁴⁾ Dziennik U.K.O.S.P., 1927, nr 7.

⁵⁾ Jw. 1928, nr 5.

⁶⁾ Jw. 1928, nr 6.

aby wychowywała młodzież w miłości Ojczyzny, a w karności dla Państwa i przynosiła podziękowanie nauczycielstwa za „umilowanie szkoły”, za pomoc w pracy. „Ustępuję weruszon — pisał Chrzanowski — bez zająć życia mego to ostatnie było mi najmiłszym”. „Objęliśmy urząd pierwszego kuratora O.S.P., wreszcie nauczycielstwo do wzajemnego poznania się, do zblżenia, aby zgodnie wychowywało obywateli dla całej Ojczyzny. Mam uczucia, że wspomniane wówczas przez mnie rozbiorne rany się zablizniły, że nauczycielstwo zająmuje się już ze spokojem wychowaniem młodzieży”.

„W jednym z pism do mojej władzy zwierzchniej roku zeszłego zaznaczając, że tworzenie dobrego szkolnictwa zależy jest nie od twardej ręki, lecz przede wszystkim od jego umiłowania przez nauczycielstwo, inspektorów, wizytatorów, a czasem i kuratora, twierdziłem, że taki dobry duch, będący bez wątpienia najcenniejszym walorem szkolnictwa, w okręgu poznańskim istnieje. Mam przekonanie, że nie minąłem się z rzeczywistością, że tak jest naprawdę”.

Tak było. Dzięki Chrzanowskiemu zataczył się w Wielkopolsce szybki różnicę daleńców, nauczycielstwo i młodzież szła za miłością do szkoły, nauczanie przepoił nut idealizmu promieniącej z postaci znakomitego wychowawcy. Wyrazem wdzięczności nauczycielstwa była pośmięta na akademii w null Uniw. Poznańskiego w dniu 4.XI.1928 r., ufundowanie przez młodzież poznańską ochrony im. B. Chrzanowskiego i umieszczenie pamiątkowego portretu pierwszego kuratora poznańskiego we wszystkich szkołach okręgu.

Powierzenie Chrzanowskiemu godności senatora R.P. w 1935 r. powitano z powszechnym zadowoleniem. Głośne echo wywołała w Wielkopolsce mowa Chrzanowskiego na posiedzeniu Senatu z dnia 9 marca 1936 r., polemizująca z exposé w Sejmie ministra spraw zagranicznych Becka²⁾, Chrzanowskiego zanepokoila nasza „przerazająca, rozbrajająca łatwowierność”, „dowiadająca dobrodusność”. „Minister spraw zagranicznych wspomina w swym exposé w Sejmie jedynie o Czechach! Jak gdyby w Niemczech nie było nic złego, wszystko było jak najlepiej. To niepokoi!”. Chrzanowski tłumaczył tę krótkowzroczność niezajomością przez Becka „psychę naszego sąsiada zachodniego” i rzucił na szalę swój głos, bo: „Polak zachodni najlepiej rozumie tę sąsiadką psychę. Mieliśmy przecież tyle sposobności ją poznać. Prześledź przez lata szkolne, przez lata uniwersyteckie, przez całe nasze życie późniejsze żyliśmy pod władzą tego sąsiada, studiowaliśmy jego historię, jego literaturę, poznawaliśmy jego kulturę, znamy go więc stanowczo najlepiej”. „Duch przekazywał się zapewne się tylko przysiał”. W obawie, aby zachwiany przez Becka

²⁾ Senat R. P. Sprawozdanie stenograficzne z 8 posiedzenia, 9.III.1935, Str. 37—20.

pakt o nieagresji nie stał się dla nas „jakby frodkiem nasennym”, podnosi „głos, radzący nieustanną czujność, jako stary harcerz powiem — czujność harcerską”. Na posiedzeniu Senatu z dnia 13 marca 1936 r., kiedy mowa była o przydziale funduszy przyznanych Ministerstwu Oświaty, wspominał się Chrzanowski o ziemi, „która winna być przede wszystkim uwzględniona, jako najbardziej potrzebująca i najcenniejsza”, ziemi, „której posiadanie jest warunkiem naszej prawdziwej niezależności, podstawą naszej rzeczywistej niepodległości — Pomorsie!”³⁾.

Dla Chrzanowskiego ta właśnie ziemia była „najdroższa”. Nieustanna troska o Pomorsze towarzyszyła mu przez całe życie. Pierwszy wykład o wybrzeżu wygłosił w 1902 r. w cyklu odczytów „Tow. Wykładów Ludowych” w Poznaniu pt. „Kaszubskie wybrzeże nad Bałtykiem”. Pierwszą „Wieczornicę Nadmorską” zorganizował w Poznaniu 7.III.1909 r., otwierając ją przemówieniem „Znaczenie morza dla narodu”. W tym samym roku wydał pierwsze karty z widokami wybrzeża i ogłosił „Zwiąły przewodnik z sześciu krajobrazami i mapą” pt. „Na kaszubskim brzegu”. W 1913 r. w „Wykładach T.C.L.” w Poznaniu podał wzór dwóch odczytów „Nad polskim morzem”, ilustrowanych 76 zdjęciami, podług własnych fotografii. W 1917 r. ukazała się jego książeczka „Z wybrzeża i o wybrzeżu” jakby na powitanie wyzwolającej się Ojczyzny. (W. II. 1920). W 1934 r. wychodził tomik Biblioteki Szkoły Powiatowej, przynoszący B. Chrzanowskiego „Wybrzeże”. W tym samym roku ogłasza Chrzanowski „Z wybrzeża i o wybrzeżu. Szkice nowe”, nakładem Ligi Morskiej i Kolonialnej. Są to szkice pisane już po odsysaniu niepodległości. „Charakter ich jest więc odmienny. Nie brami już w nich ton tęsknoty, jak w szkicach poprzednich, lecz dźwięczy zwod do pracy i walki. Wszystkie jednak napisane z tej samej, co dawniej potrzeby serca”. Notował w nich Chrzanowski z radością dowody wzbudzenia zainteresowania artystów wybrzeżem, a zwłaszcza historią pokąsania dla Pomorza — Żeromskiego, Chrzanowski opowiada o tych sukcesach z budującą skromnością w szkicach „Sienkiewicz, Kosmopnicka, Żeromski a wybrzeże” („Z wybrzeża i o wybrzeżu” 1917, str. 75—79), „Tęsknota Żeromskiego za wybrzeżem”, „Literatura o wybrzeżu”, „Dzieje kaszubskiej pieśni” — w „Szkicach nowych” z 1934 r. (Str. 16—21, 22—23, 49—54).

Coręcy kult dla Żeromskiego, z którym łączyła go przyjaźń, wyraził najładniej Chrzanowski w szkicu „Szkola w twórczości Stefana Żeromskiego” („Przyjaciel Szkoły”, 1926, nr 7, 9), uwidaczniając w nim nurt, który obok miłości Pomorza był im jednako drogi — miłość szkoły polskiej.

Obok młodzieży i szkoły, wybrzeża, twórczości Żeromskiego gorącożym

³⁾ Jw. Sprawozdanie z 12 pos. 13.III.1936, Str. 16—21.

smiłowaniem Chrzczanowskiego był Tadeusz Kościuszko. Podziwiał w tym „serdecznym bohaterze” przede wszystkim wielką prostotę, przedziwną skromność, niezwykłą dobroć, miłość człowieka, „stytaniczną pracę”, wiarę w Polskę. Urydatoleniu tych cech charakteru Kościuszki, jakże bliższych samemu Chrzczanowskiemu, poświęcił kilka przemówień na rocznicach w Gelsenkirchen, Poznaniu i Gdańsku w r. 1917 („T. Kościuszko”, 1918. Odbitka z „Sokola”). Potem w tomiku gawęd harcerskich „Z Ojczyzny” (1925) wędrowkę po Polsce rozpoczął od złożenia hołdu Naczelnikowi „Pod Krępą”, bo „jest to jedyny kawal ziemi nasycony krwią ojca naszej porażkowej walki o niepodległość, pierwszego jej wyznawcy i apostoła, pierwszego za nią rycerza, pierwszego jej żołnierza, pierwszego — powstańca”. Wreszcie osobno studium Chrzczanowskiego z 1933 r. swróciło uwagę nauczycielstwa na Kościuszkowicze pragnienie „powszechnej edukacji”, na ścisłą wiedzę, która dała Kościuszkę wykastalcem wyjątkowe na owe czasy i wszechstronne, na piękne łączenie wiedzy z wychowaniem duszy i serca. „Takiego połączenia wodza z orabłą w dłoni, przelewającego krew za wolność kraju, a przy tym nauczyciela z ksiązką w ręku, głoszącego powszechne nauce i miłosne wychowanie, świat dotychczas nie znał. Wydała je Polska.”¹¹⁾

¹¹⁾ B. Chrzczanowski, T. Kościuszko z „Powszechna Edukacja”, 1933. Str. 28. Prace B. Chrzczanowskiego wydane osobno: Teżknota za krajem w naszej literaturze. Poznań, 1906. — Nasze położenie kulturalne w zaborze pruskim. Poznań, 1906. — Niemcy a Słowianie. Poznań, 1905. — Na kaszubskim brzegu. Poznań, 1910. W. H. Lwów, 1920. — W sprawie wydawnictw ludowych. Poznań, 1911. — Ustęp z dziejów polskiej jazdy. Poznań, 1912. — Oświata ludowa i jej pracownicy. Poznań, 1912. — Sposób zgospikowania oświatowej pracy przez komitety powiatowe. Poznań, 1913. — Nad polskim morzem. Wykłady TCL. nr 5. Poznań, 1913. — Robotnik w sztuce. Wykłady TCL. nr 6. Poznań, 1913. — Kraszewica i Leńdzica. Wykłady TCL. nr 7. Poznań, 1913. — Księżka a wojna. Poznań, 1915. — Wychowawcze znaczenie opowiadanej bajki. Poznań, 1916. — Z wybrzeża i o wybrzeżu. Poznań, 1917. W. H. Lwów, 1920. — T. Kościuszko. Poznań, 1918. — Organizacja oświatowa w państwie. Poznań, 1919. — Do młodzieży. Poznań, 1920. — Z Ojczyzny. Lwów, 1925. — Przez okazywą kępkę z kroniką oliwskiego klasztoru w ręku. Poznań, 1926. — Z niewoli do wolności. Z dziejów związków Sokolów polskich w państwie niemieckim. Poznań, 1929. — Tadeusz Kościuszko a „Powszechna Edukacja”. Poznań, 1933. Poznań. Biblioteka Szkoły Pow. nr 22. Lwów, 1933. — Ideologia harcerska a Stefan Żółkiewski. Poznań, 1934. — Z wybrzeża i o wybrzeżu. Szkice nowe. Warszawa, 1934. — Wybrzeże. Biblioteka Szkoły Pow. nr 92. Lwów, 1934.

O B. Chrzczanowskim: W. Feldman (Junius), Współcześni politycy polscy. Krytyka. 1920. — St. Pigoń, W łączności z polskim wybrzeżem. Kurier Lw. 1918, nr 15. — Stefan Papée, Charakterystyka polskiego wybrzeża. Wiadomości Literackie. 1929, nr 3. B. Chrzczanowski. Poznań, 1928. (Przedruk w Kwiatkach na górze. Poznań: 1929.) B. Chrzczanowski jako wychowawca młodzieży. Poznań, 1929. — Słachetny inicjator. Odrodzenie. 1946, nr 22.

Do Bernarda Chrzczanowskiego, wówczas podsekretarza stanu, zgłosiłem się w styczniu 1929 r., zaraz po przybyciu z Krakowa do Poznania. Miłem szczęściem odgad współpracować z Chrzczanowskim blisko jako referent harcersstwa w kuratorium, jako redaktor czasopisma młodzieży harcerskiej „Cauj-Duch” i członek Zarządu Oddziału ZHP. Chrzczanowski nazywał mnie żartem swoim biografem. Kiedy w 1935 r. przeniosłem się na Śląsk, a potem do Lwowa, otrzymywałem dowody żywej jego pamięci. Dopiero w chwili wybuchu wojny straciłem łączność z podziwianym i serdecznie czczonym, znakomitym Wielkopolaninem.

Niemcy w grudniu 1939 r. wysiedlili Chrzczanowskiego do Warszawy. Tam, przybyły święty klęską narodową, z dala od drogiego Poznania, od umiłowanej, starannie dobranej biblioteki, spędził pięć lat, pisząc gorączkowo pamiętnik z osiemdziesięciu lat wczesnej służby Polsce. Pamiętnik, według życzenia Chrzczanowskiego, być może mogła ogłosić Rodzina dopiero w oznaczonym czasie po jego śmierci. Chrzczanowski zmarł 12 grudnia 1944 r. w Konstancinie w czasie pobytu u córki.

Obecnie, upoważniony przez rodzinę, opracowałem „Wybór pism B. Chrzczanowskiego”, z myślą o udostępnieniu przede wszystkim młodzieży głębokich myśli i żywotnych wakażach wybitnego działacza i wychowawcy. O „przełiczonej księżce” — „Z wybrzeża i o wybrzeżu”, wyrulił się Żeromski w 1917 r.: „Jest to jedna z tych księżek, które się czyta tyle razy, iż się jej tyczy niemal na pamięć. Treść i śliczny język zlewają się tak w jedno...” Chciałbym przez „Wybór pism”, poprowadzić sylwetkę Chrzczanowskiego, zaznajomić młodzież z jego pięknym życiem w służbie Ojczyźnie i najszerszym hasłem ludzkości.

Stefan Papée

ZOFIA CHRZĄSZCZEWSKA

(1883 — 1942)

Zofia Chrzczanowska ur. w r. 1883 w Czarniowcach, gdzie ojciec jej był lekarzem. Szkoła powszechna w Czarniowcach, po czym nauka prywatna z zakresu gimnazjum klasycznego w Samborze w lwowskiego. Egzamina dojrzałości w r. 1903. Wydział filozoficzny (germanistyka) uniwersytetu wiedeńskiego ukończony dnia 24.V.1913 z tytułem doktora filozofii na podstawie dysertacji naukowej pt. „Die Lehre von den möglichen Welten und vom zureichenden Grunde in den theoretischen Schriften der Gottschodianer und Schweizer”. Po skończeniu studiów nie przyjmując żadnych propozycji pozostania w Wiedniu w charakterze bibliotekarza uniwersyteckiej biblioteki, ale widząc, jak bardzo kraj potrzebuje (czaszy austriackie) wykastalcę młodzieży, zakłada wspólnie z Zenonem

Ekhardtem gimnazjum żeńskie im. M. Konopnickiej w Samborze, przeważając w nim bez przerwy do r. 1920. Po zakończeniu wojny przeniósł się na teren Poznańskiego w charakterze profesora gimnazjum, napróżd w Ostrowie Wkp., po czym w liceum państwowym w Bydgoszczy. Wojna r. 1939 zastała go w Bydgoszczy, skąd wysiedlona szkoła schronienia w Sanoku. I tu z miejsca przystępuje do konspiracyjnej pracy pedagogicznej organizując tajne nauczanie wśród młodzieży szkół średnich, oficjalnie pracując na kursach handlowych. Pod wpływem ciosów, które spadają na nią (śmierć ukochanej siostry oraz dwóch braci), zalamuje się jej zdrowie i ulega złośliwemu nowotworowi. Umiera w Samborze dnia 6.XI.1942.

Zdzisław Żygulski

JĘDRZEJ CIERNIAK
(1886 — 1942)

W potwornej hekatombie wojny ostatniej, jako ofiara biologicznego wyniszczenia narodu naszego, padł od kuli niemieckiej Jędrzej Cierniak, piękny człowiek swojego pokolenia, jeden z najcenniejszych owoców, jakie włożyła wieś nasza w skład kultury dachowej Polski. Pedagog, organizator, pisarz przedni, a przede wszystkim prawdziwa indywidualność, człowiek wysokiej wartości i osobliwego uroku. W dziejach kultury wstąpił on w przednim szeregu pionierów, obok Solarza i niewiele innych.

Urodzony dnia 15 października r. 1886 w wiosce Zaborów w chudobnej rodzinie chłopieckiej, staraniem uwielbianej matki przede wszystkim dostał się do szkół w Bochni, gdzie uzyskał maturę w r. 1908. Już w gimnazjum wszedł w zastępy tajnej organizacji narodowej, która gęstą siecią wiązała wtenczas życie młodzieży szkolnej zaboru austriackiego i pierwsza obcocywiała surowie wiejski na kształt przydatny do budowy niepodległego państwa polskiego.

Już w gimnazjum zainteresował się Cierniak czynnie folklorem, sztuką ludową, zwłaszcza teatrem, i organizował we wsi rodzinnej widowiska artystyczne. W Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie studiował i w seminarium Ignacego Chrząnowskiego ukończył polonistykę, prowadził dalej i pogłębiał swą działalność artystyczną i oświatową, znalazłszy dla niej stosowny teren w akademickim kole T.S.L.

Lata 1914 — 18 spędził w szeregach jako ochotnik w wojsku, która miała narodzić ziścić marzenia naszych lat młodych, unicestwić zbrodnię rozbiorów, przywrócić Polsce niepodległość. Po wojnie popieprzył do stolicy odzyskanego państwa i stanął wśród tych, co od przyciesi zaczęli wznosić nowe domostwo. Już się miał z Warszawą nie rozłączyć po konie życia. Najpierw jako nauczyciel, potem jako inspektor gimnazjum W. Gór-

skiego oddał się pracy nauczycielskiej wkładając w nią wyjątkowy ślad zapału i oddania.

Ala praca pedagogiczna nie wyczerpywała całej pulsującej jego aktywności, trzeba było innego jeszcze pola, gdzieby się wyladować mogła radośnie twórcza jego osobowość. Działo się to najpierw na terenie szkoły. Organizował w niej Cierniak drużyny teatralne, urządzał widowiska, między szkolne pokazy teatralne i taneczne, wszystkie oparte o zasoby sztuki ludowej. Z widowiskiem pt. „Wielki krakowak” urządził wycieczkę szkolną do Węgier, Jugosławii, Bułgarii i Turcji, inną sztukę wystawił na Powszechnej Wystawie Krajowej. Do widowisk tych sam komponował teksty, a charakter ich i znaczenie usasadniał w rozlicznych odczytach i pogadankach (także radiowych) oraz w artykułach.

Wychodził we Lwowie od lat kilkunastu ubożuchny miesięcznik „Przewodnik Teatrów i Chórów Włościańskich”, Cierniak przejął jego redakcję, przeniósł do Warszawy, a zmieniwszy tytuł na „Teatr Ludowy” przeistoczył zarazem jego charakter. W piśmie tym redagowanym przez lat kilkanaście, aż do r. 1939, wypowiedziała się najpełniej indywidualność twórcza Cierniaka. W kilku kierunkach. Zwłaszcza od r. 1927, kiedy Cierniak przeszedł do Ministerstwa W.R. i O.P. jako wizytator oświaty pozaszkolnej, oddał się on ulubionej dziedzinie pracy w całość. Instytucja Teatru Ludowego rozrosła się, siecią ognisk pokryła całą Polskę, zgromadziła rzeszę pracowników. Duszą jej był Cierniak. Dziesiątki i dziesiątki kursów wakacyjnych, pokazów przykładowych obejmował i prowadził sam podtrzymując na nich wysokie strojenie ideałów. Nauczycielstwa, nawiąknemu do estetycznych i surowych figur zwierzęcych, czyni dziwnym, ale i czyni niezapomnianym wydał się ten wizytator, który się zjawiał plechotką, ze skrzypką pod pachą i życzliwym uśmiechem na ustach a do brocią w sercu, z nieprzebranym zapasem anegdot rodząjących, koncepcji, piosenek, kiedy stawał w gromadzie, grał, przytupywał, a spokojnie i taktownie uładzał, zapalał i organizował. Gdzie się zjawiał Cierniak, tam pewnie zakwitła życie, radość, wzajemna życzliwość. Setki nauczycielstwa takim właśnie go pamiętają.

Ala rozkwitnienie idei teatru ludowego, nadanie aktywności całemu zespołowi jego pracowników to zewnętrzne dopiero przejawy ruchu, którego sekret i walor skłwił gdzie indziej. Tkwił w samej idei teatru ludowego, jak się dziś mówi: Cierniakowego teatru ludowego. Co to za idea?

Cierniak zerwał stanowczo z mniemaniami, że teatr ludowy to jest teatr amatorów odgrywający po wieiach popularne sztuczki komiczne lub patriotyczne. Nie włączał doń nawet sztuk pisanych po wieiach przez samodzielną autorów-chłopów. Wszystko to miał za czczą zabawkę. Jego koncepcja teatru ludowego była o wiele głębsza. Wychodził z założenia, że

pierwotne życie gromadskie wsi wytworzyło i ustaliło pewną ilość obrzędów o usankcjonowanym tradycyjnie układzie i przebiegu, obrzędów — widowisk o charakterze właśnie dramatycznym, sefrodkowujących w sobie momenty jakichś donioślejszych zespołów duchowych. Do dzisiaj dochowały się z nich jedynie niektóre, i to w stanie szczątkowym. Z jakąś radością przyjął Cierniak rozprawę C. Ehrenkreutzowej, która na rozległym materiale dowodowym wykazała takie właśnie tradycyjne elementy dramatyczne w wiejskim obrzędzie weselnym mającym stałą swą niezmieniałą strukturę, rozdzielał ról między aktorów protagonistów i drugoplanowych, chór z koryfeuszami, i ustalony porządek począwszy od obrzędów. Remanenty takich prastarych, w sakralny porządek dramatyczny ujętych obrzędów są wcale częste po wsiach, związane z porą roku (gaiki czy maje, sobótki), z czynnościami gospodarskimi (śniwno, kosiarskie, zakładający domostwa), z biegiem życia i śmierci (pogrzeby, zaduszki). Jednym słowem, właściwe widowisko dramatyczne dla chłopca — to nie zabawa, „kumedyja”, to obrzęd społeczny o charakterze sakralnym, ściśle w pewien tytuł tradycyjny.

Obłą za główne zadanie teatru ludowego uznał Cierniak przywrócenie widowiskom obrzędowym ich charakteru i dostojenia i ucylenie ich ogniskiem zespołowego życia artystycznego: chciał więc rozwinąć je w ich bogactwie i utrwalić w gromadzkim obyczaju wiejskim. Tę ideę macierzysty uczynił osiłą swą koncepcją teatru ludowego. Rozwijał ją z różnych stron i na różne sposoby w kilkumiesięcznych „Teatru Ludowego”, głosił w niezliczonych „pogwarkach”, a co najważniejsze: oddał jej na usługi swój niepoważny talent twórczy. Z resztek obyczajów, z tradycji, z pieśni ludowych rekonstruował on takie właśnie widowiska — obrzędy dla wsi.

W nich to dopiero odnotował Cierniak spelną zasobę poezji tkwiącej w jego sercu. W cyklu tych widowisk stworzył podstawę repertuaru dla tak pojętego teatru. Niektóre ogłosił osobno: „Szopka krakowska”, „Hanuszowe wesela”, inne — a tych jest większość — podawał parokrotnie w coraz to zmieniających scenariuszach, jakby ramach do wypełnienia. Domagał się bowiem od zespołów, by twórczo współpracowały w odbudowie takich widowisk, by szkice scenariusza wypełniały materiałem własnym, regionalnym, inaczej mówiąc zmierzal do tego, by widowiska nie były czynną naniósłymi, ale by każdorazowo wyrastały z gruntu, a ducha wsi.

Z widowisk tych („W kręgu słońca” i in.) najbliższymi „Franusowa dola”, istny klejnot sztuki ludowej, zarazem coś jakby autobiografia samego twórcy, przechodzącego pod cełarem pieśni całe życie od ubogiej kołobki poczynając. Z pieśni ludowych złożona opowieść sceniczna o grafka

wioskowym, od momentu kiedy mu aniołowie włożyli skrzydełka do kółki, aż poza zgon, kiedy Franus w emfach niebieskich cięsy aniołów zrewną zaborową nutą.

Ten wydiwisk sztuki nie był przypadkowy. Cały bowiem ten entuzjazm Cierniaka dla sztuki ludowej, całe jego przeświadczenie o szmerodnym bogactwie i wartości kultury ludowej tym były zamierzone, że nie miały w sobie nic z inteligentkiej fanaberii, że były organicznie związane z ziemią rodzinną, z jednym szczególnie jej punktem: z Zaborowem, ze stronami ojezystymi autora. Ze stronami tymi związany był Cierniak uczuciowo wprost apasmatycznie. Wiosnę podziwiał on kulturalnie, pomagał w budowie Domu Ludowego, rozślawiał ją, gdzie się dało; obwoził zespół muzykantów zaborowickich z ich repertuarem po rozgłośniach polskich, po prostu powietrzem swęj wsi nawet rodzinnej żył — można powiedzieć — bez przerwy. Stał Franusia w niebo wprowadził z nutą zaborowicką.

Przywiązaniu do wsi swęj i do swęj sąsiadów dał Cierniak wyraz w monografii pt. „Wiosna Zaborów i zaborowski Dom Ludowy” (1936). Tam zebrzał świadectwa fródlowe i wspomnienia o przeszłości wsi, przedstawił jej stan gospodarczy, obyczajowy, umysłowy, zarazem rozślawił mniósłwą refleksji i wskazał co do dróg rozwojowych wsi i w ogóle kultury ludowej w przyszłości. A wszystko to przepoił serdecznością umiłowania, dzięki czemu każdoćka ta, uroczę zjawisko, wyrasta wysoko poza granice etnografii ku dziedzinom poezji wzruszeń.

Jako wizytator ministerialny, z urzędu niejako odpowiedzialny za ową drogę rozwojową kultury wiejskiej, czynił Cierniak wiele, by sprawę ich uczynić przedmiotem troski ludzi najmądrzejszych i najczciwiejszych w narodzie. Na zebraniach dyskusyjnych wewnątrz ministerstwa atawał nie raz do oceny politykom sanacyjnym za ich nieczyłalność w stosunku do wsi. Przenosił tę dyskusję na szerokie platformy, organizował zjazdy poświęcone sprawom kultury wsi w Łowiczu, Kramieniu, szczególną pieczę otaczał uniwersytety ludowe. Szczegółowo i mądrę jego relacje wizytacyjne z różnych ośrodków, gdyby nie splóndy w Warszawie, byłyby pierwszym materiałem do zobrazowania życia wewnętrznego i rozwoju tych ognisk oświaty i ducha obywatelskiego wsi.

Po wybuchu wojny nie zezwał z pola. Stał do pracy tam, gdzie to było możliwe: jako nauczyciel szkoły powszechnej na Targówku, przedmieściu Pragi, i po swojemu cały entuzjazm włożył w opiekę nad dzieckiem ulicy, nad białą przedmieściem. Przygotowywał też nowe pomysły i nowe tereny pracy na przyszłość w założonym przez się Instytucie Teatru Ludowego.

Przyśrodku tej nie było mu doczekać. Arrestowany dnia 22 kwietnia 1941 r. w związku z kolportażem prasy podziemnej wytrzymał niemal rok w więzieniu i w szpitalu więziennym na Pawlaku. I tam również pozostał sobą: serdecznym entuzjastą sztuki o rozmalowanych oczach dzieciaka. Dla współwięźniów w sali szpitalnej urządzał widowiska szopkowe, potem zaopustno, sam wyrabiając z galganek kukielki, pisząc aktualne pieśni i dobierając melodie, i sam je naturalnie odśpiewując. Takiej sceny i takiego postannictwa zwyczaj „saulu” sprawdzającej laską uśmiechu na usta więźnia nawet w swej „Framusowej dolinie” nie przewidywał.

Na chwilę decydująco wmiszał się w tę „dole” — szatan. Dnia 2 marca 1942 r. wywieziony poza Warszawę zginął Cierniak rozstrzelany w nie-wiadomym miejscu.

Działaj, kiedy sprawy kultury ludowej zmalały się znówu na wielkim skrypcie, wspominać o stracie Iędrzeja Cierniaka, jednego z najcenniejszych i najwartościowszych jej przedowników — jest szczególnie ciężko.

Stanisław Pigoń

ADAM CZERNIAKOW
(1880 — 1942)

Urodził się w Warszawie dnia 29 listopada 1880 r. Po ukończeniu szkoły średniej wstępuje na wydział chemiczny Politechniki Warszawskiej. W r. 1905 przenosi się do Drezna, tam kończy politechnikę zyskując dyplom inżyniera-chemika. Po powrocie do kraju kończy Politechnikę Warszawską ze stopniem inżyniera-technologa. Był asystentem prof. Waynara, a jednocześnie wykładowcą w szkole rzemieślniczej im. dra Ludwika Natanson. Jest najbliższym współpracownikiem prof. Maksymiliana Hellperna, ówczesnego dyrektora tejże szkoły. W braku wszelkich pomocy szkolnych wraz z dyrektorem Hellpernem sporządza mapy, wykrośy, różnego rodzaju tablice. Z prac tych korzystały pokrewne szkoły. Pracuje w Uniwersytecie Ludowym. Jest w serdecznym kontakcie ze Stefaną Sempolowską. Koresponduje z nią stale i serdecznie. Kontakt urywa się dopiero z jego śmiercią.

W r. 1918 wydaje nakładem Arcta książkę pt.: „Silniki spalinoce”. Książka ta polecana była przez komisję przy Ministerstwie Oświaty jako podręcznik dla studentów politechniki oraz studentów wyższych szkół technicznych. Jako kierownik biura w Ministerstwie Robót Publicznych wydaje mapę miasteczka Polki.

Był w ciągu 8 lat radnym miejskim specjalizując się w administracji samorządowej. Prowadzi na tym terenie m. in. referat szkolnictwa zawodowego. Z okresu tego powstaje kilkadziesiąt publikacji. W r. 1927

Cierniakow kandyduje na senatora z ramienia Związku Rzemieślników Żydów.

Po wybuchu drugiej wojny światowej w r. 1939 zostaje przesłany Cmentarz Żydowski. Na tym stanowisku był dla swoich tym, czym Starszyński dla stolicy: mężowskim pełnomocnikiem potrzeb i obrodcą honoru skasowanych na śmierć. Nie chce wykonać brutalnych rozządów niemieckich ani mógł dalszych upokorzeń popełnić samobójstwo 23 lipca 1942 r.

Stanisław Świdziński

SAMUEL DICKSTEIN
(1851 — 1940)

Twórczość Samuela Dicksteina rozwijała się bardzo wyraźnie w trzech kierunkach: naukowych badań matematycznych, historii nauk ścisłych oraz pedagogicznym. Z tą właśnie stroną jego działalności musi się zapoznać przede wszystkim nauczyciel polski.

S. Dickstein, urodzony w Warszawie w dniu 12 maja r. 1851 z ojca Rafała i matki Malgorzaty z Waldenbergów, w Warszawie też uczęszczał do szkół: najpierw do warszawskiej szkoły powiatowej, potem do I Gimnazjum Męskiego (1860 — 1866). W r. 1866 jako młody, piętnastoletni chłopiec wstąpił do Szkoły Głównej. Był to już okres zmierzchu tej uczelni, w trzy lata później przemianowanej na Uniwersytet Warszawski — Cesarzowski i przekształconej w uczelnię rosyjską. Wpływ Szkoły Głównej na Dicksteina był ogromny. Do końca życia lubił powtarzać, iż jest wychowankiem Szkoły Głównej i smuć wspomnienia z tamtych lat. Był też we wkręszonym Uniwersytecie Warszawskim ostatnim z profesorów, który tak wyraźnie łączył w sobie tradycje tej starej i nowej uczelni. Zapewne z okresu jego studiów w Szkole Głównej zostało mu czysto humanistyczne zamilowanie do zastanawiania się nad tradycją form nauczania i dziejami instytucji nauczających. Uniwersytet ukończył w r. 1870 jako „kandydat nauk matematyczno-fizycznych”, w sześć lat później zdobył tytuł magistra.

Całe życie i działalność pedagogiczną Dicksteina podzielić można od momentu ukończenia przez niego studiów na trzy wyodrębnione okresy: 1) 1870 — 1905, gdy pracował jako nauczyciel szkół średnich i popularyzator wiedzy ścisłej, 2) 1905 — 1915, gdy współdziałał w walce o szkołę polską i o nowy typ tej szkoły i wreszcie 3) 1915 — 1939/40, gdy pracował wyłącznie naukowo i jako profesor odrodzonego Uniwersytetu Warszawskiego.

W pierwszym z tych okresów był nauczycielem w VI Męskim Gimnazjum oraz II, III i IV Żeńskich, uczył też w szkole realnej Kronenberga,

a także przez lat dziesięć (1878 — 1888) prowadził własną szkołę realną w Warszawie. Ta jego praca przypadła na dobę rozkwitu pozytywizmu i kultu wiedzy ścisłej. Dickstein został jednym z najenergiczniejszych działaczy obozu pozytywistycznego i zwolenników pracy organicznej. Jego energia, inicjatywa i wiedza nakłania go do stworzenia szeregu nowych placówek naukowych. Jest redaktorem i inicjatorem „Biblioteki Matematyczno-Fizycznej” (1884), należy do redakcji „Przyrody i Przemysłu” (1872), „Prac Matematyczno-Fizycznych” (1888), „Wiadomości Matematycznych” (1897), „Bibliografii matematycznej polskiej XIX stulecia” (1894), drukuje artykuły fachowe w „Ateneum”, „Bibliotece Warszawskiej”, „Kosmosie”, „Wzschwicie”, „Encyklopedii Powszechnej Ilustrowanej” itd.

Już w tym okresie w uznaniu jego zasług naukowych powołano go na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu (1890), członka-korrespondenta Polskiej Akademii Umiejętności (1893) i wielu innych.

W tej wczesnej swej działalności bardzo wyraźnie zainteresował się Dickstein problemami pedagogicznymi. Jako stały współpracownik i członek redakcji „Przeglądu Pedagogicznego” umieszczał tam artykuły z dziedziny dydaktyki matematyki. Oto wykaz szeregu pierwszych jego artykułów z „Przeglądu”: „Geometria w szkole” (1882), „Metoda wyciągania pierwiastka sześciennego” (1882), „Przytoczenie do nauki podzielności liczb” (1883), „O Fizyce Chróścikowskiego” (1883), „Notatki do terminologii polskiej w matematyce elementarnej” (1883), „Lekcja o stosunkach proporcjonalności” (1886, 4 numery), „Reforma Knillingsa w nauczaniu arytmetyki” (1887). Podobne artykuły w tym piśmie umieszczał do 1905 roku.

Największe jednak zasługi oddał Dickstein pedagogii przez stworzenie w roku 1881 „Rocznika Pedagogicznego”. Wydawnictwo to ukazywało się w dwu okresach i w dwu seriach. Pierwszy raz w latach 1881 — 1884, potem zostało wznowione po wojnie światowej. Celem jego było przede wszystkim scentralizowanie aktualnej wiedzy o ruchach i osiągnięciach pedagogicznych w Polsce i świecie, obsługa bibliograficzna i poradnictwo.

Od r. 1882 był też Dickstein stałym współpracownikiem „Encyklopedii Wychowawczej” umieszczając tam szereg prac z dydaktyki matematyki i historii oświaty i nauki. Ta ostatnia interesowała go już w zaraniu jego pracy nauczycielskiej. Już w r. 1883 pisał w „Przeglądzie Pedagogicznym” o Lenczewskim — „Wyjętek z matematyki polskiej” i w „Kłosach” (1887) o Hoene Wrońskim, po czym szerzej rozprawę w r. 1896 pt. „Hoene Wroński, jego życie i prace”. On pierwszy zwrócił uwagę na postać pijara fizjokraty Antoniego Popławskiego, pisząc o jego poglądach na oświatę ludu: „Głos Antoniego Popławskiego w sprawie oświaty ludu w 1774 r.” (Księża „Na powołania”, 1904).

W latach 1905 — 1915 rozszerzył się zakres działalności Dicksteina i związał go z początkami odradzającego się szkolnictwa polskiego oraz wkraczającymi instytucjami naukowo-oświatowymi w Warszawie. W r. 1906 powstało Towarzystwo Kursów Naukowych, w których on został prezesem Rady Naukowej i jednym z wykładowców. On był jednym z założycieli Towarzystwa Naukowego w Warszawie, Biblioteki Publicznej, Kola Matematyczno-Fizycznego, Muzeum Pedagogicznego, kuratorem Obserwatorium im. Jędrzejewicza itd. Dla polskich szkół średnich opracował szereg podręczników („Arytmetyka w zadaniach”, 1906 i „Zarys arytmetyki politycznej” w r. 1910 z Danilewiczem). Nie przerywał też pracy historyczno-oświatowej ogłaszając szereg przyczynków do działalności i twórczości Jana Śniadeckiego.

W czasie pierwszej wojny światowej nie usunął się od obowiązków społecznych i obywatelskich. W latach 1914 — 1919 był członkiem Komitetu Obywatelskiego Warszawy.

Dopiero w r. 1915 mógł Dickstein przystąpić do pracy profesorskiej w odrodzonym Uniwersytecie Warszawskim obejmując katedrę matematyki, a od r. 1919 będąc honorowym profesorem matematyki i historii nauki na wydziale filozoficznym, potem matematyczno-przyrodniczym. W r. 1921 otrzymuje tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego. Jego zasługi naukowe zostały uhonorowane w dzień jubileuszu w r. 1937 w czasie obrad III Polskiego Zjazdu Matematycznego i drogi specjalnego wydawnictwa jubileuszowego. („Jubileusz 65-lecia działalności naukowej, pedagogicznej i społecznej profesora Samuela Dicksteina”, Warszawa, 1938, stron 58.) Jego praca na uniwersytecie dawała mu wiele zadowolenia, lubił wspominać o przeszłości uczelni i wiele przerw między wykładami spędzał w sali senackiej na rozmowach z młodym pokoleniem wykładowców.¹⁾

Natychmiast po odyskaniu niepodległości przez Polskę, korzystając z nowych warunków politycznych, rozpoczął Dickstein prace i w zakresie historii nauki i oświaty. Wznowił przede wszystkim wydawnictwo „Rocznika Pedagogicznego”, którego redakcją została prof. Helena Radlińska, a on stanął jako prezes na czele Komitetu Redakcyjnego. Nowa seria „Rocznika” objęła lata: I tom — 1921; II t. — 1924; III t. — 1928 i dwa tomy pod redakcją prof. Nawroczyńskiego 1929 i 1930 r. IV cz. I i cz. 2. W nowej serii „Rocznika” ogłosił Dickstein prace pt.: „O reformie nauczania matematyki w Polsce, notatka historyczna” (1921) i dal opracowanie z wyników ankiety „Rocznika” w sprawie poziomu przygotowania

¹⁾ Miałam zaszczyt „kolegować” z nim w latach 1926 — 1930 w uniwersytecie i słuchać tych jego wspomnień ciekawych dla mnie, jako dla specjalistki.

abiturientów szkół średnich do szkół wyższych pt.: „Szkoła średnia a ucelenie akademickie” (1928, str. 103 — 117).

W latach 1921 — 1923 poświęcił bardzo wiele czasu na zorganizowanie wielkiego obchodu Komisji Edukacji Narodowej. W ramach specjalnego Komitetu Wykonawczego, w skład którego wchodził na terenie Warszawy prof. H. Radziński, Kazimierz Król, Józef Lewicki oraz niżej podpisana, podkreślał niejednokrotnie, że najlepszym naczelnikiem Komisji Edukacyjnej będzie nie sam obchód, a wydawnictwa i prace źródłowa, opisy archiwów, bibliotek i prace monograficzne. Do zabrania się do tej pracy zachęcał całe młode grono historyków.

Jak gdyby kontynuując pracę tego komitetu był oddział warszawski „Komisji do Badania Dziejów Oświaty i Szkolnictwa” przy Ministerstwie WR i OP. W skład tego oddziału poza wyżej wymienionymi osobami wchodziła jeszcze Maria Hornowska, pracująca wtedy nad archiwami Krasiańskich i Zamojskich; niżej podpisana była sekretarką oddziału. Dickstein należał do najczynniejszych jego członków, nie opuszczał nigdy zebrań bijąc na alarm, domagając się jak najszybszego uporządkowania i opracowania archiwaliów oświatowych. Zebrania odbywały się w Archiwum Oświaty przy Uniwersytecie Warszawskim, archiwum kryjącym w sobie skarby niewyżytkanych źródeł do dziejów oświaty w Królestwie Warszawskim, Królestwie Kongresowym i szkolnictwa ziem zaboru rosyjskiego. Dickstein wielokrotnie powtarzał, że my, historycy uniwersytetu warszawskiego, mamy specjalny obowiązek wyzyskania tych zbiorów. Tragicznym wspomnieniem i wyrzutem dla historyka może być niktący już w pamięci obraz jego siwej głowy na tle półek i szaf z aktami, z których już nic nie ocalało po pożarze w roku 1939, mogą być jego słowne ostrzeżenia płynące z dawnych lat, jego głos sugestywny, pełen cieni dla dorobku polskiego szkolnictwa i trudu pedagogicznego przesylnych pokoleń.

Stary profesor zbliżający się wtedy do osiemdziesiątki, a następnie przekraczający 80 lat życia nie tylko młodych wzywał do pracy. Sam w ostatnich dziesięcioleciach swego życia (1930 — 1940) ogłosił szereg rozpraw z historii nauki i oświaty. W r. 1933 na międzynarodowym Zjeździe Historyków „Comp d'oeil sur l'histoire des sciences exactes en Pologne” (wspólnie z Aleksandrem Birkenmajerem) oraz prace o L'Huilberze (1929), Janie Śniadeckim (1931), M. Hubem (1937 — 1938).

Niesłychanie pracowity, pełen jeszcze ognia młodzieńczego, energii i zapału, zbliżał się do kresu swego życia. W ostatnich latach przed wojną jego energię podtrzymywała już tylko myśl o przeszłości. Gdy przedstawiał mówić o Szkole Głównej, o przeszłości polskiej nauki i oświaty, gwałtowniejsze, coraz cięższe bowiem poprzez jego miłość do nauk przebiegała głęboka troska o ojczyznę i jej przyszłość, której tragedię mo-

że przeczuwał. W ciężkich latach ekscyzjów antyżydowskich na uniwersytecie jakże serdecznym błyskiem oka, jakim energicznym wyścignięciem ręki witał tych wszystkich, którzy mu okazali tym serdeczniej niezmienią cześć, szacunek i umanie, jako wzorowi polskiego uczonego, patrioty i nauczyciela pełnego uwielbienia dla dawnych polskich tradycji.

Zmarł w okupowanej Warszawie w dniu 28 stycznia 1940 roku.

Hanna Pohaska

BOHDAN DYAKOWSKI

(1864 — 1940)

W pierwszej połowie grudnia r. 1940 złożono do grobu na Cmentarzu Rakowiekim w Krakowie zasłużonego Polaka, przyrodnika Bohdana Dyakowskiego. Zmarł w ciężkim okresie okupacji nie doczekał się tak upragnionej wolności. Żegnało go liczne grono uczniów i wychowanków, którym wasepszył w krew umiłowanie przyrody ojczyzny.

Urodził się dnia 22 grudnia 1864 r. w Kotliuświecach, w gubernii kijowskiej. Nauki początkowe pobierał w domu. Później zdał egzamin wstępny do 3 klasy Gimnazjum Klasycznego w Warszawie i odtąd w tym mieście odbywał dalsze studia. W r. 1883 zdał maturę i zapisuje się na oddział przyrodniczy Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Warszawskiego. Jeszcze jako student uniwersytetu pełni równocześnie w latach 1885 — 1887 funkcje asystenta przy katedrze systematyki zwierząt u prof. Augusta Wrzosińskiego. W r. 1888 uzyskuje dyplom kandydata nauk przyrodniczych oraz otrzymuje świadectwo nauczycielskie, uprawniające do nauczania przyrody i fizyki w zakładach naukowych prywatnych. Były to czasy carskich rządów w Polsce porzoblowej.

Z chwilą ukończenia studiów przyrodniczych B. Dyakowski rozpoczyna okres intensywnej pracy pedagogicznej. W r. 1889 obejmuje stanowisko nauczyciela przyrody w 6-klasowej Szkole Realnej Wojciecha Górnego. Uczy w niej do r. 1891, pełniąc równocześnie obowiązki nauczyciela w szkołach żeńskich. Do r. 1896 narzasko jego widnieje w gronie nauczycielkim oficjalnych szkół Szkoły Tęgasza, Marii Raun i siostrę Karwowskich. Ponieważ były to czasy, w których obok szkół zatwierdzonych przez rząd carski istniało w Warszawie silnie rozwinięte nauczanie tajne, więc i Dyakowski uczy przyrody, geografii i fizyki na kompletach po domach prywatnych oraz w tajnej szkole żeńskiej Zuzanny Morawskiej. Oprócz pracy pedagogicznej zajmując się również działalnością w Warszawskim Kółku Oświaty Ludowej. Była to organizacja tajna, na

której cześć stał Mieczysław Brzeziński. Wydawała ona tygodnik „Zorza”, którego redaktorem w latach 1893 — 1898 był B. Dyakowski.

W r. 1896 przyeła choroba płuc, która stała się bezpośrednią przyczyną przerwania się Dyakowskiego z pracy pedagogicznej na literacką. Dla poratowania zdrowia wyjechał na kilka lat do Zakopanego. Żywa natura nie pozwalała mu jednak siedzieć bezczynnie. Podejmując się funkcji sekretarza Muzeum Tatrzańkiego. W jesieni 1905 r. przenosi się na stałe do Krakowa, gdzie spędza całą resztę pracowitego żywota. Niezależnie od bogatej twórczości literackiej poświęca tutaj wiele czasu pracy w Towarzystwie Szkoły Ludowej, w Towarzystwie Pałackiego Instytutu Pedagogicznego oraz w Towarzystwie Nauczycieli Szkół Wyższych. Promieniując także i na inne ośrodki. Współpracuje z Polskim Związkiem Nauczycielskim w Warszawie, z ramienia którego opracowuje metodykę i programy nauczania przyrody na rozmaitych stopniach szkolnictwa. Zwraca wówczas dużo uwagi na podręczniki i zaczyna je sam opracowywać.

W jesieni 1926 r. otrzymuje Bohdan Dyakowski od Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie propozycję objęcia wykładów z dydaktyki botaniki na Studium Pedagogicznym U. J. Przyjmuje zaproszenie i tym samym wraca znów do pracy pedagogicznej, którą zmuszony był przerwać z powodu choroby przed trzydziestu kilku laty. Znowu daje się poznać na tym polu jako wybitny fachowiec, toteż w r. 1930 zostaje mianowany przez Ministra W. R. i O. P. egzaminatorem w Komisji Egzaminów Państwowych z dydaktyki i programów botaniki. Organizuje w tym okresie liczne pokazy metodyczne na terenie Ogniska Biologicznego w Krakowie oraz prowadzi wykłady na kursach urządzanych przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego dla nauczycieli szkół średnich.

Brakiemu umysłowi Dyakowskiego wystarczyło to jeszcze nie wystarczy. Umilowaniu przyrody ojczyzny daje wyraz również w działalności znajdującej na celu jej ochronę. Zgodzeniem tym zajmuje się w licznych publikacjach i staje się jednym ze współzałożycieli Ligi Ochrony Przyrody, organizacji społecznej, której celem jest propagowanie tej idei w całej Polsce. Przez szereg lat piastuje godność prezesa Oddziału Krakowskiego tej organizacji. Intensywnie propaguje również idee ochraniańskie na terenie szkolnictwa.

Najtrwałszym bodaj wynikiem pracowitego żywota Dyakowskiego są jego publikacje literacko-naukowe, które obejmują około 50 wydawnictw książkowych. Przeważają wśród nich dzieła o charakterze popularno-naukowym, przez które wzbudzał w szerokich rzeszach społecznych samilowanie do ojczyzny przyrody. Książek przedstawiających przyrodę krajów obcych pisał stosunkowo niewiele. W pismach Dyakowskiego znajdują się książki przeznaczone zarówno dla młodzieży, jak i dla starszych

dla ludzi o rozmaitym stopniu wykształcenia. Wiele krytyków poszło za głosem swego znakomitego nauczyciela i żywo poświęciło badaniu przyrody. U innych pozostały publikacje Dyakowskiego niezawzięte wrażenie i wzbogacały ich światopogląd. O poczynności ich świadczą fakt, że niektóre doczekały się aż 7 wydań i nawet dziś nie straciły nic ze swej aktualności. Kilka ukazało się jako dalsze wydania już po śmierci autora.

Długi szereg publikacji rozpoczął Bohdan Dyakowski od książeczki „Rośliny pokarmowe”, którą wydał w r. 1885 w Warszawie. Za nimi poszedł „Nasza las i jego mieszkańcy”, który w r. 1946 doczekał się 7 wydań. Do najbardziej znanych należy duże dzieło „Z naszej przyrody”, które od r. 1903 miało już 4 wydania. Dla ułatwienia młodzieży i innym miłośnikom przyrody orientacji w bogactwie świata zwierzęcego służyły specjalne atlasy o barwnych tablicach i bogatym tekście, a to: „Atlas państwa zwierzęcego”, złożony z trzech tomów obejmujących: ssaki (1903), ptaki (1905), gady, płazy i ryby (1926) oraz „Atlas motyli krajowych”, wydany w r. 1905. Niejedyn młody, początkujący zbieracz fauny krajowej rozpoznawał według nich oznaczenie pierwszych swoich zdobyczy. Studium „O dawnych łowach i dawnej zwierzynie”, wydane w r. 1925, oparte jest na faktach historycznych. Popularyzacja Dyakowskiego obejmuje szeroki zakres. Oprócz przyrody żywej i nieżywioniej interesują go ogólne zjawiska przyrodnicze takie, jak wydróżki zwierząt i roślin, współżycie itp., a także życiorysy sławnych przyrodników i podróżników polskich. Wiele publikacji mniejszych przeznaczonych jest głównie dla młodzieży. „Węże, ich życie i obyczaje”, „Wąż Władka”, „Leczek jedzie na Podole”, „Gąski Marysi”, „Nasza zboża”, „Badacz dalekiej północy” oto tytuły niektórych z nich. Niektóre ujęte są w formie powieściowej, np. „Patrol Beskidzi”. Wydane były już to jako osobne książki, już to jako poszczególna tomiki „Zajmujących Czytelnik”, „Biblioteczki Przyrodniczej”, „Opowieści dla Młodzieży” itp. Wiele drobnych artykułów popularno-naukowych ogłaszał Dyakowski w czasopiśmie „Wzrochwiat”, „Wieczory Rodzinne”, „Przyjaciel Dzieci”, „Moje Polemko”, „Przeleżnik i Ogrodnik”, „Biesiada Literacka”, „Nasze Świat”, „Iskry”, „Czasopismo Przyrodnicze”, „Nowa Książka” itp. Był również, bardziej dorywczo, współpracownikiem czasopism: „Przyjaciel Zwierząt”, „Zorza”, „Przyroda”, „Ziemia”, „Naokoło Świata”, „Przyrodnik”, a także „Museum”, „Wychowanie”, „Dziś i jutro” i „Ruch Pedagogiczny”.

Wśród podręczników wydanych przez B. Dyakowskiego na szczególną uwagę zasługuje „Historia Naturalna”, wydana w r. 1909 w 2 częściach. Jest to dzieło przełomowe, albowiem po raz pierwszy autor samist takiego systematycznego przeglądu form zwierzęcych i roślinnych, tak jak to dotychczas było w zwyczaju, wprowadził układ oparty na naturalnych

zbiorowiskach. Z innych podręczników wymienił należy „Naukę o rzeczach i przyrodzie” (1918), „Początkową naukę o przyrodzie” i „Przyrodę” dla poszczególnych oddziałów szkół powszechnych (1923 — 26), a dalej „Zoologię” na I klasę gimnazjalną. W roku 1933 opracował wspólnie z prof. Władysławem Szaferem obszerny „Zarys botaniki”, przeznaczony dla uczniów wyższych, który służył mu jednak i jako krótki podręcznik uniwersytecki. Z prof. W. Szaferem wydał B. Dyakowski w r. 1934 również „Botanikę” dla II klasy gimnazjalnej. Wiele artykułów przyrodniczych opracował dla encyklopedycznych wydawnictw tego rodzaju, co: „Wielka Encyklopedia Powszechna”, „Encyklopedia Rolnicza” lub „Księga Wiadomości Pożytecznych”.

Tak rozległa działalność naukowo-pedagogiczna, a szczególnie twórczość popularno-naukowa, nie mogła pozostać bez echa wśród społeczeństwa polskiego. Wychowuje przecież całe rzesze uczniów zarówno na ławie szkolnej, jak i w domu poprzez liczne swoje książki. Za pracę popularyzatorską i pedagogiczną otrzymał wiele dyplomów uznania z Towarzystwa Szkoły Ludowej, Polskie Towarzystwo Przyrodniców im. M. Kopernika ofiarowuje mu godność członka honorowego. Tak samo wyróżnia go Polskie Towarzystwo Pedagogiczne.

Zawsze cichy, skromny, pełen głębokiej wiary i umiłowania dla przyrody B. Dyakowski tak dobrze, jak rzadko kto, wykorzystywał swoje życie dla pracy dla Polski. Mimo słabego zdrowia dożył w najwęższej celi w warszawskich powojennych wieżach 75 lat i zmarł w Krakowie dn. 9 grudnia 1940 r.

Romana J. Wojtuszek

MARIAN FACZYŃSKI
(1889 — 1941?)

Straty osobowe Pomorza w zakresie szkolnictwa i oświaty oraz życia naukowego, kulturalnego i artystycznego są tak wielkie, że zapewne nie mają odpowiednika w innych częściach kraju.

Lista zamordowanych, zmarłych i zaginionych nauczycieli szkół powszechnych i średnich w Okręgu Toruńskim (w dzisiejszym województwie bydgoskim) obejmuje ponad 800 nazwisk¹⁾ W samym powiecie i mieście Bydgoszczy zginęło 111 nauczycieli, w czym grupę 51 nauczycieli bydgoskich zamordowano w okolicy miasta jednego dnia, prawdopodobnie 1.XI.1939 roku. Podobnie wysokie straty poniosły powiaty północnego Pomorza, wchodzące w skład dzisiejszego województwa gdańskiego.

¹⁾ „Dziennik Urzędowy Kuratorium Okręgu Szkolnego Pomorskiego” R. VIII (1945) nr 9 i R. IX (1946) nr 1, 4, 16.

Duchowieństwo pomorskie straciło ponad 50% swego stanu. „Spośród 690 kapłanów wymordowali okupanci już w jesieni 1939 roku 214 z kapitułą katedralną i profesorami Seminarium Duchownego w Pelplinie na czele. W dalszych latach wojny zginęło strasznie jeszcze 4 księży. Z uwiecznionych w obozach koncentracyjnych zmarło z górą 80 kapłanów [(w Stuthofie 16, Sachsenhausen — Oranienburgu 26, Dachau 33, różnych obozach 5), 12 zaś straciło życie w bezpośrednim związku z działaniami wojennymi. Razem z tymi, którzy zmarli śmiercią naturalną, straciła Diecezja Chełmińska przeszło połowę swego duchowieństwa.”¹⁾

Straty na polu nauki, literatury, sztuki i prasy wynoszą z górą 100 osób.²⁾

Według dotychczasowych, niekompletnych jeszcze zestawień ogólna strata Pomorza w ludziach, którzy na tym terenie pełnili odpowiedzialnie obowiązki w dziedzinie oświaty, wychowania, nauki, kultury i sztuki oraz w życiu społeczno-politycznym, przekraczają znacznie półtora tysiąca osób, co jest cyfrą olbrzymią, zwążywszy że Pomorze było bardzo ubogie w warstwę inteligencji, wyjątkowo w ciągu 150 lat niewoli pruskiej. Okupant hitlerowski niejako jedynym samochodem ścigał głowę ludności pomorskiej, ażeby po tak krwawym terrorze dokonać na jej resztkach łatwej germanizacji.

Spośród wielu zmarłych nauczycieli podaję życiorysy czterech: prof. Mariana Faczyńskiego z Bydgoszczy, ka. prefekta dr. Leona Heykego z Kościerzyny, dyrektora gimnazjum Bogumiła Hofmanna z Nowego Miasta oraz nauczyciela szkół powszechnych Jana Patocka z Grudziądz. Wybór tych, a nie innych, nazwisk jest nie tyle wynikiem ich oseny w literaturze niższej na Pomorzu, ile odzwierciedleniem osobistych zainteresowań autora artykułu.

M. Faczyński urodził się 25 listopada r. 1889 we Lwowie. W latach 1901 — 1911 uczęszczał do szkoły realnej w Stanisławowie, Krakowie i Lwowie, gdzie zdał egzamin dojrzałości 22.VI.1911. Po krótkim pobycie w szkole malarskiej prof. Stanisława Bałowskiego we Lwowie przeniósł się do Krakowa na Akademię Sztuk Pięknych, kształcąca się w latach 1913 — 1914 pod kierownictwem prof. Axentowicza. Wojna spowodowała

¹⁾ „Męczotność duchowieństwa pomorskiego, 1939 — 1945, straty wojenne diecezji chełmińskiej”, Pelplin 1947, str. 5 i 41.

²⁾ Zesz. 1 i 2-3, Andrzej Bukowski: „Straty kultury polskiej na Pomorzu”, Jantar 1946.

wysiedlenie Facyńskiego w głąb Rosji. Tutaj wśród innych wysiedleńców polskich i ich dzieci przeprowadzał owocną działalność oświatową narodową, mającą na celu zachowanie i wzmocnienie polakości. Jako kierownik szkoły w Jenakiewie zorganizował kilka szkół początkowych polskich, a od 1.IX.1916 do 30.IX.1918 sprawował funkcję instruktora oświatowego Centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego na rejon jekaterynodawski. Z kolei przeniósł się do Zytomierza, gdzie pełnił obowiązki administratora i dekoratora teatru miejskiego (1.IX.1918—15.I.1920) oraz nauczyciela rysunków w Polakim Seminarium Nauczycielskim (1.IX.1919 — 10.I.1920). Od marca do sierpnia 1920 r. był rezydentem szkolnym na pow. wileński.

Rozpoczął następnie drugi okres życia na ziemiach zachodniej Polski, wypełniony pracą pedagogiczną i oświatową, po części także artystyczną. Jako nauczyciel rysunków przebywał w czasie od 1.X.1920 do 31.VIII.1921 w gimnazjum państwowym w Gostyninie, a przez następnych dziesięć lat w Nakle, od roku zaś 1931 w Bydgoszczy w Gimnazjum Klasycznym (następnie: I Państwowym Liceum i Gimnazjum) oraz w prywatnym gimnazjum Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych. Na wszystkich wymienionych stanowiskach Facyński wypełniał swoje obowiązki z dużym poświęceniem i wzorową sumiennością. Odbierzony talentem artystycznym, oddawał się także z zamiłowaniem sztuce malarskiej. Był długoletnim członkiem Związku Artystów Plastyków Pomorskich i brał udział w szeregu wystaw organizowanych przez Związek. Malował portrety, krajobrazy, martwą naturę; wykonał także szereg obrazów kościelnych. Potrzeba żywego kontaktu ze światem kulturalnym i artystycznym była głównym powodem przeniesienia się z Nakła do Bydgoszczy. Tutaj dzięki zasłuził na zaistnienie, stworzenie i zorganizowanie Muzeum Szkolnego, oraz zainicjowanie pisma młodzieżowego pt. „Ogniw”, którego pierwszy numer ukazał się na początku roku szkolnego 1934/35. Pracę nad zorganizowaniem Muzeum rozpoczął w roku szkolnym 1933/34, jego otwarcie zaś w lokalu przy ul. Warszawskiej, uzyskanym od Zarządu Miejskiego, nastąpiło na początku lutego r. 1935. Muzeum zawierało prace wykonane głównie przez młodzież szkolną i dzieci przedszkolne. Dział rysunkowy i malarski zawierał szkice, akwarele, roboty piórkowe, obrazy olejne; dział robót ręcznych — modele z działy fizyki i matematyki z drzewa i drewna oraz narzędzia i sprzęty do codziennego użytku z metalu i drzewa; dział przedszkolny — barwne wycinanki, rysunki i klejono z kolorowych papierów figurali i scenki. Poza tym istniał dział krajoznawczy i bogato obsadzony dział esperantki. Często urządzone wystawy specjalne podnosiły znaczenie oświatowe i wyzobowawcze tej instytucji. Facyński, kierownik Muzeum, urządził m. in. następujące wystawy: przyrodniczą, religijną, strojów historycznych, po-

moce naukowych do fizyki i geografii. Przy Muzeum założył potem także bibliotekę pedagogiczną i czytelnię dla grona nauczycielskiego. Instytucja ta, zapowiadająca dalszy pomyślny rozwój i spełniająca już, zarówno w życiu miasta Bydgoszczy jak w szkolnictwie w ogóle, doniołą rolę oświatową i wychowawczą, uległa całkowitemu zniszczeniu w czasie działań wojennych w roku 1939. Facyński, zmuszony do opuszczenia miejsca swej pracy, zmarł w pierwszych latach wojny na wysiedleniu.¹⁾

Andrzej Bukowski

MARYNA FAŁSKA „HILDA”

(1879 — 1944)

Maryna Fałska przyszła na świat dn. 7.II.1879 r. jako szóste dziecko Henryka i Felicji Rogowskich, po których dziedziczyła prawość, wybitną siłę woli, pracowitość i odpowiedzialność za podjęte obowiązki. Warunki materialne drobnego ziemianina nie dają możności kształcenia tak pragnącej nauki Maryny, która jednak przy pomocy i wpływie najstarszego brata Bronisława przygotowuje się samodzielnie do egzaminu nauczycielskiego. W r. 1897 opuszcza Maryna rodzinny majątek i jedzie do Warszawy. W tymże roku pracuje już nielegalnie w PPS i czytelnich. W r. 1898 jedzie do Łodzi dla kontynuowania pracy oświatowej i nielegalnej w PPS.

Lata pracy konspiracyjnej są przerywane wielokrotnie aresztowaniami (więzienia: Radom, Piotrków, Łódź, Warszawa), a następnie zesłaniem do Wołody w r. 1907. Po rocznym pobycie na zesłaniu powraca do Łodzi, aby tam przeprowadzać zamierzenia partyjne. Wśród wielu towarzyszy Maryna („Hilda”) poznaje tam tow. dra Leona Fałskiego, którego posłabia w r. 1910 w Londynie (ślub cywilny). Zeżalenie Leona Fałskiego do Wołodyna (gub. Wileńska) w r. 1911 to jedyny rok osobistego, prywatnego życia Maryny, który kończy się tragicznie, bo umiera jej mąż na tyfus plamisty (ofiara zawodu), oświadcza żonę i nowonarodzoną córeczkę, która po 3 latach również umiera.

Odtąd następuje zwrot w pracy Maryny, która postanawia swe życie poświęcić zagadnieniom wychowania młodzieży w duchu postępowym i demokratycznym. W r. 1917 spotyka w Kijowie dra J. Korczaka i z nim razem organizuje internat dla polskiej młodzieży. W r. 1919 wraca do Warszawy z pozostałymi wychowanekami, którzy znajdują oparcie w in-

¹⁾ Zyciorys oprac. na podstawie akt person. Kuratorium Okr. Szk. Pom. (Archiwum Państw. w Bydgoszczy), notatki „Dzien. Bydgoskiego” z 5.II.1935 (o Muzeum Szkolnym) oraz szeregu relacji ustnych.

ternacie prowadzonym poprzednio przez dra J. Korcaka, gdzie początkowo prauja Maryna dając się poznać społeczeństwu jako pionierka nowoczesnego wychowania.

Spotkanie ze Stefanią Sempolowską daje możność zorganizowania w Pruszkowie samodzielnego internatu pod nazwą „Nasz Dom”, którym interesują się i w miarę możności finansują Związki Zawodowe Sielocy, Wokół „Naszego Domu” skupiają się też społecznicy i działacze polityczni partii robotniczych, którzy, chcąc dać możność rozwoju politycznej placówce, uzyskują fundusze i w r. 1922 wybudowują specjalny dom na Bielcach i uzyskują stałe subydia. Taka pomoc ofer demokratycznych i postępowych pobudza Marynę do coraz większego pogłębienia swej pracy.

Ostatnim projektem, powstałym już podczas okupacji, była myśl przekształcenia „Naszego Domu” na internat specjalnie przeznaczony dla młodzieży wiejskiej, przyjeżdżającej.

Ścisła współpraca z drem J. Korcakiem trwa do r. 1935, potem nieco rozluźniły się związki wzajemne, rozeszły się drogi tych wielkich wychowawców, nie tracąc zresztą nigdy kontaktu ideowego. Podczas okupacji Maryna Falska podejmuje najsilniejsze wysiłki, aby wydobyć dra J. Korcaka z getta. Ale gdy usiłowania te osiągnęły pewien rezultat, dr J. Korzak odmawia przyjęcia pomocy chcąc dzielić wspólny los ze swymi wychowankami.

Okupacja, powstanie zamyka ostatni etap życia Maryny. Przechywa tragiczne losy ojczyzny, losy ginących w jej sprawie wychowanków. 7 września 1944 r. organizm był już całkowicie wyczerpany, choroba kładzie kres jej bogatemu życiu.

Odanaczona krzyżem niepodległości, krzyżem zasługi i Polonią restituta. Pochowana na Powązkach Wojskowych w Warszawie.

Katarzyna Rógowska

EDMUND FORELLE

(1885 — 1939)

I. Kronika tragicznego życia

Dla mnie pisać o koł. Forelle jest szczególnie przykro. Przede wszystkim dlatego, że wraz z nim przez długie lata współpracowałem w Sekretariacie Generalnym Związku Zawodowego Nauczycieli Polskich Szkół Średnich i reprezentacjach średnich szkół państwowych. Przeżyliśmy wspólnie szereg wewnętrznych burz, tarć i sawodów (1921 — 1930), aż doprowadziliśmy do połączenia lewicowych organizacji nauczycielskich

w Z. N. P., w 1930 r. wbrew oporowi J. Smalkowskiego i jego towarzyszy.

A gdy przyszła wojna, pierwsze jej powiewy 6 września 1939 r. związały nas wspólną, tragiczną tułaczką po dołowym wygnaniu z Warszawy na rozkaz szkodliwego radia (Umiastowskiego). E. Forelle wyszedł z Warszawy wraz ze mną z mojego mieszkania z nabitym plecakiem — ja zaś, tak jak stałem, odskończyłem od radia i spiesząc „na-łwiny” na wezwanie do kopania, bez łopaty, rowów przeciwosłogowych. Los nas rzucił przypadkowo razem w obec dalekiej szlaki pieszych, nocnych wędrowek przyfrontowych, bez groza w kieżeni, bez możności zdobycia kromki chleba wśród uciekinierów, bez żywej pomocy w czasie mojej choroby (plus i reumatyzm). Tak minął koszmarny wrzoseń naszego życia z dala od swoich i Warszawy. Piszę o tym najcięższym okresie naszego życia dlatego jedynie, żeby wyjaśnić tajemnicę śmierci E. Forellego i swoje nastawienie oraz przez chęć splacenia długu wdzięczności wobec zmarłego choć na tej drodze.

Sanacja nas, nie tylko nas, podstępnie oszukała i obdarzyła mnie... długotrwałą chorobą, a jego... samolęstwem. Forelle wyszedł na tułaczkę chory psychicznie, o czym ja — niestety — nic zrazu nie wiedziałem i dopiero bezpośrednie zetknięcie z Niemcami (na szosie lubelskiej wrzask: „hier ist der Jude”) stan zdrowia kolegi tragicznie ujawniło i przegotowało — twierdząc stanowczo — grani bezpośredni pod „ideę” samobójczą. Muszę też tu zaświadczyc, że odcignięcie go od postanowienia zakończenia swej męki przed powrotem do Warszawy i zobaczeniem się z najbliższą rodziną kosztowało mnie dużo wysiłków. Pędaliśmy do Warszawy z Wołynia przez Lublin zapatrzeni nocami w liny pożarnie i zasłuchani we wzajemne zwierzenia i chawy o los naszych najbliższych przyjaciół i rodzin. Wbrew przekonaniu rozmawiałem przed chorym nadaliej przestrzania i ukrycia go wraz z rodziną w ruinach Warszawy.

Ja wierzyłem od początku w rychły koniec Niemców, on odrzucał moje wywody jako dziecinne majaczenia. Miał rację, był bardziej ode mnie doświadczony, przeżył już nas w 1914 r. niewolę i pałną brutalną przemoc Niemców. Z wędrowki wrócił E. Forelle wraz ze mną koło 10.X 1939 r. i zastał mieszkanie, które swą pracą zdobył na własność (Al. Grottera Nr 14), rozbite. „Zdobycie” mieszkanie zostało mu podstępnie zabrane.

Tragiczny los zamknął dzieje E. Forellego w Warszawie. W październiku r. 1939 po zajęciu Warszawy przez Niemców E. Forelle zgłosił się do pracy w szkole, ale jak wiadomo „szkoła” jawną trwała tylko parę tygodni, po czym szkoły średnie zamknięto. Rozpoczęliśmy pracę kompletową. Spełniał swoje obowiązki jak zawsze skrupulatnie i sumiennie

i starał się o mieszkanie — bezskutecznie. Forelle był w tych czasach bardzo przez Niemców zaatakowany, co potęgowało jego przygnębienie. Był coraz bardziej mało mówny, posępny, przeczuwał los, jaki miał spotkać ludzi pochodzenia żydowskiego.

W dniu samobójstwa kolega Edmund przyszedł do mieszkania Teków (Smolna 18), usiadł w fotelu i nie nic nie mówił. Widać było jednak, że coś gwałtownie przeżywa i rozmyśla. Nie chciał jednak podzielić się swymi wrażeniami. Razem poderewał się, jakby mu się coś przypominało. Pośpinał się, mówiąc, że mu pilno, i wyszedł do szkoły. W końcu listopada Forelle zjawił się u dyr. M. Dadleza i prosił o możliwość przepracowania w szkole; ofiarowano mu gabinet lekarski na parterze, myśląc, że chodzi mu tylko o ukrycie się. Tymczasem wieczorem Forelle nie zjawił się, natomiast następnego dnia dowiedziano się, że odebrał sobie życie w Gimnazjum im. B. Prusa.

Dnia 1 grudnia 1939 r. ukazało się zarządzenie nakazujące Żydom w Warszawie noszenie gwiazd na rękawie. Samobójstwo nastąpiło bezpośrednio po ogłoszeniu przepisów o stwierdzeniu aryjskości lub niearyjskości pochodzenia i po nakazie noszenia gwiazdy syjońskiej. Był zbyt prostoliniowy, aby się maskować i ukrywać. Tego dnia przybył o godzinie szóstej do lokalu szkolnego, wysłał wodnego na miasto pod jakimś pretekstem, a sam wszedł do szatni i powiesił się na kłancie drzwi. Następnego dnia rano o godz. 9 woźny zameldował nam, że Forelle popełnił samobójstwo... W kilka dni później odbył się skromny jego pogrzeb na cmentarzu kalwiskim, gdzie mocno i odważnie przemawiał pastor zapowiadając pomstę za krzywdę samobójcy.

II. Edmund Forelle jako nauczyciel

Syn Józefa (advokata warszawskiego, ucznia Szkoły Głównej) urodził się w Warszawie dnia 9 grudnia 1885 r. Uczęszczał do XI gimnazjum rozyjskiego na Nowolipkach. Był wzorowym uczniem. W 1905 r. za walkę o szkołę polską został „wielkim biletem” wydany z gimnazjum. Maturę otrzymał w Helsingforsie, następnie zapisał się na Wydział Przyrodniczy Uniwersytetu w Piotrogradzie. W r. 1911 ukończył studia jako biolog. W międzyczasie siedział „politycznie” w więzieniu carskim (rok 1909). Po odbyciu rocznej służby wojskowej został zaangażowany do szkoły handlowej „Jedność” w Żhikowie na rok szkolny 1912/13, a do gimnazjum w Grojnie w 1913/14. Po roku pracy w szkole i wakacjach spędzonych na badaniach przy Stacji Przyrodni-Doświadczalnej w Piaszczynie został zaangażowany do wojska w r. 1914. Dostał się wkrótce do niewoli niemieckiej,

gdzie przesiedział w różnych obozach z gór 3 lata, gdzie uległ wtrzęsaniu nerwowemu. Po powrocie do kraju objął pracę w gimnazjum w Olszynie i Sosnowcu, 1917 — 1919, gdzie zdobył imię dobrego pedagoga i po roku pracy został zaangażowany do Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Warszawie od 1920/1 r. esk., a od 1921/22 roku także do II Gimnazjum Związku Zawodowego Naucz. Polskich Szkół Średnich (później im. B. Prusa). W tych dwóch szkołach pracował już bez przerwy do śmierci w 1939 r., wieczorami jeszcze uczył na różnych kursach b. wojskowych i innych oraz organizował Związek Zawodowy Nauczycieli Polskich Szkół Średnich.

Świetny pedagog-wychowawca, zamiłowany biolog, miał wspaniałą metodę pracy stanowiącą rezultat długoletnich doświadczeń. Z tej racji wielokrotnie był zaproszony jako wykładowca na kursy metodyczne dla przyrodników. W stosunku do uczniów był wymagający i jednocześnie niezwykle ogólny i bestronny w ocenie pracy. Dlatego też cieszył się wielką popularnością, a zaręczam niezwykłym szacunkiem wśród młodzieży. Jako bardzo ceniony przyrodnik, został zaproszony przez dra Stef. Kopeńskiego na wykłady w Uniwersytecie Powszechnym T. U. R. w Warszawie, gdzie pracował przez dłuższy czas.

Otoczony przez kolegów i młodzież serdeczną sympatią, pracował z zapałem pod dyrekcją Ga. Jedraszki (Gimn. im. B. Prusa). Dobry pedagog i wychowawca, zrównoważony i opanowany, zawsze lekcje przygotowywał sumiennie, plan ich był dokładnie omówiony i opracowany, zarówno w ramach ogólnych jak i w szczegółach. W owych czasach pierwsze akrepcje w nauczaniu przyrodniczości miała W. Haberkantówna (była instruktorką tego przedmiotu). Uważała ona lekcje Forellego za „majsterstyk”, tak że musiał prowadzić lekcje tzw. pokazowe. Pomimo to jednak w okresie panowania smaczi usiłowano mu poważnie dokuczać, celowali w tym względzie wizytatorzy szkoły.

Dyr. Michał Dadlez pisał o Forelle: „...Jako nauczyciel rozwijał przede wszystkim u uczniów zdolności w kierunku samodzielnych badań naukowych, budził zmiłowanie do swego przedmiotu, dbał bardzo o wyodrębnienie pracowni biologicznej, prowadził kilka przyrodniczych młodzieży. Jako wychowawca był przez młodzież szanowany i lubiany, mimo niejednokrotnie różnych zapatrywań i poglądów. Swoje przekonania wyrażał otwarcie i stanowczo. Stawał zawsze w obronie chłopców o charakterze zdecydowanym, tępił lenistwo, ale nigdy wobec uczniów nie był zbyt surowy w ocenie. Zawsze sympatyczny... Dowodem sympatii uczniów było m. in. to, że gdy przygotowywał z kol. Raabem podręcznik biologii dla liceum — uczniowie pomagali mu w korektce, a jeden z nich, żyjący obecnie, Wojciech Ludno, wykonał szereg rysunków dla autora na jego prośbę...”

III. W pracowni działacza i badacza

Niezwykłe był pracowity i sumienny pomimo nadmiaru lekcji i zajęć społecznych, zrównoważony i bardzo skromny, ale cichy, głęboko i mądrze myślący. Nie dobił się szczytów ani awansów, choć był przez wszystkich bardzo ceniony. Często widzieliśmy go schyłego nad biurkiem, gdy badał pod mikroskopem życie robaczek i rośliny lub studiował książki naukowe.

Wybitnie również zapisał się w pracach Polskiego Przyrodniczego Towarzystwa Pedagogicznego, powstałego w r. 1925 na Zjeździe Pracybników i Lekarzy w Warszawie. Pracował E. Forelle zwłaszcza wydatnie w Komisjach Towarzystwa i na jednym ze zjazdów przyrodniczych opracował krytykę programu biologii dla klasy VI gimnazjum. Referat ten opublikowany został w „Czasopiśmie Przyrodniczym”, wydawanym i redagowanym w Łodzi. Tam też są wzmianki o komisjach i pracach w P. P. T. P. Należało by przepatrzyć roczniki I — XIII (1927 — 1939) i wyznaczyć te wzmianki. Dziś przechodził to moje możliwości, choć w czasie wojny dzięki kel. E. Samotyśce miałem całą bibliografię prac zamarłego. W r. 1925 nakładem Zw. Zaw. Nauk. Polak. Szkół Średnich, Warszawa, Chmielna 49, ukazała się jego broszura: dr Kazimierz Funk: Wzajemność (Historia ich odkryć i znaczenie praktyczne). Tłumaczył z francuskiego Edmund Forelle, str. 59. Przekład jedyny — dobrym językiem napisany. Był to pierwszy oddzielny druk poświęcony tej kwestii u nas. Próżno przed wojną został wydany bardzo popularny podręcznik E. Forelle i H. Raabe: „Biologia dla IV klasy gimnazjalnej” 1938. Poważnym wkładem w kulturę naszą jest udział E. Forellego w tym podręczniku napisanym wspólnie z prof. H. Raabem. E. Forelle opracowywał rozdziały dotyczące fizjologii człowieka, a H. Raabe anatomię i zagadnienia społeczne. Rozdziały dotyczące fizjologii przedstawiały dużą trudność ze względu na wysoki stan tych nauk i trudności popularyzacji. A jednak, zdaniem fachowców, był to najlepszy podręcznik z tych, jakie były w użyciu w Polsce przedwojennej. Po wojnie wyшло II wydanie nieco rozszerzone (ze względu na punkty dotyczące ewolucjonizmu). Jakkolwiek E. Forelle nie miał warunków po temu, żeby być czynnym pracownikiem naukowym, posiadał jednak wielką znajomość przedmiotu i dął pełny i ścisły obraz wiadomości fizjologicznych o człowieku. Do dziś podręcznik ten jest używany bez zmian. „Praca nasza — pisał H. Raabe — była w całości prowadzona wspólnie, tak iż wpływ Forellego i na rozdziały opracowywane przeze mnie był znaczny”.

Próżno tego podobno miał już skorygowaną „Chemię organiczną”, lecz nie została wydana. Po śmierci Edmunda i po aresztowaniu żony i córki przez Gestapo rękopis tej książki został zniszczony „jako bibuła komun-

styczna”. Z innych prac wymienić można by szereg artykułów umieszczonych na łamach „Ogniwa”. W ogóle pisał mało, przede wszystkim ze względu na ogrom pracy zawodowej (dwie szkoły) i bardzo absorbujące zajęcia w Zw. Zaw. Nauk. Polak. Szkół Średnich, którego był oddzielnym organizatorem.

IV. Działacz nauczycielski i naukowy

W r. 1910 przeniósł się z Łodzi do Warszawy i jako działacz oświatowy szybko znalazł się w organizacji nauczycielskiej. Poznałem Forellego w r. 1921. Miejscem, gdzie poznałem się, był skromny, ciasny lokalik przy ul. Brackiej 18, siedziba Zw. Zaw. Nauczycielstwa Polakich Szkół Średnich. Forelle był już wówczas sekretarzem generalnym. Z tytułu zajęć w gimnazjach państwowych byliśmy w codziennym kontakcie. Na gruncie roboty organizacyjnej pogłębiała się nasza wzajemna znajomość, aby z biegiem czasu przerodzić się w głęboką przyjaźń i wzajemny szacunek. Forelle był trochę starszy ode mnie, bardziej doświadczony i zrównoważony. Cechował go niezwykły spokój i powaga w traktowaniu zjawisk życiowych, postawa obiektywnego badacza-przyrodnika. „Zdumiewająca była — pisał do mnie C. Jędraszko — logika argumentacji E. Forellego, w której ustępował chyba tylko Z. Sikorowski. Był człowiekiem zasad, co bynajmniej nie oznaczało jakiegoś skostnienia. Przez długi czas np. omawiał krytycznie moją przynależność do PPS, a jednak sam znalazł się później w tym stronnictwie, aby dotrzeć w nim do końca. Ta zmiana nastawienia była rezultatem głębokiej ewolucji duchowej wywołanej na gruncie rozwoju stośników w życiu polskim. Ale skoro miał coś za prawdę, był niezłomny i wierny jej do końca bez względu na ewentualne bolesne ciosy, jakie mogłyby go spotkać osobliście. Ujawniało się to szczególnie dobitnie w stosunku do ustawy uposażeniowej Grubkiego: dążył na sobie jako generalny referent z ramienia pracowników państwowych cały ciężar odpowiedzialności i ryzyka, narzucając się na usunięcie ze stanowiska nauczyciela gimnazjum państwowego. Przy stałej powadze, z jaką traktował życie, umiał zdobyć się na humor, a niekiedy i na ostry dowcip, którym „kładał” bezapelacyjnie przeciwnika...”

Mówi się słusznie o Z. Nowickim, że był symbolem dzisiejsów i prac Związku Nauk. Szkół Powzecznych, Forelle — to symbol dzisiejsów i prac Związku Zawodowego Nauk. Polskich Szkół Średnich (1919 — 1930). Przez Związek Zawodowy Nauk. Polskich Szkół Średnich przepływały trzy jakby nurty: E. Forelle i H. Raabe to jeden nurt. Drugi to St. Kalinowski i Rudnicki. Trzeci — to Stef. Kopciński, T. Wojeński i niżej podpisany. Łączyła te często zwalczające się prądy świadomość społeczna walki o szkołę jako frodka walki z reakcją w Polsce. W okresie lat

1921 — 1926 Związek organizował Centralną Komisję Porozumiewawczą Zw. Zaw. Prac. Państwowych, Komisję Międzyzwiązkową Kulturalno-Artystyczną i różne akcje międzyorganizacyjne, zawsze z udziałem Forellego, który piastował w tych organizacjach różne stanowiska i odgrywał czynną, czołową rolę.

Charakteryzując ogólnie pracę społeczną Edm. Forellego trzeba stwierdzić, że był to człowiek o zdecydowanych lewicowych poglądach, konsekwentny w swym postępowaniu, o nieskazitelnym charakterze, olbrzymiej pracowitości i oddania się pracy publicznej. Okres rozkwitu Z. Z. N. P. Szkół Średnich nie byłby do pominięcia bez inicjatywy, rozwagi i rzetelności w pracy Edmunda Forellego.

Szczytowy punkt działalności związkowej E. Forellego to pamiętny 1926 rok, kiedy obok Chrupka, Ellingera, Myślińskiego i Tatariewicza referował na Zjeździe Wychowania Moralnego 8 i 9 kwietnia w imieniu Związku Zawodowego Naucz. Polak. Szkół Średnich zagadnienie „Możliwości ogólnoludzkiej podstawy wychowania moralnego”.

Ale na najważniejszy i najmocniejszy był jego referat na zorganizowanym przez niego Zjeździe Delegatów 126 Rad Pedagogicznych Średnich Szkół Państwowych 24 lutego 1936 roku w Warszawie. Mówił na temat najlepiej i najczęściej w Polsce właśnie przez Forellego omawiany, mówił jako główny referent i sekretarz generalny Związku Zawodowego Nauczycieli Polskich Szkół Średnich o katastrofalnym położeniu szkoły państwowej w związku z pamiętną ustawą o środkach zapewnienia równowagi budżetowej z 22.XII.1935 r. Referat oparty był na olbrzymim materiale statystyczno-porównawczym szkół na Zachodzie i w Polsce, ilustrowany danymi z list placy i list chorób nauczycielskich, nie racjonalnie się do spraw materialnych i pragmatyki, bił na alarm, ostrzegał przed „początkiem” końca.

„Należy sobie oświadczyć, że w obecnym układzie stosunków społecznych jedynie masę, skupioną wokół wyraźnie sprecyzowanych haseł, wyrażających życiowo uzasadnione postulaty i mające wolę do ich wprowadzenia w życie, liczyć mogą na zwycięstwo. Dlatego też postulat nasz na chwilę najbliższą — naprawienie uczynionej nauczycielstwu krzywdy — wymaga organizacji, organizacji i jeszcze raz organizacji. Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że obrona naszych spraw zawodowych sprężyną jest z obroną szkolnictwa. To nam powinno być bodźcem. Do organizowania się, do karności, do solidarnego występowania wzywam Was, Koleżki! (wyjętek z referatu E. Forellego, „Zjazd Delegatów Rad Pedagogicznych Szkół Średnich Państwowych”, Warszawa 1926 r., str. 18).

E. Forelle był patriotą organizacji, którą stworzył i prowadził wiernie od początku do końca (1920 — 1930) wraz z Stan. Kalinowakiem, H. Has-

sem, A. Czartoryskim i innymi, a później Stef. Kopeńskim, Ad. Próchnikiem, T. Wojeńskim i nimże podpisanym. Toteż jedyną datą opracowania historii Związku Zawodowego Naucz. Polaków Szkół Średnich w „Pokoju pracy oświatowej”, „Ogniwie” i „Sakicach z dziejów Z. N. P.” to prace wyłącznie E. Forellego. On uwydatnił i zapisał dziś zagubione w nie-pamięci szczegóły, dokumeny, daty, wydawnictwa. On był nie tylko twórcą, ale i „Plutarchem” naszych najlepszych prac i wysiłków będąc najdłużej z nas wszystkich członkiem Prezydium, skarbnikiem i sekretarzem Zarządu Głównego. Nie było Zjazdu i najmniejszego zebrania organizacyjnego, na którym nie byłyby obecny empyj i pracowity sekretarz generalny Związku, wnosząc na nie zawsze konkretne wnioski, postulaty i deklaracje. „Duszą organizacji — pisał w „Sakicach” (1939, str. 128) z wrodzoną skromnością E. Forelle — był kol. Henryk Raabe, którego ofiarą, pełną inicjatywy, wytrwałości i niespożytej energii praca szanowała się w każdej dziedzinie działalności Związku...” Dziś wolno chyba stwierdzić, że słowa powyższe najlepiej charakteryzowały przede wszystkim ich autora, najodważniejszego z wiernych, związkowca szkół średnich, E. Forellego.

F. Światopogląd ideowy działacza

Forelle jako działacz społeczny otrzymał dobrą, odpowiednią dla pedagoga zaprawę wzięciwą w r. 1909. Już jako student Uniwersytetu w Petersburgu 1906 — 1912 r. należał do grupy pierwszych absolwentów i wykładowców esobliwego w swoim rodzaju kursu, który zorganizowano w Rosji w celu dostarczenia kółkom robotniczym odpowiednich wykładowców. Przemawiając wielokrotnie na zebraniach publicznych i wiecach, zwłaszcza w okresie walki (1920 — 1926) o szkołę powszechną i jednolitą, manifestował społeczne ujęcie reform szkolnych, które trafnie wiązał z rozwojem ruchu klasowego i walki rewolucyjnej. Od roku bodaj 1923 stale wysuwał na zjazdach nauczycielskich postulat ściśle współpracy inteligencji pracującej ze związkami zawodowymi. W tym też duchu opracował w polskiej i francuskiej broszurze pt. „Zagadnienia szkolnictwa polskiego” na VI Zjazd Federacji Międzynarodowej Tow. Nauczycielskich w Warszawie (sierpień 1924 r.) źródłowy swój referat na temat „Państwo a nauczyciel”.

Dlatego też dla E. Forellego, przyrodnika i społecznika, nie było wahań ani zalań po „rewolucji” majowej 1926 r. Już w grudniu 1926 r. widaliśmy E. Forellego w szeregu organizatorów Wielkiego Zjazdu Oświatowego, który zwołał Związek Zawodowy Naucz. Polskich Szkół Średnich wraz z siedmioma innymi organizacjami oświatowymi do walki z groźbą „reform” sanacyjnych. W Zjeździe wzięły udział lewicowe orga-

nizacje polityczne i oświatowe, 350 delegatów i około 300 gości. Przewodniczył senator prof. Stanisław Kalinowski, ale Sekcja Wychowawczą prowadził E. Forelle wygłaszając swój podstawowy, antysanacyjny referat: „Cel wychowawczy szkoły”. W atmosferze tworzącej się ideologii wychowania „srebrzej mocarstwowości i państwowości” wywody E. Forellego były pierwszym sygnałem ostrzegawczym, pierwszym wysiłkiem powstrzymania demoralizacji szkoły przez sanację i kler.

Po Zjeździe połączeniowym w Krakowie (lipiec 1930) delegowany przez lewicę nauczycielską do Zarządu Sekcji Szkół Średnich Z. N. P. Forelle stał współdziałal z Próżnikami w walce ze Smulikowskim i Machowskim, całą narastającą brutalnie w organizacji nauczycielskiej mafią „famili” sanacyjnej. Z tego tytułu zakładał protest w sprawie Brzeźcia, choć był pracownikiem gimnazjum państwowego, z tego tytułu piętnował „gierki” Z. N. P. na niekorzyść pragmatyki i demaskował kulisy „przenosin” politycznych nauczycieli-demokratów. Nieustraszony działacz Tow. Demokratycznego „Nowa Tory” (1932 — 1937) zamieszczał też swe prace w „nielegalnych” publikacjach m. in. „W obronie szkoły demokratycznej” i „W obliczu katastrofy szkolnej” (1932).

VI. Opinie znajomych i najbliższych przyjaciół

Miał ich niewiele, bo był wybredny i... wymagający przede wszystkim od siebie pracy dla innych. Miał nade wszystko odwagę cywilną swoich przekonań i wysokie poczucie godności osobistej. „Uposobienie miał zrównoważone — pisał mi dyr. M. Dąbles — ale mocno i z uporem broił swawze zasad wolności myśli i przekonań. Jako socjalista i członek Z. N. P. wszyscy na terenie szkół znali go dobrze, gdyż był aktywnym członkiem tych organizacji. Współżył koleżeńskie z E. Forellem w szkole było bardzo sympatyczne”.

„Kolega Forelle — mówi Casław Jędraszko — był jednym z najpiękniejszych ludzi, z jakimi wypadło mi się w życiu zetknąć...”

„O współpracy mojej z Forellem — pisał działający rektor kol. H. Raabe — muszę powiedzieć, że był to najmiły okres rozumienia się wzajemnego; Forelle dawał mi siebie ohrzymią pracowitość, trzeźwy sąd i umiar w postępowaniu; praca nasza była oparta na uzgodnieniu, przy czym trzeźwy, spokojny sąd Forellego odegrał niejednokrotnie dużą rolę w naszym życiu...”

Dziś może niejednemu z nas trudno jest pogodzić załamanie się duchowe i samobójstwo kolegi Forellego z jego postawą zdecydowanego bojownika, trzeźwo widzącego rzeczywistość i okrucieństwa wrogów.

Miesiące — październik i listopad 1939 roku... Kapitulacja Warszawy i właściwe oblicze Niemców nie zgasiły ducha oporu warszawiaków i wiary

w lepsze jutro. Przecież właśnie w tym czasie najbliżsi towarzysze kolegi Forellego: Niedziałkowski, Barlicki, Dubois i inni montowali front podziemia walki z okupentem. Treść hitleryzmu, nieprzygotowanie Polaków i aliantów do wojny były znane koleśce Edmundowi na długo przed wojną... Załamanie Forellego można wytłumaczyć jedynie chorobowym stanem depresji psychicznej, który to stan, jak mi sam niejednokrotnie opowiadał, szczególnie ostro przeżywał za pierwszej wojny, gdy tylko serdeczemu troska jego brata, adwokata z Łodzi, zdołała go uratować od samobójstwa. Już wtedy bowiem po raz pierwszy stracił wiarę w siebie, ludzi i świat uważając się za umysłowego invalidę, który więcej zaszkodził niż pomógł mojemu otoczeniu. Ten stan rzeczy pogorszyła wyjątkowa, wyczerpująca praca umysłowa, społeczna i organizacyjna oraz troska o bezpieczeństwo rodziny, którą kochał nad życie. Nie wolno też zapominać, że przez całe życie był uczestnikiem walki o godność człowieka, tak brutalnie kopaną przez Niemców niemal co godzina, zwłaszcza w stosunku do Żydów. A on przecież był też tylko... człowiekiem, którego pochodzenie i rasugi odkryli ogółowi dopiero... Niemcy!

Może przeczuwał też cioty, jakie spaść miały na jego żonę, Marię, i córkę Jolanę (Jolę). Obie dostały się do więzienia już po śmierci Edmunda; córka przesiedziała rok, matka półtora roku. Córkę poezdiano o szpiegostwo, gdyż na rok przed wojną wyjechała do Anglii do ciotki. Matek postawiono aż 10 różnych zarzutów; demencjonowana była przez tych samych ludzi, którzy podbawili Forellów mieszkanka. Po wyjściu z więzienia córka uścielała jakiś czas lekceji języka angielskiego, matka „handlowała” na życie dla rodziny. Samotnowana jednak w mieszkaniu przy ulicy Belwederskiej uciekla na Żelazną, ale i stąd musiała wraz z córką się usunąć... ślad po nich zaginął... Tak się zamknęły dzieje jeszcze jednej rodziny polskiej pochodzenia żydowskiego...

Jeżeli Rafał Bliński był pierwszym rozstrzelanym przez Niemców w Warszawie Polakiem (19.XI.1939 r.), to Edmund Forelle był pierwszym „dzięki sanacji i Niemcom samobójcą Warszawy w czasie drugiej wojny.

Stanisław Świdwiński

MICHAŁ FRIEDLÄNDER
(1894 — 1942/3?)

Dwudziestolecie międzywojenne, lata 1918 — 1939, niezmiernie pogłębiło w Polsce znajomość obcej, reformistycznej myśli pedagogicznej, głównie zachodnio-europejskiej, a także amerykańskiej. Literatura pedagogiczna Szwajcarii, Austrii, Niemiec weimarskich, Anglii i Stanów Zjednoczonych

nych A. P. stawała się dostępną poprzez przekłady coraz szerszej masie polskiego nauczycielstwa. W pracy tej wielką rolę odegrało czasopiśmiennictwo pedagogiczne polskie przyczyniając się w dużej mierze do bardzo szybkiego przyswajania wyników pracy obcej. Wyrosła wówczas w Polsce dość obfita publicystyka pedagogiczna, popularyzująca wyniki badań obcej myśli pedagogicznej.

Typem ruchliwego popularyzatora tej myśli pedagogicznej był Mieczysław Friedländer. Urodzony w r. 1894 w Skolem, pow. Stryj, w żydowskiej rodzinie inteligentnej, uczęszczał w latach 1905 — 1912 do polskiego gimnazjum humanistycznego w Drohobyczku zdając tam egzamin dojrzałości. Zapisał się następnie na Wydział Prawa na uniwersytecie w Wiedniu, który, po przerwach spowodowanych służbą wojskową w armii austriackiej, ukończył w r. 1918, zaś w styczniu r. 1919 uzyskał doktorat praw. Równocześnie studiował na uniwersytecie wiedeńskim na Wydziale Filozoficznym germanistykę i historię, lecz studiów tych nie skończył z powodu konieczności wyjazdu do kraju. Od r. 1921 — 1923 był urzędnikiem prywatnym w Borysławiu, rozwijając poza pracę biurową żywą działalność oświatową, organizując kursy dla dorosłych, publiczne wykłady i odczyty z dziedziny literatury w Drohobyczku i Borysławiu, zakładając i kierując Biblioteką Powszechną w Borysławiu. Uczył też języka niemieckiego w prywatnym Gimnazjum Realnym w Borysławiu. W r. 1923 służył w Uniwersytecie Jagiellońskim egzamin na nauczyciela szkół średnich z języka niemieckiego jako przedmiotu głównego, i z historii jako pobocznego. Po przesiedleniu się do Krakowa uczył się do wybuchu wojny w r. 1939 języka niemieckiego w Prywatnym Gimnazjum Koedukacyjnym Żydowskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej i Średniej, które wywarło się doбором grona nauczycielskiego (m. in. dr Juliusz Felihorn, poeta — polonista, dr Ben Zion Katz, hebraista, dr Anna Brossowa, dr Samuel Stendig) na miejsce cenione wśród prywatnych szkół średnich żydowskich w Małopolsce Zachodniej. Zginął w czasie wojny jako ofiara teroru hitlerowskiego. Bliskość okoliczności agonii nie są znane.

Zainteresowania, wysiłki dydaktyczne na terenie szkoły i publikacje Friedländera w dwudziestoleciu międzywojennym szły dwojakim torem: w zakresie swej ściślejszej specjalności, germanistyki, dążył Friedländer do pogłębienia wśród nauczycielstwa znajomości nowych prądów dydaktycznych na terenie neofilologii. Brał często udział jako prelegent w kursach instruktorskich z zakresu filologii nowożytnej organizowanych w Warszawie, Lwowie, Równem przez Ministerstwo W. R. i O. P. Stąd jego ścisła współpraca z czasopisem „Neofilolog” (wiele pisał szczególnie w pierwszych jego rocznikach), stąd podejmowane przez niego wydawnictwa tekstów dla młodzieży szkolnej z zakresu germanistyki (jak np. pierwsze polskie wydanie szkolne „Fausta” w r. 1938, wydanie w r. 1938

utworów Hebbla, w r. 1935 noweli Storma). Interesowało go przede wszystkim zagadnienie doboru lektury obcojęzycznej (stąd szkice „Lektura obcojęzyczna w szkole średniej”, 1935). Stawiał sobie jako cel w nauce w gimnazjum dążenie do aktywizacji młodzieży w kierunku samodzielnego ujmowania problemów, nawiązywania do przeżyć osobistych ucznia, do przeżyć zbiorowych wspólczesności, jako też do koncentracji z innymi przedmiotami nauczania, zwłaszcza z nauką języka polskiego i nauką o Polsce. Był zwolennikiem rozszerzenia tradycyjnego studium historii literatury w szkole średniej w kierunku historii kultury. Szacery zwolennik nowych metod dydaktycznych, zwłaszcza „pracy pod kierunkiem” w swej pracy szkolnej często nie wahał się przed wprowadzeniem innowacji pedagogicznych, np. eliminował podręcznik, używał gazet w nauczaniu. Ironią losu on, który tyle zrobił dla propagandy znajomości kultury niemieckiej wśród młodzieży i nauczycielstwa w Polsce, padł z ręki hitlerowców.

Prawdaiwą pasją, szczerym umiłowaniem Friedländera była propaganda hasel nowej myśli pedagogicznej wśród nauczycielstwa szkół średnich i powszechnych. Gruntownie odczytany we wspólczesnej literaturze pedagogicznej francuskiej, angielskiej, szwajcarskiej i niemieckiej był nieustraszone szercytcielem jej znajomości wśród nauczycielstwa przez liczne publikacje popularne (jak np. „Upolecznianie się dziecka w wieku przedszkolnym”, 1933, „Dzieci i dorodli”, 1932) czy też przez całą masę artykułów w prasie pedagogicznej polskiej, zwłaszcza w „Ruchu Pedagogicznym” i „Miesięczniku Pedagogicznym”. Niezmiernie chłodny i wrażliwy, choć nie był umyślem twórczym, położył poważne zasługi na polu recepcji i rozpowszechnienia obcej reformistycznej myśli pedagogicznej lat 1918 — 1939 w Polsce. Był jednym z najbarliveszym jej popularyzatorów.

Dane przesłane w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Aktach Komisji Egzaminacyjnej dla kandydatów na nauczycieli w szkołach średnich; sprawozdania Dyrekcji Prywatnego Gimnazjum Koedukacyjnego, Szkoły Powszechniej i Szkoły Rzemiosł Żydowskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej i Średniej w Krakowie.

Jan Holcwick

BRONISŁAW GAWEŁ
(1879 — 1939)

Trudno sobie wyobrazić bieg polskiego życia społeczno-kulturalnego w Gdańsku w okresie piętnastolecia przedwojennego, jeśli się nie uwzględni roli, jaką tam w życiu społeczeństwa polskiego odegrał Bronisław Gaweł. Przyszył on na teren Gdańska w r. 1926 mając poza sobą dłu-

gie lata pracy nauczycielskiej, społeczno-oświatowej i charytatywnej na terenie Małopolski. Urodzony 3 września 1879 r. w Przemyślu, po odbyciu studiów filozoficznych w zakresie przyrodosławstwa na uniwersytecie w Lwowie, pracował nasamprzód w rodzinnym Przemyślu jako nauczyciel gimnazjalny i tu też rozpoczął swą pracę społeczną w Towarzystwie Szkoły Ludowej jako organizator kół T. S. L. na terenie powiatu przemyskiego, jako niemordowany wykładca i popularyzator wiedzy o Polsce wśród ludności mieszaną na tym etnograficznym granicznym obszarze Polski. Na rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej został przeniesiony do gimnazjum w Buczaczu, skąd wyrwała go wojna r. 1914. W latach 1914 — 1916, w czasie pobytu na uchodźstwie w Wiedniu, założył tam prof. Gaweł gimnazjum prywatne dla Polaków, uchodźców wojennych z Małopolski. Pracował następnie dwa lata w gimnazjum w Ternopolu, pierwsze zaś ciężkie lata powojenne (od r. 1918) spędził na posadzie nauczycielskiej w Krośnie, gdzie niezależnie od pracy w szkole założył spółdzielnię i dłuższy czas w warunkach bliskich zajmował się uprawianiem całego miasta. W r. 1921 przeniesiony do Leszna, do seminarium nauczycielskiego, rozwinął owocną, wielostronną pracę oświatową i charytatywną z ramienia T. S. L.; organizował odczyty i przedstawienia teatralne, tworzył sieć bibliotek na terenie powiatu i założył w Lesznie internat dla biednych dzieci szkolnych.

W r. 1926 objął posadę profesora przyrody w Gimnazjum Polakim Macierzy Szkolnej w Gdańsku. Wypiękając pracę organizacyjną i naukową w szkole, gdzie położył podwaliny pod nowoczesne urządzenie gabinetu i pracowni biologicznej w Gimnazjum, nie powstrzymała go od intensywniej pracy społecznej, tym razem na terenie Macierzy Szkolnej w Gdańsku, głównie w zakresie organizowania przedszkoli i opieki nad dziećmi. Jego niemordowanym zabiegiem, zwłaszcza od r. 1929, gdy przeszedł na emeryturę, mógł więcej czasu poświęcić pracy społecznej w Gdańsku, zawiązując Macierza Szkolna w Gdańsku, że, pełniąc przez pełnych dziesięć lat obowiązki kierownika ds. propagandy, w licznych rozjazdach po całej Polsce, wykładach o sprawie polskiej w Gdańsku, broszurach i odczytach propagandowych, spopularyzował w całym kraju ideę akcji pomocy finansowej na cele rozbudowy polskiego szkolnictwa, a w szczególności na budowę ochronek i budynków na pomieszczenie polskich prywatnych szkół powszechnych na całym terenie b. W. M. Gdańska. Również w rękach prof. Gaweła spoczywało kierownictwo akcji kolonijnej dla młodzieży polskiej, która to praca, dzięki częstym kontaktom młodzieży gdańskiej z młodzieżą w głębi kraju, wpłynęła poważnie na urobienie się szerszej i polskiej orientacji u młodzieży polskiej w Gdańsku, wystawionej na miejscu na działanie wpływów wrogiej niemieckiej propagandy.

Nic też dziwnego, że na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej narwisko prof. Gaweła znalazło się wraz z wieloma innymi narwiskami działaczami polskich w Gdańsku na liście politycznych zbrodniarzy w rozumieniu polityków obozu hitlerowskiego. Godnym uwiecznienia jest fakt, że prof. Gaweł, mimo że wiedział dobrze o groźącym mu niebezpieczeństwie ze strony niemieckiej w momencie wybuchu wojny, we wrześniu 1939 nie ratował swego życia przez ucieknięcie się z terenu walki, zwłaszcza po aresztowaniu względnie wyjeździe z Gdańska innych członków zarządu i pracowników Macierzy Szkolnej, lecz pozostał na posterunku w Gdyni, aby stąd kierować w ostatnim możliwym momencie akcją odtransportowywania w głąb Polski kolejną dawkę i młodzieży polskiej z Gdańska, tej ostatniej jako ochotników do Wojska Polskiego, głównie na teren Wołynia. Po szczęśliwym odprawieniu w pierwszych dniach września 1939 r. pocągów z Polakami-gdańszczanami w głąb Polski, następnie po zabezpieczeniu, a częściowo zniszczeniu akt biura Macierzy Szkolnej w Gdańsku, w szczególności po zniszczeniu spisów członków i działaczy tej zasłużonej gdańsko-polskiej organizacji, już po zajściu Gdyni przez Niemców, usiłował prof. Gaweł z końcem października 1939 r., za przepustką wystawioną na inne nazwisko, wynajętą prywatną turką wydotać się z gdańskiego kotłowniaka wojennego z zamiarem dotarcia do Poznania, gdzie spodziewał się nawiązać kontakt z rodziną. Była to ostatnia niemiecka wędrowka prof. Gaweła. Zaginął bez żadnego śladu głazem na szlaku Łaskowice — Bydgoszcz — Poznań sidentyfikowany zapewne przez czuwających Niemców i przez nich zamordowany.

Padł prof. Gaweł ofiarą swego bezkompromisowego poczucia obowiązku Polaka-patrioty na ziemi gdańskiej i pozostawił po sobie wdzięczną, czci pełną, pamięć bohaterkiego wychowawcy i społecznika, który ceną fundamentalną ciężką wbił w gmach polskiego ducha u ujścia Wisły.

Marcin Dragan

MARIAN BRONISŁAW GODECKI

(1888 — 1941)

Marian Br. Godecki urodził się w Warszawie 21 listopada 1888 r. w rodzinie artysty rzeźbiarza. Atmosfera artystyczna domu rodzinnego wywarła wielki wpływ na rozwój jego uzdolnień, choć posiadał inną, niż ojciec, drogę.

Po ukończeniu w r. 1906 prywatnej szkoły średniej w Warszawie studia uniwersyteckie w zakresie przyrody odbywał w Belgii, w Liège (przypomnieć warto, że były to czasy bojkotu szkół rządowych Królestwa). Ek

powrocie pracował jako nauczyciel przyrody żywej, fizyki i chemii w kilku prywatnych szkołach warszawskich, przede wszystkim w gimnazjum T. Niklewskiego.

Równocześnie rozpoczął działalność oświatową. Odbywa się ona w szczególnych warunkach ówczesnego wojennego życia Warszawy. Zdezorganizowane jest szkolnictwo, przemienione warunki bytu. Mnóstwo ludzi wyjechało przymusowo, inni w ówczesnych masowych wędrówkach zatrzymują się w Warszawie. Po wyjściu wojsk carskich powstają pierwsze od lat czterdziestu władze samorządowe. Komitet Obywatelski m. st. Warszawy powołuje już 5 sierpnia 1915 r. Wydział Oświecenia, który wprowadza polski język nauczania w szkołach i postanawia ogłosić obowiązek szkolny. Rozpęd pierwszych tygodni jest przez dalsze długie miesiące okupacji niemieckiej hamowany. Istnieją jednak od jesieni 1917 r. polskie władze szkolne, które — pomimo ograniczeń — przeprowadzają prace systematycznie. Sprzyja im żywy ruch oświatowy wywołany, wbrew wszystkim przeszkodom, przez rozbudzenie nadziei narodowych i społecznych.

Marian Bronisław Godecki jest współorganizatorem prac Sekcji Kursów dla Dorosłych i Bibliotek Powiechnych, powołanej przez Wydział Oświecenia we wrześniu 1915 r. (z inicjatywy Stanisława Michałkiewicza). W Szkole skupili się przede wszystkim ci, którzy od lat kilkunastu uczestniczyli w podziemnej pracy oświatowej i chwytali w lot „momenty sprzyjające jawnemu działaniu” (M. Gomółski, W. Radwan, B. Stawno, A. Janowski, St. Malkowski, J. Zawadzki). Młodszy od nich M. B. Godecki rozpoczyna działalność jako nauczyciel kursów początkowych dla dorosłych i Uniwersytetu Powiechnego, w latach 1918 — 1928 jest kierownikiem działu pogadanki i odczytów, obejmuje całość pracy jako zastępca kierownika (A. Konewki). Odgrywa coraz wybitniejszą rolę w Komisji Pedagogicznej. Należy do zespołu, który opracowuje zasady ideowe i ukazuje perspektywy rozwoju kształcenia dorosłych. Staje się ich najszerszym propagatorem.

Zadania zostały określone jako „zwalczanie analfabetyzmu, szerzenie wiedzy elementarnej, niezbędnej dla każdego obywatela, praca nad podniesieniem kulturalnego i duchowego poziomu najszerszych warstw narodu.”

Walka z analfabetyzmem wysuwała się wówczas na pierwszy plan. Doświadczenie wykazało, że nie można prowadzić jej odrębnie od całości pracy oświatowych. Na Kursach dla Dorosłych obok nauczania języka polskiego i arytmetyki wprowadzono pogadanki naukowe, w dalszym rozwoju „trzęsio przedmioty” wybrane z programu szkolnego. W ciągu paru lat wytworzyły się typy szkół dla dorosłych i dla młodocianych.

M. B. Godecki w przystępnych, barwnie pisanych broszurach („O wychowaniu dzieci i kształceniu siebie”, „Praca i wiedza”) oraz liczących pogadankach oddziaływał szeroko, rozbudzając apał, przyciągając słuchaczy. Jako organizator Ognisk Kursów i w r. 1920 Wojskowej czołówek oświatowej, zebrał wiele doświadczeń. Sam przemysłał do głębi zagadnienie walki z analfabetyzmem. Po latach sformułował je dobitnie na Międzynarodowej Konferencji Oświatowej w Cambridge (1929). Ze względu na wawowienie aktualności tej walki warto streścić najważniejsze z ówczesnych tez Godeckiego. Uważa on za niewłaściwe wprowadzanie przymusu uczenia się dorosłych analfabetów, gdyż w razie nieuczestnictwa w ustawie może się stać źródłem demoralizacji. Bez ustawy władze publiczne i miejscie mogą zwalczać analfabetyzm przez organizację nauczania, przez udzielanie przywilejów w uzyskiwaniu pracy i wyższą płacę. Kursy dla analfabetów powinny stanowić najniższą klasę ogólnych kursów i szkół dla dorosłych. Należy nauczać młodocianych odrębnie od dorosłych ze względu na inne zainteresowania, możliwości i postawę. Nauczanie ma być intensywne, szybko prowadzić do wyników; nie dopuszczać do zmęczenia. Konieczne są podręczniki dostosowane do psychiki dorosłych i nauczyciele specjalnie uzdolnieni, o przygotowaniu społeczno-pedagogicznym. Walka z analfabetyzmem łączy się z podnoszeniem poziomu życia, z usuwaniem analfabetyzmu społecznego. Nauczanie zastępujące szkołę powiechną jest jednak, podkreśla Godecki, tylko częścią zadań oświaty pozaszkolnej. Istotną jej funkcją jest ułatwienie świadomemu udziału w dorobku kultury i w twórczości. Wiąże się ono z przebudową społeczną. W artykule „My i nasi słuchacze” Godecki piętnuje zaniechanie społeczne wzbijające inteligencję do szerokiego udziału w pracy kulturalno-oświatowej, stwierdza, że obojętne dla ludzi i inteligencję usępnuje. Zwalczając filantropii, wyraziście przedstawia obowiązek liczenia się z praktycznymi potrzebami dorosłych uczniów, ujawniania ich zainteresowań nieformulowanych, rozbudzania — potencjalnych. Wskazówki Godeckiego są praktyczne, pomysłowe, niemiernie sugestywne. Parokrotnie przedrukowywane „Odczyty” wywarły wpływ długotrwały.

Wiele przemysłów i prób dydaktycznych Godeckiego dotyczyło Uniwersytetu Powiechnego. Z licznych początkowo serii wykładów przeobraził on do skupienia przedmiotów w grupy, od przypadkowej frekwencji do oparcia się o zespoły absolwentów kursów początkowych. Godecki uczestniczył wybitnie w rozbudowie programu ogólnokształcącego, zrazu rocznego, później dwuletniego, współpracując w tej dziedzinie z Kolem Oświatowym słuchaczy w pełni uwzględnia jego życzenia.

Wraz z najbliższymi współpracownikami (K. Kornilowiczem i A. Konewką) M. B. Godecki dąży do wyzwolenia inicjatyw i dzielenia się doś

świadczeniami. Z poradnictwa zapoczątkowanego w Zarządzie Kursów dla Dorosłych at. m. Warszawy (dzięki licznemu zwracaniu się prowincji) powstaje w r. 1919 „na drodze pączękowania” — jak określa Godecki — Centralne Biuro Kursów dla Dorosłych, które w r. 1928 przybrało nazwę Instytutu Oświaty Dorosłych. Przez dziewięć lat Godecki prowadził rozległą działalność instruktorską, zrazu jako kierownik i prelegent, później jako członek Zarządu.

Są to lata najbardziej twórczej jego działalności. Formułuje swe doświadczenia. Wchodzi z ramienia Centralnego Biura Kursów do Rady Naukowej Studium Pracy Społeczno-Oświatowej, utworzonego w r. 1925 we współpracy zrzeszeń oświatowych, spółdzielców, bibliotekarzy i samorządowców z Wolną Wszechnicą Polską. W charakterze prowadzącego wykłady słuchacze omawia ze słuchaczami Dydaktykę pracy oświatowej, Metodykę działalności instruktorskiej, Sztukę żywego słowa i Zasady obrazowania, kieruje szkoleniem praktycznym w zakresie nauczania dorosłych. Używa przeważnie metody konferencyjnych, w której wydatnia się w pełni jego talent i doświadczenia, plastyczność słowa i postaci. Jako sekretarz Rady Studium przychylił się do wytworzenia świadomej bliższej współpracy zespolewowej dzięki swej umiejętności utrwalania dorobku i osobistemu zainteresowaniu obcą mu dającej teorię oświaty.

W r. 1928 obejmuje stanowisko naczelnika Wydziału Oświaty. Pozaszkolnej w Ministerstwie Oświecenia. Okres jego urzędowania odznacza się rozległością podejmowanych prac. U ich wstępu przeprowadzone zostaje pełne podsumowanie dorobku i stanu oświaty dorosłych na Powiatowej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Wielki wkład osobistej pracy Godeckiego towarzyszy pomoc zaproszonych rzeczoznawców i przedstawicieli ochotniczych organizacji oświatowych. Śmiały próg techniczny i dydaktyczną pomysłowość Godeckiego był pawilon Polski Współczesnej, w którym na wielkiej mapie plastycznej sjaśniały się światline obrazy z różnych dziedzin życia.

Konferencje oświatowe zapoczątkowane przez A. Janowskiego zostały wznowione i świetnie zorganizowane. Dwa tomy referatów i protokołów („Kultura wsi” oraz „Pracownik oświatowy”) stanowią poważny wkład do piśmiennictwa zagadnień oświatowych. Przeprowadzany został spis bibliotek powszechnych z dn. 1.I.1930. Miał on dać oparcie dla prac przygotowawczych do ustawy o sieci bibliotek. Godecki, podobnie jak najbliżsi jego współdziałacze, był gorącym zwolennikiem ustawowego zagwarantowania podstaw materialnych urządzeniom służącym oświacie.

Na tle organizacji oświaty prowadzona była podówczas walka ideologiczna, w wyniku której Godecki opuścił Warszawę i — porzucił umiłowaną dziedzinę pracy. Różnice pojmowań i metod pracy wystąpiły wyra-

źnie już na wystawie poznańskiej. Godecki ich nie ukrywał, owszem, należał na ich uwydatnienie w szczegółowych wykresach i ekspozycjach. Słabość samorządu i rolę państwa, działalność „od dołu” czy „od góry”. Powiat garwoliński był przykładem działania w oparciu o samorząd, otaczania opieką inicjatyw lokalnych, subwencjonowania związków komunalnych. Powiaty wołyńskie ukazały wzór innej: pracy prowadzonej z ramienia Kuratorium.

Godecki był swymi poczynaniami mocno związany z kierunkiem samorządowym. Gdy zwydliły inne pojmowanie — w r. 1932 odszedł na stanowisko zaszczytne, lecz obce jego najbliższym zainteresowaniom. Pracował jako kurator okręgów szkolnych — przez rok Brzeskiego, przez trzy lata — Krakowskiego, od r. 1936 — Wileńskiego.

Helena Radlińska

WOJCIECH GOTTLIEB
(1884 — 1941)

Wojciech (Albert) Gottlieb urodził się w r. 1884 w Pradze. Do gimnazjum uczęszczał w Pradze i Czernowcach. Studia uniwersyteckie w zakresie filologii romańskiej i angielskiej odbywał w Wiedniu, a częściowo, przez rok, na uniwersytecie w Paryżu i w Anglii. Doktoryzował się w r. 1908 w Wiedniu na podstawie pracy o Jeremy Taylor, angielskim duchownym i mówcy z XVII w. Po uzyskaniu kwalifikacji zawodowych do nauczania języka francuskiego, angielskiego i niemieckiego rozpoczął pracę nauczycielską w Austrii (w gimnazjum w Troppau i w Karolinental). W r. 1913 objął redakcję działu filologiczno-historycznego i pedagogicznego firmy Teubner w Lipsku, gdzie przebywał do wybuchu wojny w r. 1914. Powołany do armii austriackiej, odbył kampanię wojenną i w r. 1918 osiedlił się we Lwowie. Początkowo pracował w Wydawnictwie Księgarni Polskiej B. Polonickiego, następnie zaś objął stanowisko profesora w Państwowej Szkole Ekonomiczno-Handlowej we Lwowie oraz lektora w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Na kilka lat przeniósł się do Warszawy, gdzie uczył w szkołach średnich języków obcych, pracując równocześnie w Związku Księgarni Polskich, a zwłaszcza w Szkole Księgarskiej. Następnie powrócił do Lwowa; objął stano-

wisko w „Rolniku” oraz wykłady socjologii w Studium Pracy Społecznej. Zmarł 3 maja r. 1941 we Lwowie.

Działalność W. Gottlicha była działalnością wielostronną. Miał zainteresowania badawcze, zwłaszcza w zakresie socjologii, pociągała go praca wydawnicza, był dobrym i gorliwym nauczycielem. Okoliczności życia, trudne warunki finansowe, przeszkody w ustalaniu się w nowej polskiej ojczyźnie, wszystko to sprawiło, iż nie mógł swych sił i zdolności wykorzystać tak, jakby należało.

Odnoś się to zwłaszcza do zainteresowań naukowych. Dojrzały one powoli i z trudem szukały sobie dróg w opornej rzeczywistości codziennego życia. Nie był wprawdzie umyślnym twórcą, ale rozporządzał bardzo dużą wiedzą i równie wielką umiętnością jasnego wykładu. Jego artykuły o socjologii wychowania drukowane w „Encyklopedii Wychowania” nie przyniosły wprawdzie sformułowań oryginalnych, ale stanowiły w naszej ówczesnej literaturze jedyny wykład tego przedmiotu pisany w sposób prosty i dostępny, wolny od przesostów indywidualnych koncepcyj. Przez nauczycielstwo były czytane chętnie i z pożytkiem.

W zakresie działalności wydawniczej największą zasługą Gottlicha było zorganizowanie pracy nad „Encyklopedią Wychowania”. Było to jego pomysłem, by w zbiorowym opracowaniu dać polskiemu nauczycielstwu obraz osiągnięć nauk pedagogicznych. Było jego marzeniem, by Encyklopedię tę wydawać własnym nakładem, inicjując w ten sposób działalność własnej księgarni wydawniczej. Rzecz jednak począła się redakcyjnie rozstrząsać tak bardzo, iż nie wystarczyłyby na nią szesnaste możliwości finansowe, którymi rozporządzał. Wydawnictwo Encyklopedii zostało przejęte przez „Naszą Księgarnię”, ale Gottlieb wszedł w skład komitetu redakcyjnego, który pracował pod kierunkiem jego przyjaciela prof. Stanisława Lempińskiego. W Komitecie tym pracował najhardziej wytrwale i systematycznie. Mimo oddania Encyklopedii w ręce wydawniczym w inne ręce, traktował ją nadal i do końca jako własną, najbardziej ukochaną pracę.

W zakresie działalności autorskiej i redakcyjnej wspomnieć jeszcze należy o żywych zainteresowaniach dydaktycznych, których wyrazem było opracowanie szeregu podręczników, licznych artykułów metodycznych oraz prowadzenie przez pewien czas pisma poświęconego dydaktyce języków nowożytnych.

Wzroście na osobną wzmiankę zasługuje obszerna niemiecka książka Gottlicha o Polsce. Mówi w niej o historii i o kulturze polskiej w sposób przejrzysty i przekonujący. Daje syntezę przydatną cudzoziemcowi,

a zgodną z rzeczywistością. Jest to z pewnością jedna z lepszych książek o Polsce wydanych w obcym języku.

Ostatnio zajmował się większą pracą z zakresu socjologii, której jednak nie wykończył.

Życie i działalność W. Gottlicha są świadectwem wględności narodowych osmańców człowieka, a zarazem dowodem, iż wględność ta może być podstawą postępowania wolnego od wszelkiego rodzaju fanatyzmów, ale pełnego energii i przywiązania. Jego ojciec był pastorem niemieckim a domową krew czeską, matka Angielką. Oba te języki były dla niego ojczyste. Przez toną, Polką, wszedł do narodowej wspólnoty polskiej i język polski, który opanował doskonale, chociaż z pewnym uciążliwym akcentem cudzoziemskim w mowie, stał się dla niego trzecim ojczystym językiem. W dniach polsko-niemieckiej wojny, we wrześniu 1939, zgłaszał się jako h. oficer austriacki do służby, mimo iż przekroczył już 55 rok życia. Decyzją tą dowiódł, iż pozostał wierny temu, co pisał w swej przedwojennej książce o Polsce, książce zakazanej w hitlerowskich Niemczech.

Wielorakość i przeciwstawność tych społeczno-dziejowych struktur, na których formowało się osobiste życie W. Gottlicha, nie wytworzyły w nim jednak ani wewnętrznej dysharmonii, ani septycznej obojętności, ani postawy egotycznej, wolnej od zobowiązań. Wręcz przeciwnie, był człowiekiem pełnym szczerzej i bezpośredniości uczuciowości, gotowym do ofiar, poświęceń i przywiązań, zdolnym do pracy wytrwałej i odpowiedzialnej. Miał wiele wyrozumienia dla ludzkich słabości, wynikających z zaflepień i ograniczeń, ale odważnie i zdecydowanie zwalczał te wszystkie formy fanatyzmu, które zmierzały do obalenia podstaw humanitarnej kultury. Był Europejczykiem w najlepszym znaczeniu tego słowa, ponieważ ponad przeciwieństwami narodów, języków i wyznań umiał nie tylko widzieć, ale i być w życiu wiernym temu, co ludzi łączy.

Gdy nieoczekiwana choroba i nieszczęśliwy wynik operacji spowodowały śmierć przedwczesną, pozostał po nim serdeczny śzał w gronie przyjaciół, którzy, znając go od lat, przywiązani byli do jego rozsądnego i pogodnego sposobu życia.

Prace: Szereg artykułów w czasopiśmie pedagogicznym w Pradze,

Artykuły w „Przeglądzie Pedagogicznym” w Warszawie.

Artykuły w „Przeglądzie Księgarskim” i „Rolniku”.

Artykuły w „Reduče”, tygodniku polskim we Lwowie.

Artykuły w „Encyklopedii Wychowania”.

Podręczniki niemieckie dla gimnazjum, podręcznik angielskiego

litwarskiego

„Wskazy socjologiczne”.
Książka „Polen”. Wanderungen eines Europäers Wien, 1935, str. 402. Ge-
leitwort: St. Łempicki. Dedykacja: Meiner Frau Hedwig, die mich Polen
lieben lehrt.
No gospodarstwu przyszłości, Lwów, 1935, str. 46.
Praca zbiorcza o teorii panowania (niemkończone) w rękopisie: I rocznik
i plan II i III.
Redagował razem z St. Łempickim „Redutę” i „Tydzień Polski” w latach
1934 — 1937 oraz czasopismo „Neofilolog”.

Bogdan Suchodolski

ZYGMUNT HAJKOWSKI
(1889 — 1942).

Do wybitnych pracowników na polu kultury i działaczy społecznych oraz wychowawców młodzieży polskiej w Łodzi w okresie dwudziestolecia niepodległości należał w pierwszym rządzie Zygmunt Hajkowski. Należał do tych, którzy bez rany oddawali swoje życie umiłowanej pracy i obronieniu zawodości. Los zaliczył go do tych, którym brutalna ręka okupanta przerwała żywot pełen poświęceń i samozaparcia. Zginął śmiertelnie zwykłą śmiercią Polaki podziemnej, w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu dnia 21 marca 1942 r.

Tragiczna śmierć przetrwała Hajkowiemu jego wszechstronną działalność oświatową, pedagogiczną i naukową w 52 roku życia. Choć urodził się w miasteczku Szeczerowie (pow. Łask) dnia 25 kwietnia 1889 r., był dzieckiem Łodzi, dzieckiem rodziny robotniczej (syn Michała i Jadwigi z Jureklich). Tutaj w trudnych warunkach materialnych przeżył swe dzieciństwo i młodość. Tutaj także kończył szkołę elementarną i wstąpił do szkoły średniej. Wznieśli też przylgnął do konspiracyjnego ruchu młodzieży gimnazjalnej. W okresie walki o szkołę polską w Królestwie (1905 r.) znajduje się wśród młodzieży walczącej. Potem zbiera grupę młodych działaczy niepodległościowych w kole polonistycznym. Jako młody działacz niepodległościowy należał do ideowej organizacji „Wielki” rozwijającej działalność na terenie tej szkoły, a będącej jednym z ogniw łańcucha organizacji uczniowskich typu „narodowych”. Z ramienia tej organizacji w r. 1907 brał udział w ogólnym zjeździe w Częstochowie. Wreszcie należał do ściśle tajnej organizacji, mającej ambicje kierowania całym polskim ruchem młodzieżowym, do „Przyszłości” (PET). Kiedy PET przeliterował się w podziemną organizację uczniowską „Zarzewie”, Hajkowski stał się jednym z czynnych jej działaczy.

Maturę uzyskał jako eksternista w III gimnazjum w Krakowie w roku 1910. Ukończenie w normalnym czasie rozpoczętych studiów w r. 1911 na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego udamienia Hajkowiemu wybuch pierwszej wojny światowej. W zmienionych warunkach politycznych wrócił do rodzinnego miasta, by poświęcić swa młode siły powstającemu szkolnictwu polskiemu. Pracę swą zawodową jako nauczyciel rozpoczął w szkolnictwie elementarnym, bowiem w roku szkolnym 1915/16 uczył w szkole powaszechniej nr 43. W następnym roku szkolnym 1916/17 był już nauczycielem łódzkiej 4-klasowej szkoły miejskiej. W r. 1918 kończy przerwane studia uniwersyteckie i wnet zostaje powołany w r. szkol. 1918/1919 na nauczyciela Państwowego Gimnazjum im. Stanisława Staszka w Zgierzu. W r. 1919 przeszedł do Miejskiego Gimnazjum im. J. Piłsudskiego w Łodzi na stanowisko wykładowcy języka polskiego i łaciny, w której to szkole z całym zapałem i oddaniem pracował nad wychowaniem i kształtowaniem charakterów swych uczniów aż do zimy 1939 r., kiedy hitlerowski zaborca położył kres polskim szkołom na ziemiach włączonych do Niemiec. Ołok nauczania żywo interesowały go rozwijając się na terenie Gimnazjum stowarzyszenia uczniowskie. Sam kierował sekcją literacką w samokształceniowej organizacji p. n. Kolo Naukowe. Rozkochany w książkach, stworzył pokazany księgozbiór dla młodzieży tej szkoły, wśród której krzewił kult książki, rozwijał samilubowanie do czytelnictwa i zwracał wychowankom swoim uwagę na znaczenie politycznej lektury.

Zainteresowania Hajkowskiego były wszechstronne. Nie wystarczała mu szkoła i młodzież. Z młodzieńczego okresu życia wyniósł skłonność do szerzej działalności społecznej.

Należał do tych nielicznych, którzy właściwie kładli podwaliny pod rozwój zorganizowanego życia naukowego w Łodzi. Należał do wielu stowarzyszeń naukowych, działających w mieście pracy; w wielu z nich należał do zarządu, a niektórych był współzałożycielem. W pierwszym rządzie w Towarzystwie Polonistów R. P., Oddziale Łódzkim, w pracach którego brał czynny udział, był członkiem zarządu, wygłaszał odczyty, publikował swe rozprawy w „Pracach Polonistycznych” w serii I (1937) i III (1939), zamieszczał artykuły w „Dodatku Literackim”, a później „Kolumbie Literackiej” „Kuriera Łódzkiego”, redagowanego przez miejscowych polonistów. Był jednym z najbardziej ruchliwych i pracowitych członków Kola Łódzkiego Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego. Sam zajmował się organizowaniem prac Kola, a mianowicie popu-

laryzacja wiedzy o języku ojczystym drogą odczytów i artykułów. Główną jego zasługą było zorganizowanie z ramienia tegoż Koła oraz Oddziału tutejszego P.T.H. badań językowych i gwarozmawczych na obszarze byłych województw łęczyckiego i sieradzkiego w ramach powołanej do życia wspólnie przez oba towarzystwa Komisji Językowej, którą kierował w l. 1929 — 1933.

W całym życiu książki była jego wiernym druhem. Nie tylko zgromadził wspaniałą księgozbiór polonistyczny jako osobistą podręczną bibliotekę, która służyła mu za warsztat pracy pedagogicznej i naukowej, ale także propagował miłośnictwo książki, zwłaszcza książki pięknej i rzadkiej. Był jednym z założycieli i entuzjastów łódzkiego Towarzystwa Bibliofilów. Długi czas oddawał swe sily dla Towarzystwa na stanowisku wiceprezesa zarządu, a w l. 1936 — 1939 objął jego przewodnictwo. Towarzystwo może poszczycić się szeregiem wydawnictw bibliofilskich, a między innymi także i Hajkowskiego pracą „Łosy księgozbioru Feliksa Wężyka z Mroczenia”. Z zakresu bibliologii napisał także obszerny artykuł informacyjny w „Księdze pamiątkowej Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi” (1928) na temat: *Deiact polonistyczny*.

Hajkowski, z wykształcenia polonista, z umiłowań naukowych historyk literatury, szybko przystał do łódzkiego środowiska historycznego, w którym rychło wysunął się na czoło najwydatniej pracujących członków. W r. 1933 wszedł do zarządu Oddziału P.T.H. Tutaj wygłaszał odczyty. Pracował nad bibliografią regionalną województwa łódzkiego w specjalnej do tego celu powołanej Komisji, której objął przewodnictwo w r. 1935. Owocem tej pracy, wspólnie z innymi członkami przygotowanej, był pokafczy III zeszyt bibliografii opublikowany w „Roczniku” Oddziału w r. 1939. Kiedy w r. 1930 powstała łódzka Komisja Polskiego Słownika Biograficznego, Hajkowski wziął udział w jej pracach na stanowisku asystency przewodniczącego. Nieobojętne były mu zabójki szlaki na tym terenie. Najwięcej jednak serca poświęcił Łęczycy i romańskiej kolegiacie w Tumie. Z polecenia łódzkiego Oddziału P.T.H. wszedł do obywatelskiego Komitetu Ratowania Kolegiaty w Tumie pod Łęczycą. I tu na tym nowym odcinku działania poświęcił się popularyzacji tych wspaniałych zabytków naszej przeszłości przez organizowanie masowych wycieczek oraz przygotowanie fachowych przewodników po Tumie i Łęczycy (1934 — 1939). W związku z tymi zainteresowaniami powstały dwie publikacje pióra Hajkowskiego: 1) „Boruta”. Podania wybrał i poprowadził wstępem... (1935); 2) „Boruta w literaturze pięknej” — rzecz o regionalnym motywie literackim (1937).

Od r. 1935 trwały starania i zabiegi, przedsięwzięte przez grono ludzi pragnących skoordynować indywidualne wysiłki instytucji i jednostek, spragniających pracą naukową, celem powołania Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Łodzi. Nie też dziwnego, że wśród założycieli i w pierwszym składowie zarządu znalazł się tak ruchliwy pracownik nauki, jakim był Hajkowski. Po uformowaniu się sekcji naukowych w r. 1938 objął Hajkowski przewodnictwo sekcji nauk humanistycznych. W kwietniu 1939 r. sam wygłosił odczyt na zwanym walnym zgromadzeniu T.P.N. na temat: *Artur Gliśczyński, pierwszy poeta łódzki*. Rozprawa ta ukazała się drukiem w III serii „Prac Polonistycznych” i w odbitce (s. 31).

Badania naukowe Hajkowskiego skupiały się głównie nad twórczością Jana Kochanowskiego i nad romantyzmem polskim. Ważkiwe swe studia ogłaszał czy to w formie artykułów, czy to recenzji w „Ruchu Literackim” i „Pamiętniku Literackim” w l. 1928 — 1933.

Ruchliwe i pracowite swe życie poświęcił Hajkowski bez reszty dla Kraju, a przede wszystkim dla społeczeństwa łódzkiego.

Roman Koczmarek

ALBIN JAKIEL
(1900 — 1944)

W walce z germańskim najazdem, w czasie powstania warszawskiego padł dr Albin Jakiel, jeden z najdzielniejszych pracowników Związku Nauczycielstwa Polskiego, jeden z najlepszych nauczycieli. Odziedził od nas w tragicznych dniach nierównej walki, gdy przez ruiny i zgłębzenia szliśmy ku wolnej Polsce. Śmierć jego wywołała żal powszechny. W głębokiej żałobie pogrzebła rodzinę, przyjaciół, kolegów, współpracowników i uczniów, wszystkich, którzy go czuli i kochali za wielkość umyłu i serca i za przedziwny, nieuchwytny czar, jaki roztaczał wokół siebie.

My, absolwenci Instytutu Pedagogicznego Z.N.P., poznaliśmy dra Albina Jakiela we Lwowie w 1936 r. Zebrała się nas ogromna gromada około 200 osób licząca. Przyjechalibyśmy po wiedzę. Na estradzie dużej sali zakładu im. Strzałkowskiej przy ulicy Zielonej ukazała się sylwetka naszego profesora Albina Jakiela. Docent uniwersytetu genezyckiego dr Jakiel miał wykłady z pedagogiki porównawczej. Słuchaliśmy i patrzyliśmy, a zainteresowaniem. Mówił jasno i potocznie. Płynęły słowa pełne treści i barwy. Rostrząsał zawile sprawy pedagogiczne, które w jego ustach stawały się jasne i zrozumiałe. Serdeczność i życzliwość ulubionego profesora, który miał niejednokrotnie uczniów starszych od siebie, przeja-

wiały się nie tylko w sprawach zasadniczej wagi, ale i przy okazjach drobnych i nie znaczących. Takie postępowanie jednalo mu ogólną sympatię.

A. Jakiel urodził się w Schodnicy w 1900 r. Sakolą powoszczoną ukończył w Dobromiłu, średnią w Samborze i Lwowie. Jako uczeń gimnazjalny wstępuje w szeregi rodzącego się pod przewodnictwem Malkowskiego harcerstwa polskiego. Idea harcerska silnie zaważyła na kształtowaniu się jego charakteru (profesor nie pił i nie palił). W 1921 r. zostaje nauczycielem szkoły powoszcznej w Dobromiłu, skąd po półrocznej pracy przechodzi do Stanisławowa, a potem do Lwowa. Nie ogranicza się do pracy w szkole. Bierze wydatny udział w pracy dla dorosłych: prowadzi rozmaite kursy, organizuje odczyty, redaguje „Ziemię Stanisławowską”. Od pierwszego roku swej pracy pedagogicznej jest oddanym zwiazkowcem i entuzjastą dwóch mało wówczas popularnych haseł: pierwsze — to zagadnienie szkoły jednolitej, drugie — to podniesienie poziomu wykształcenia nauczyciela, jego usobowości i pozycji w społeczeństwie. Pierwsze hasło podnosi na zbraniach nauczycielskich, na wiecach, w prasie. Realizację drugiego rozpoczyna od siebie. Pogląda swe wykształcenie zawodowe i ogólna, pracuje nad językami, by móc czerpać z literatury obcej w zakresie ulubionych przedmiotów. Niemordowanej pracowitości towarzyszy nieodmiennie entuzjazm. Ten urodzony entuzjasta porwya za sobą nauczycieli, organizuje zespoły samokształceniowe, poradnie, konferencje. Praca dra Jakiela wspomozona wysiłkami innych wybitnych jednostek daje rezultaty: poruszone zostaje nauczycielstwo, obudzony pęd do dalszego kształcenia się.

W r. 1928 dzięki skromnym własnym środkom finansowym oraz pomocy Z.N.P. wyjeżdża dr Jakiel do Genewy, aby studiować pedagogikę. W Genewie posostaje do 1935 r. i tu na uniwersytecie uzyskuje dyplomy uprawniające go do nauczania psychologii, pedagogiki i psychotechniki, a w 1934 r. doktora filozofii. Jego tezą doktorską była praca „Le travail par équipes à l'école” („Praca zespołowa w szkole”). W Genewie od 1930 r. pracuje jako delegat Polaki w Międzynarodowym Biurze Wychowania (Bureau International d'Education). Na terenie Biura opracowuje: „Organisation scolaire dans 53 pays”; „L'admission aux écoles secondaires”; „La formation professionnelle du personnel enseignant primaire”; „La réforme scolaire polonaise”; „Travail et congé scolaire”; „Les économes dans les domaines de l'instruction publique”. Jego wielka pracowitość, szerokie horyzonty umysłowe, entuzjazm i idocwość znajdują właściwą ocenę, a pełne prostoty i czaru obejście zjednywają mu wielką sympatię. W r. 1934/35 dr Jakiel zostaje docentem uniwersytetu genewskiego i wyklada pedagogikę porównawczą.

Poza pracą w Międzynarodowym Biurze Wychowania oddaje się pracy społecznej. Jest kierownikiem Sekretariatu Generalnego Towarzystwa Polskich na terenie Sewajcarii. Jako reprezentant Z.N.P. wchodzi do Międzynarodowej Federacji Związków Nauczycielskich, bierze aktywny udział w rozlicznych kongresach oświatowych i pracach Ligi Nowego Wychowania.

W jesieni 1935 r. wraca do Polski. Wyklada w Państwowym Instytucie Nauczycielskim, kieruje Muzeum Oświaty i Wychowania, prowadzi w Mi-nisterstwie Oświaty dział konwencji kulturalnych z zagranicą; jako docent Wolnej Wszechnicy miewa tam wykłady. Równocześnie dużo sił wkłada w pracę dla Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jest członkiem Zarządu Głównego, kierownikiem Sekcji Kształcenia Nauczycieli, następnie przewodniczącym Wydziału Pedagogicznego, jednym z głównych organizatorów i wicedyrektorem Instytutu Pedagogicznego Z.N.P., przez pewien czas redaktorem „Ruchu Pedagogicznego”.

Spotykaliśmy się z profesorem Jakielom na kursach w Gdyni, w Krakowie, w Warszawie, zimą i latem... My, instytutowcy, jechaliśmy na każdy kurs z radością, bo tam czekało na nas serce, które dla nas było.

A jaki to był cudowny człowiek poza obowiązkami i pracą! Było w nim coś z dziecka. Potrafił cieszyć się lada drobnością, śmiać się długo i serdecznie i tą beztroską radością зараżał innych. Nieraz, na wycieczkach, jak postrny chłopiec luhący figle opowiadał nam wesoło historie z życia profesorów genewskich. Zaśmiewaliśmy się serdecznie, a nawet prof. Bohdan Zawadski z Wilna wyzcedł z ram zwykłej dłań dostojności i łaskawie, jednak ciepło i z uszanowaniem rzekł: „Mily jest ten wasz „Zakil”. Bo właśnie „Monsieur Zakil” nazywali naszego Jakiela Sewajcarzy. Albo kiedy poza terenem pracy spotkali się ci dwaj: Jakiel i Maj. Trzymali się nierozłącznie. Nie rozwiżywali, broń Boże, jakichś zawyłych problemów sensu życia, brali z życia to, co w nim jest dla nas dorosłych tak rzadkie: radość i śmiech. I tylko gdy dacień był cały ze złota i błękitu, gdy piękno otaczającej przyrody podkreślało nierealność życia, młkli obaj i długo wodzili oczyma po obłokach, ziemi i morzu. Hej, gdzie te czasy!...

A później przyszedł sierpień 1939 r. Dr Jakiel był właśnie w Kazimierzu nad Wisłą, znowu na kursie zwiazkowym. Powołany do wojska, wraca po smutnym wrześniu do Warszawy. I znowu stopniowo zanurza się w wir pracy społeczno-oświatowej. Pod pokrywką kierownika Kursów Przygotowawczych dla Nauczycieli Szkół Zawodowych (tylko takie szkoły Niemcy tolerowali) oddaje się pracy w T.O.N. W wielkiej i ruchliwej kamienicy przy ulicy Senatorskiej powstaje rodzaj centralnego biura dla spraw oświaty i wychowania. Jest tam centrala tajnej organizacji kompletów Wolnej Wszechnicy i kształcenia przysylnych nauczycieli szkół

powszecznych. Przygotowuje się wiele spraw oświatowych organizowanych przez Polskę podziemną, wyznacza się terminy i adresy domów, gdzie odbędą się wykłady tajnego Instytutu Z.N.P. Tu krążąją się sprawy związane z pracą T.O.N. (działalność podziemna Z.N.P.). Jednym z kierowników tej pracy jest dr Jakiel. Wychudł, twarz ma bladą i wymisierowaną, tylko spokojne, mocne jego oczy palą się błękitnym ogniem. Jest poszukiwany przez Gestapo, dom jego na Żoliborzu kilkakrotnie nachodził Niemcy, musi się ukrywać.

Wybuch powstania zastaje go w centrum miasta. Usiłuje dostać się na Żoliborz do rodziny. Przeszedł już wiadukt gdański, jest niedaleko domu. Postanawia jednak wrócić na swoją placówkę. Na Starym Mieście, na tak okrutnie doświadczoną „Starówec” dnia 26 sierpnia 1944 r. ginie pod gruzem rozwalonej bomby lotniczą kamienicy przy ulicy Miodowej.

Zginął dr Jakiel, gdy życie jego tak bardzo potrzebne było Polsce. Nie dość jest zawsze ludzi takich jak on: entuzjastów, idealistów, a zarazem trzeźwych i mających poczucie rzeczywistości. Na Powązkach skromny krząkał i mogiła dra Jakiela. Tu przyrzekliśmy kontynuować jego ideały i pracę. Z jego pracy, entuzjazmu i ofiarności coś w nas zostało. Non omnis moriar...

Regina Cielichowska

ANTONI JOBKE

(1904 — 1939)

Antoni Jobke należał do tego młodego pokolenia działaczy nauczycielskich z Wielkopolski, które samotnie i na skutek własnych przemysłów znalazło drogę do postępowej organizacji nauczycielskiej i postępowej myśli pedagogicznej. A droga ta nie była łatwa dla nauczyciela z prowincji, bo mało było w środowisku wielkopolskim ludzi starszego pokolenia, którzy by przykładem swoim do tego zachęcili, a zewsząd piętrzyły się trudności ze strony miejscowego obkurantyzmu i klerykalizmu.

A. Jobke urodził się 2 czerwca 1904 r. w Obrze, w powiecie wolsztyskim. Pod zaborem pruskim uczęszczał do tajnej szkoły polskiej, już po odzyskaniu niepodległości kończył polskie seminarium nauczycielskie w Wolsztynie. Pracownicy do Bydgoszczy w r. 1926 wraz z innymi kolegami przystępują tam do założenia Ogniska, ówczesnego Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszecznych, którego był wieloletnim przewodnikiem.

Mimo młodego wieku był to działacz nauczycielski niepospolitej miary. Jeździł po prowincji z referatami, przekonywając kolegów i pomagając zakładać nowe ogniska Z.N.P. Organizuje wiecze za wprowadzeniem

szkoły jednolitej. Skrupiecznie zbiera materiały statystyczne wykorzystuje je w prasie i na zebraniach, by zwrócić uwagę społeczeństwa na potrzeby szkolnictwa. Jego inicjatywie zawdzięczać należy, że w latach przedwojennych miasto Bydgoszcz przystąpiło do planowej budowy szkół.

Antoniego Jobkego można było spotkać wszędzie tam, gdzie dobro szkoły i oświaty tego wymagały. Rychło nawiązał kontakt z działaczami socjalistycznymi, pracuje w T.U.R., w Z.Z.K., w Towarzystwie Popierania Budowy Publ. Szkół Powszecznych, on też pierwszy przykładał ciężki do tworzenia jednolitego ruchu zawodowego w Bydgoszczy.

Jego bezinteresowność, znanstwo, pracowitość i ofiarność sprawiły, że cieszył się powszechnym uznaniem nauczycieli, dzieci, rodziców, społeczeństwa. Dzięki tym zaletom został wybrany na członka Zarządu Głównego Z.N.P. O własnych siłach ukończył W.K.N., o urlopie płatnym jako działacz lewicowy nie mógł pomyśleć. Marzył o studiach uniwersyteckich, jednak w Polsce przedwojennej trudno było nauczycielom uzyskać dostęp do wyższych uczelni. Od r. 1934 był kierownikiem szkoły powszechnej w Bydgoszczy.

W październiku 1939 r. został aresztowany przez Niemców i jako jeden z pierwszych nauczycieli bydgoskich został poprowadzony na męczenną śmierć.

Ludwik Bandura

FELIKS KALEWSKI

(1905 — 1940)

W okresie wzmagającej się z dnia na dzień agitacji partii narodowo-socjalistycznej w Gdańsku, w styczniu r. 1935 przybył Feliks Kalewski do Gdańska, by objąć stanowisko profesora przedmiotów handlowych w Polskiej Szkole Handlowej i Polskiej Wyższej Szkole Handlowej Męczy Szkolnej w Gdańsku. Stanowisko bardzo ważne i bardzo odpowiedzialne. Szkoły handlowe kształciły polską młodzież Gdańska na samodzielnych pracowników polskich firm spedycyjnych, maklerskich, handlu zagranicznego i banków w Gdańsku. Od ich przygotowania zawodowego zależał rozwój ekonomiczny polskich przedsiębiorstw w dawnym porcie Rzeczypospolitej. Od ich zdolności zależało zwalczanie czy uleganie konkurencji firm niemieckich. Młodzież kończąca polskie szkoły handlowe w Gdańsku musiała posiadać wszechstronne przygotowanie handlowe. Musiała znać język polski i niemiecki, prawa i zwyczaje handlowe w Polsce i w Wolnym Mieście Gdańsku. Umiejętności przedmiotów handlowych — arytmetyki handlowej, księgowości, towaroznawstwa

były podstawa jej studiów. Tych przedmiotów udzielał miał Feliks Kalewski.

Nie był on gdańszczaninem, był synem wielkopolskiej ziemi. Urodzony w Kamowie, 18 marca 1905, przeżywa pierwsze lata swego dzieciństwa w pruskim zabrze. Naukę szkolną rozpoczyna jeszcze w szkole niemieckiej, kończy ją w polskim już gimnazjum, by niebawem wstąpić do Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu. W uczelni tej nabiera zamiłowania do pracy zawodowej na polu tak mało wówczas w Polsce docenianym — gospodarczym. Ukończywszy studia postanawia samodzielnie prowadzić własny warsztat pracy, otwiera handlową firmę.

Niebawem jednak zainteresowania jego kierują go znowu ku uczelniom. Tym razem w charakterze profesora. Po krótkiej praktyce nauczycielskiej w Miejskiej Szkole Handlowej w Poznaniu, gdzie osiąga dobre wyniki pedagogiczne, a młodzież darzy go żywym przywiązaniem, obejmuje odpowiedzialne stanowisko nauczyciela w polskim szkolnictwie w Gdańsku. Zastaje tu ciężkie warunki pracy, brak naukowych pomocy, niejednolite przygotowanie podstawowe młodzieży, trudności w uzyskiwaniu praktyk czy pokazów niezbędnych dla należytego prowadzenia nauki.

F. Kalewski nie należał jednak do ludzi zbyt długo się zastanawiających. Z uporem i konsekwencją Pomarańczyka zabiera się do pracy. Wymaga ją, a mimo to wyrozumiały dla młodzieży wnet zyskuje sobie uznanie i szacunek uczniów. Obok pracy szkolnej zajmuje się organizacjami młodzieżowymi, kieruje stowarzyszeniem uczniów szkół handlowych „Bratnia Pomoc”, której zadaniem były nie tylko współpraca i rozrywka młodzieży, lecz która umożliwiała niezamożnym kończenie studiów udzielając pożyczek i zapomóg. Prowadzi sklepik szkolny, gdzie znowu praktyka handlowa łączy się z samodzielnością pracującą w tej instytucji młodzieży. Jest również opiekunem, kuratorem Związku Absolwentów Polskich Szkół Handlowych w Gdańsku, stowarzyszenia mającego na celu utrzymanie wśród dorosłej już młodzieży kontaktu i dalszej współpracy oraz dokształcanie polskich młodych pracowników handlowych Gdańska.

Nie więc dziwnego, że te rozliczne zajęcia wypchują bez reszty czas Kalewskiemu, że przychodzą do budynku szkolnego przed godziną 8 rano opuszcza go nieraz późną nocą. A mimo to pracuje nadal pogłębieniem własnego wykształcenia. Odbiera krótki „stage” w polskich firmach handlowych Gdańska, zapoznaje się z ich działalnością, stara się o uzyskanie wakacyjnych praktyk zagranicznych. Razem z kolegą swym prof. Madejsem opracowuje i wydaje drukiem podręcznik szkolny do nauki księgowości zbierając w nim wyniki swej praktyki pedagogicznej, przygotowuje także podręcznik do arytmetyki handlowej. Wykłada jasno i przystępnie, stara się w wychowankach swych wyrobić rzetelną wartość kupiecką, podkreślając jednak zawsze momenty narodowe, wychowuje nie

berdusznego kupca, lecz pełnego i świadomego swych celów i zadań Polaka. Wciągnięty w pracę harcerską staje na czele Kola Przyjaciół Harcerstwa przy Szkołach Handlowych.

Ta wszechstronna, a tak pełna rezultatów praca nauczyciela i społecznika F. Kalewskiego nie uszła bocznej oka gdańskiej polleji. Aresztowany, dzieli los Polonii Gdańskiej, więzionie i obóz. Glinie 14 czerwca 1940 r., pozostawiając po sobie pamięć wybitnego pedagoga i gorącego Polaka, a przede wszystkim dobrego bardzo człowieka.

Marian Pelczar

ADAM KOŁODZIEJ
(1901 — 1942)

Choćby artykuł 51 (dawniej 58) ustawy o stosunkach służbowych nauczycieli, szwalący władzom przenosić nauczyciela do innej szkoły, wyrządził krzywdę jednostkom zwłaszcza rodzinnym, jednak obywateli demokratycznemu horyzontowi się przed wojną z sanacją i Osonem przynosił często korzyści: przenosił bowiem bardziej ideowe i energiczniejsze jednostki z terenów pulsujących życiem obywatelskim do okolic zapóźnionych, uległych ideologii marszałka Piłsudskiego i pozwalał takim jednostkom na rozwiewanie bańki i postulatów demokratycznych. Typowym przykładem takiego relatywnie było życie nauczyciela Adama Kołodzieja, członka Polskiej Partii Socjalistycznej i Z.N.P. Człowiek ten był obdarzony wyjątkową odwagą cywilną, niezłomnością przekonań i zdolnościami organizacyjnymi, toteż ciągle przenoszenie go, dla tak zwanego dobra szkoły, szerzyło idee socjalistyczne tam, gdzie się ich nawet spodziewać nie należało.

Ideali sprawiedliwości społecznej, równości i wolności Adam Kołodziej wyniósł z domu rodzinnego, był bowiem synem robotnika fabrycznego w Częstochowie, i pozostał im wierny przez całe życie aż do swej męczącej śmierci. Przybywszy do szkoły powszechnej w Łukowie na Podlasiu zetknął się tutaj z głębią myślącymi kolegami w osobach: zmarłego przed wojną Wacława Benedy, Józefa Kozła, Stanisława Kozłara i innych. Nauczyciele ci już w pierwszych latach niepodległości zorganizowali silną placówkę P.P.S., udzielali się nie tylko robotnikom, kolejarzom, ale oddziaływali na swe drobnoniezszczańskie i sądeckie, chłopięce otoczenie w powiecie, wykładali w T. U. R. Wbrew dzisiejszym wiatrom śpiewającym piosenkę o przepracowaniu i w związku z tym o braku czasu u każdego nauczyciela, częściej wypływającego z rąbki innych powodów, Adam Kołodziej czy Wacław Benedy znajdowali wolną chwilę dla udania się do świetlicy robotniczej, dla przygotowania odczytu dla Karłini-

ra Czaplińskiego czy Stefana Kopcińskiego. Wyszli się przeto na cześć miejscowego społeczeństwa, stali się istotnie nauczycielami, zdobyli sobie zaufanie ogółu, który w podziwie za to obdarzył ich w miarę swych możliwości mandataми radnych miejskich. Trybuna rady miejskiej w Lukowie służyła nie tylko do omawiania potrzeb tamtejszego oświadczenia, ale i dla podniesienia świadomości obywatelskiej pozostałych radnych i przysłuchującej się publiczności. Ani miejscowa endecja, ani sanacja nie posiadały w Lukowie ludzi zdolnych sprostać w dyskusji Kołodziejowi, Benendzie albo Kosiellowi, toteż skora głowa i język nie pomogły, wstępnictwo chwyciło się swych właściwych dlań argumentów w postaci ręki i kija. Jednakże Kołodziej, Kosiell, a nawet chorowity i wątły Benendo nie pozwolili, aby cudze było na wierzchu, oni też byli ludźmi bojaźliwymi; w dodatku w ankers im sili robotnicy polscy i żydowscy. Sala rady miejskiej w Lukowie przedstawiała wdzięczny dla Dumasa, Sienkiewicza czy nawet Wiecha widok. Rezultatem były dochodzenia dyscyplinarne, śledcze, kończące się zwykle wykazaniem istotnego następnika lub provokatora i uniewinnieniem nauczycieli. Szczęśliwie jednak zwracały na Luków uwagę władze wyższych i nie stwarzały lukowskiemu nauczycielstwu żywej atmosfery, a kiedy jednocześnie ta sama lukowska gromada była wraz z garwolińską powinną przesyłać do podporządkowania polityce sanacji nauczycielskiego okręgu związkowego w Lublinie, który wraz z Brześciem i Warszawą stanowił demokratyczną wyjątek na salanym przez sanację oceanie, kiedy na zjeździe okręgowym w dniach 5 i 6 stycznia 1931 r. znalazła się sprawa Brześcia podniesiona przez niego podpisanego, uczestniczącego na zjeździe w charakterze gościa, ale niezwłocznie podchwycona przez Kołodzieja, Marcina Wasyluka i Józefa Kanigę, kiedy na zjeździe okręgowym w kwietniu 1932 mocno skrytykowano posłankę B. B. W. R. Marię Jaworską za ustawę szkolną noszącą nazwę Jędrzejewiczewskiej, los nauczycieli socjalistów i ludowców był przesądzony.

Rozpętano serię przemian. Jakże tego demokratycznego odzarcenia z ręk sanacji mógł być pozbawiany towarzysz Adam Kołodziej, który namyślił stać się Jaworowskiego i pozostał wierny C.K.W. P.P.S.? Żona, nauczycielka, wraz z dziećmi pozostała w Lukowie, a Adama przeniesiono do Chojnie, gdzie pracował z przeniesionym dla dobra szkoły Cz. Wycechem, jednakże po trzech latach przeniesiono go dla dobra szkoły z Chojnie do Torunia. P.P.S. nie zabliźniła swych ran po rozłamie Moraczewskiego i Jaworowskiego i potrzebowała takich nieugiętych i zdolnych, jak Adam Kołodziej, ludzi do akcji. Kołodziej niezwłocznie zgłasza się do miejscowego O.K.R., styka się z K. Ruśkiewiczem i innymi. Jeździ na wiece do Bydgoszczy, do Grudziądza. W r. 1934 rząd Piłsudskiego i Becka zawiera, jak wiadomo, pakt nieagresji z Trzecią Rzeszą. Sanacja

przebiega się w świadczonym grzesznictwie organom hitlerowskim w Polsce. Zgodnie z życzeniem konsulatu niemieckiego w Toruniu miejscowe władze wojewódzkie nie chciały się zgodzić na demonstrację pierwowzmaczającą w 1934 r. Kiedy po długich targach udzieliły swego zezwolenia, ta zobowiązała miejscową P. P. S. do tego, że w pobliżu konsulatu niemieckiego uczestnicy pochodu nie będą śpiewali żadnych pieśni. Słowa dostrzymano. Tak się jednak stało, że gdy pochód przechodził ciek kon-
sultatu, murzyńskiem wprost same trąby zagrały: „Wykłęty, powstań, synu ziemi! Powstańcie, których głędy głędy!”. Wobec tego nastąpiła wymiana korespondencji pomiędzy „Unter den Linden” a ulicą Wierzbową, pomiędzy ulicą Wierzbową a ówczesną Alcją Szucha, siedzibą Min. Wyzn. R.-l. i Ośw. Publ., gdzie Adam Kołodziej miał własną kartotekę, a opinię zastrzeżonego partyjnika, warchoła i awanturnika. W rezultacie Kołodziej znowu zmienił miejsce zamieszkania, przeniesiony bowiem zostaje po raz trzeci z Torunia na Polesie.

Kilka sanacyjna aszaleje i dewastuje szkolnictwo. Kołodziej bierze i nadal czynny udział w życiu Z. N. P. Na terenie Pomorza i Poznańskiego sgrupowała się znaczna ilość przeniesionych nauczycieli „dla dobra szkoły” (Kołodziej, Wasyluk, Rusin, Kamia, Obariski, Wycech i inni). Z ich to inicjatywy na zjeździe okręgowym w Poznaniu w r. 1933 zgłoszono demonstracyjny wniosek skierowany przeciw urzędującemu wówczas premierowi, Januszowi Jędrzejewiczowi, o skroślenie go z listy członków Z. N. P. Odpokotowali za to przede wszystkim Kołodziej i Wasyluk w ten sposób, że mimo wolnych statów nie przeniesiono im do miejsca pracy żon z Podlasia na Pomorze. Do nich to istotnie można zastosować słowa Słowackiego: „Zem nigdy nie znalazła rodzinnego domu, zem był jak pial-grzym, co się w drodze trudzi przy błaskach gromu!”.

Uniał się i Kołodziej mieć po swojemu. Świadomość niedulnego rządzenia i bezprawia, które winno wywołać reakcję, tkwiła w poczuciu sanacji, która podejrzewała ona ludzi o zamiary, które im w ogóle i do głowy nie przychodziły. Kiedy Kołodziej wraz z innymi podpisanymi zatrzymał się w r. 1935 w Krakowie w przejeździe do rodziny leczącej się w Rabce, to zaraz następną, po zameldowaniu się, nocy do hotelu zgłosiło się kilku jegomościów grzesznictwa, co prawda, prosiących o dokumenty, wymienienie celu i powodu podróży. Ofiarowaliśmy im do przejrzenia tecki, walizki i garderobę, ale odmówili. Dwóch z nich pojechało za nami do Rabki i kiedy wędrowaliśmy na Turbacz, widzieliśmy ich stale w pewnym oddaleniu. „Wiesz co, Adas — powiadam do Kołodzieja — a może wyhierujemy się w Tatry? Podwójna korzyść: i wycieczka zawsze miła, i ci drabanci utyją. Na Lodowy nie sąjdą, żal mi ich, chociaż upiśle, ale zawsze ludzkie, ale na Świnicę przez Zawrat? Co? (Kolejki na Kaspro-

wy jeszcze wtedy nie było.) Adamowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać; nie chciał już wrócić z Nowego Targu, dokąd zawędrowaliśmy z Turbaczem, ale niezwłocznie pojechaliśmy do Zakopanego. W Kuźnicach, na drugi dzień, granatowy policjań grzecznie nas wylegitymował, zapytał o cel wycieczki i odjechał na motocykła, a niebawem za nami znowu szły się dwa znane nam cienie. Spotkaliśmy się ze swymi aniołami stróżami na szczytach Świnicy. Współtowarzysze podróży sacnęli się nas wypytwać o Wincentego Witosa, Hermana Liebermana, a z bliższych znajomych o dra Bolesława Drobuera w Krakowie. Umiano nas za łączników pomiędzy krajem a emigracją. Gdyśmy ruszyli ku dolinie Pięciu Stawów, jeden z naszych opiekunów o mało nie spadł przy lasuchach na Świnicy i Kołodziej go uratował. W drodze smoczył nas deszcz. Nie zapamięnę zadowolonej miny Kołodzieja z widoku przemoczonych do ostatniej nitki agentów i jego pytania do nich skierowanego: — Przyjemnie i słodko jest śniać maślankowi, co?

Toteż i w Toruniu A. Kołodziej długo nie popasał. Przeniesiono go w r. 1937 z Pomorza na Polesie do Różan, pow. Kosowskiego i obiecano przenieść mu do tej miejscowości żonę. Przybywszy do dóbr ka. Radziwiłła Kołodziej zdziwił się, że zarówno służba folwarczna jak i leśna nie jest zawodowo zorganizowana, nie otrzymuje unormowanej prawem ordynarii i wypłaty. Niebawem związki zawodowe powstają, ale w ślad za nimi wybuchają wśród służby w powiecie kosowskim strajki, krąży „Chłopska Prawda”, czasem „Błyski Wolnościelickie”. Ugodzeni zostali obszarnicy z ks. Radziwiłłem na czele, kler wesełł, wyznań, zwłaszcza że Kołodziej w klasie przed lekcjami się nie śniwał, a tylko kazał odmawiać modlitwę dzieciom, dzieci nie tylko do kościoła albo cerkwi, ale nawet do bóżnicy nie chciał prowadzić i, co gorzej, w piątek wieczorem organizował dla robotników żydowskich odczyty odcinające ich od bóżnicy. Pożypył się skargi, śledztwa, Kołodziejowi zagrożono nowym przeniesieniem. Władze szkolne były jednak w kłopotcie, dokąd mają wroczenie przenieść Kołodzieja. Dla Polaka nauczyciela-socjalisty za czasów sanacji i Ozonu nie było już w Polsce miejsca do pracy! Cłycha Bereza, czym niejednokrotnie Kołodziejowi grożono.

Na przeszkodzie do nowego przeniesienia stanęła jednak wojna. Kołodziej nie może przebywać ani w Toruniu lub w Chojuleach, przyłączonech, jak wiadomo, do Rzeszy, tym bardziej w Łukowie, gdzie jest zbyt wszystkim znany jako socjalista. Przyjmuje więc posadę pracownika biurowego w „Społem”. Osiada w Sokolowie, potem w Węgrowie, ale w ślad za nim sunie po ziemi śledczy pyk Gestapo i oplątuje go ścieś prowokacji. Najbliżsi przyjaciele, jak Ludwik Mikiel, również ofiara Majdanka i Oświęcimia, zasłużony socjalista pracowniczy, jak Władysław Okulas

zwracają uwagę na kręcące się koło banku „Społem” mocno podejrzane figury. Było już jednak za późno! W dniu 7 lipca 1941 r. Gestapo otoczyło dom. Kołodziej, widząc się osaczonym, wieksza oknem ku szarołom nadrzeźnym, ale, trafiony kilkoma strzałami i po bestialskim poturbowaniu, wywieziony zostaje do Siedlec, następnie na Pawiak, potem do Oświęcimia jako ciężki przestępca polityczny, jak zakomunikowano starając się o wypuszczenie żonki. W dniu 3 listopada 1942 r. umiera i spalony zostaje w krematorium.

„Żo nie wiem, gdzie się w mogile położył...”

Zbrodnicę hitlerowski wiedział, co robi, sglądził nie tylko Polaka, ojca kilkorga dzieci, wyrządnął polskiej demokracji i Polskiej Partii Socjalistycznej krzywdę.

Kołodziej początkowo głęboko interesował się zagadnieniami dydaktycznymi, czego dowodem ukończenie Wyższego Kursu Nauczycielskiego. Wprowadzane do klas przez niego innowacje w postaci drukarek, listów międzyszkolnych wśród młodzieży cieszyły się uznaniem. Zainteresowania te, które wzbogaciłyby poleką praktykę dydaktyczną, w miarę zrykan i represji, jakie szczególnie na Kołodzieja spadały, kierowały się w inną stronę. Kołodziej doskonale rozumiał, że nie czas w okresie potężnych zmagañ się ideowo-politycznych poświęcać energię na rzeczy ważne, ale w czasach normalnych, a mniej istotne w okresie walki. Walczy i działa piórem, jest bowiem do czasu przeniesienia z Łukowa redaktorem „Gazety Łukowskiej”, dawnego „Drwoni”, a później „Podlasia” pisma wydawanego przez oddział Z. N. P. w Łukowie. Pismo to prowadził po Kołodzieju Stanisław Brzozowski. Kołodziej doskonale rozumiał, że istotny postęp myśli i praktyki pedagogicznej zależy od zwycięstwa demokracji, do czego wiedzie droga poprzez pokonanie sanacji i głębokie uświadomienie polityczno-obywatelskie mas. Tej koniecznej dla wszystkiego innego, a więc i postępu polskiej myśli i praktyki pedagogicznej, idź całkowicie się poświęca i o nią walczy z uporem; chociaż był przez dwa blięko dziesięć lat szczególnie atakowany i prześladowany, to za cztą trzeba przyznać, że się nie zahamał ani wobec sanacji i Ozonu, tym bardziej zaś wobec sadytów hitlerowskich. Jakby dzisiaj realizował wzór nauczyciela-socjalisty, jakie szerokie miały pole do utrwalania istotnej jedności narodu, jedności ludzi pracy, współpracy nauczycielstwa z klasą robotniczą i chłopami.

Niestety, odwieczny wróg narodu polskiego zamierdował go w kaźni oświęcimskiej, spalił ciało jego w krematorium, aby nawet głonie kochającej zawsze żony i pozostałych sierot nie mogły rzuć czerwonej róży, symbolu miłości, a przyjaciele, towarzysze partyjni i koleśdy — psowego goźdaika, ukochanego i przez Adama znaku polskiego socjalizmu, go-

lita walki o wolność i sprawiedliwość społeczną. Niechaj więc te kilka słów o nim będzie dowodem naszej dla niego czci i pamięci „Non omnis moriar”.

Adam Kłodziej urodził się w dniu 24 grudnia 1901 r. w Czaplechowcu, gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej i do gimnazjum, po którego ukończeniu zostaje w 1921 nauczycielem publicznych szkół powszechnych, Kończy Wyższy Kurs Nauczycielski. Aresztowany na początku lipca 1941 r. w Węgrowie, ginie w dniu 3 listopada 1942 r. w Oświęcimiu.

Wacław Polkowski

ANTONI KONEWKA

(† 1944)

Kiedy sięgam wspomnieniami do pierwszych lat ruchu nauczycielskiego w Kongresówce i myślę o tych czasach, to stają mi przed oczyma sylwetki ludzi, którzy już wtedy wysunęli się na czoło prac jawnych i tajnych odgrywając poważną rolę. Były to lata poprzedzające r. 1905. Później ci ludzie prowadzili niejedną odpowiedzialną, często pionierską pracę, zarówno w Polsce zrywającej się do walki o wolność jak i następnie w Polsce Niepodległej. Wśród wielu kolegów, których pamiętam, Antoni Konewka był indywidualnością wyjątkową. Obdarzony dużą inteligencją, doskonale orientował się w ówczesnych stosunkach społeczno-politycznych. Osobiste zalety charakteru czyniły go postacią mile widzianą w kółkach konspiracyjnego nauczycielstwa. Dla prawości i solidności swojej darzony był w tym środowisku wielką sympatią i szacunkiem. Zawzięcie miał pogodę i uśmiech na twarzy, gdy witał spotykanych przyjaciół i towarzyszy wspólnych prac. Oblicze jego znamięnowało wolę, oczy mówiły o głębi myśli i o planach, które ciągle snuł. Był to bowiem człowiek czynu. Z predyspozycji intelektualista, posiadał zarazem duszę wrażliwą na piękno, kochał przyrodę i sztukę, grał ładnie na skrzypcach. Serce miał szlachetne, dobre, tkliwe. Był to umysł twórczy, głównie pociągły za wielkie idee praktycznych prac oświatowych i kulturalnych. Jakby z urodzenia oświatowiec i realizator wielkich planów w tej dziedzinie. Systematyczny w działaniu, dociekający wszystkiego wnikliwie, analizujący każde interesujące go zagadnienie, obcy wszelkiej powierzchowności i płytkości, roztaczał wokół siebie atmosferę poważnego czynu.

Zanim padł w czasie powstania pod gruzami plonącej Warszawy, przeszedł piękną drogę swojego życia. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Siemnicy 1902 r. stanął do trudnej w ówczesnych stosunkach pracy w szkole fabrycznej w Łyszkowicach pod Łowiczem. Poważnie tę pracę Konewka pojmował, widział w niej postereunek służby dla narodu wbrew intencjom rządu zaborczego. Jego pobyt w seminarium przy-

wybitny udział w pracach i walkach tego okresu. Z jego inicjatywy odbywa się zjazd nauczycielstwa powiatu łowickiego w Łyszkowicach i spada na nim uchwała inspirowania rodziców, aby dzieci ze szkół zabierali i śgali nauczania wyłącznie w języku polskim.

Wkrótce jednak forma i taktyka walki o szkołę polską zostały zaostrzone i radykalizowane. Nauczycielski ośrodek dyspersyjny zdecydował działać bojowo, postanowił więc wezwać nauczycielstwo ludowe całego kraju do rozpoczęcia nauki w szkołach wyłącznie w języku polskim. W tym celu zwołano na dzień 1.X.1905 r. do Pilszkowa pod Łowiczem tajny zjazd delegatów nauczycielstwa całego kraju, mimo stanu wojennego. Obrady toczyły się przez dzień cały, obok licznych mówców przemawiał gorąco i Konewka za koniecznością zdecydowanej walki, którą też uchwalono podjąć. Uczestnicy zjazdu zobowiązali się objechać cały kraj i przygotować do akcji nauczycielstwo przydzielonych im okręgów. Konewka wraz z B. Wojnarowskim organizował gubernię warszawską. Na dane hasło od 1 listopada obzrymia ilość nauczycielstwa w całym kraju prowadziła naukę w szkole już tylko wyłącznie w języku polskim. Stan taki utrzymywał się kilka miesięcy, świadcząc wymownie o rewolucyjnym czynie nauczycielstwa ludowego. A. Konewka szedł w pierwszych szeregach tej pamiętnej walki. Były wprowadzić liczne ofiary ze strony nauczycielstwa, ale ich kosztem zdobyto rozszerzenie praw języka polskiego.

Po 1905 r. Konewka przeniósł się z Łyszkowic do Włocławka i tam rozwijał dalszą działalność społeczno-polityczną, a jednocześnie utrzymywał bliższe stosunki z Warszawą jako centrum wszelkiego ruchu. Spotykał się wtedy z nim dość często. Nie należał on do Polskiego Związku Ludowego, w którym skupiała się większość jego przyjaciół z Ludowego Koła Oświaty, wszakże stale okazywał współdziałanie z jego działalnością: kolportował pisma, odczyty i wszelką „literaturę”. Sam gravitował do PPS, która odpowiadała mu więcej ze względu na środowisko jego pochodzenia, ale zarazem też dlatego, że partia ta, również jak i Polska Związek Ludowy, w programie swoim na naczelnym miejscu stawiała postulat walki o niepodległość, z czym Konewka wiązał się głęboko całym swoim życiem.

Konewka nie lubił zmieniać miejsc pracy, wolał ustalić się w jednym miejscu, poznać środowisko, żyć z nim i rozpracować. I prawdopodobnie we Włocławku pozostałby dłużej, gdyby nie pewna okoliczność, która spowodowała, że po paru latach przeniósł się do Żbikowa pod Pruszkowem, aby objąć tu kierownictwo prywatnej szkoły. Kolej warszawsko-włocławską w latach poprzedzających pierwszą wojnę była własnością prywatnego konsorcjum, nie rządu rosyjskiego. Jej akcjonariusze zdecydowali się na piękny czyn, postanowili złożyć przy warunkach

pada na okres, kiedy tendencje i zabiegi rusyfikatorskie carskiego rządu doznają całkowitego bankructwa. Do seminariów bowiem przyniknęły wpływy polskie i opanowały je. Ośrodki tajnych pras, działające z Warszawy, przygotowywały już w tym czasie seminarzystów do służby dla własnego narodu. Z tych szkół wychodzić będą nowi nauczyciele o różnym moście tylko stopniu aktywnego nastawienia do pracy społecznej. Pracując w szkole Konewka pracuje zarazem nad sobą: uczy się pogłębiać swoją wiedzę, przede wszystkim w zakresie nauk społecznych i ekonomicznych, wiedzę o Polsce, studiuje matematykę, uczy się języków, a jednocześnie utrzymuje żywy kontakt z Warszawą, z jej kolonią wyzwoleńczo-niepodległościowymi.

W tym czasie niezliczni działacze społeczni, ci sami, którzy dotarli do seminariów, łącząc już z grupą młodych nauczycieli organizują corocznie w czasie ferii świątecznych i wakacji tajne zjazdy nauczycielkie w Warszawie. Zadaniem ich było pogłębianie kontaktów, zjednywanie nowych uczestników, rozszerzanie wpływów, wykłady, referaty, dyskusje, opracowanie programów prac nad sobą i wśród ludu. Konewka zawsze uczestniczył w tych zjazdach, jego referaty wyróżniały się trafnością sędzicia i poziomem. Kierowniczą inicjatywę tym pracom nadawało Ludowe Koło Oświaty skupiające działaczy ludowych oraz nauczycielstwo postępowe. W nim krystalizowały się wszelkie poczynania, tu opracowywane były plany i sposoby ich realizacji. Chodziło wtedy bardzo o poruszenie i uaktywnienie dla pracy społecznej jak najszerszych mas nauczycielstwa ludowego. W tym celu na wiosnę 1905 r. z inicjatywy Ludowego Koła Oświaty ukazał się „Kwestionariusz do nauczycieli ludowych” w opracowaniu właśnie Antoniego Konewki. Forma niewinna kwestionariusza doskonale nadawała się do tego celu. Szeregami usystematyzowanych pytań Konewka uświadamiał nauczycielstwu wsi i miast potrzebę różnych prac, podsuwał sugestie, budził nastawienie i kierował ich uwagę na wiele spraw otaczającego życia. Jak przekonaliśmy się potem na zjazdach i z odpowiedzi „Kwestionariusza”, praca Konewki dała doskonale wyniki, pozwoliła sformułować stan pracy społecznej i oświatowej nauczycieli wśród ludu oraz ustalić najpilniejsze jej potrzeby.

Pierwsze lata pracy nauczycielskiej A. Konewki zbiegają się z okresem wyjątkowo trudnym, ale i ważnym. Był to czas dokonywających się i głęboko sięgających przemian politycznych, nurtujących prądów rewolucyjnych i związanych z nimi nadziei. W te lata niezwykłe przed społeczeństwem polskim wyrastają nowe problemy i zadania. Nadciągająca rewolucja 1905 r. i wprowadza do życia wstrząsy. Na widownię występują niezamane dotąd czynniki. Nauczycielstwo, szczególnie to młode, nie pozostaje bierne, uczestniczy w ogólnym ruchu, bo czuje się już odpowiedzialne za losy szkoły i kultury narodu. A. Konewka również bierze

kolejowych szkół dla dzieci liosnych swoich pracowników. Kuratorem szkoły z ramienia kolei był znany szerokiemu społeczeństwu działacz oświatowy inż. Stanisław Michalski. On powołał kierownictwo szkoły właśnie w osobie A. Konewki, który cieszył się w kołach nauczycielskich i oświatowych Warszawy opinią dobrego organizatora i pedagoga. Angażując na to stanowisko Konewkę inż. Michalski działał nieomyślnie. Szkoła kierowana rękami zasłużonego już działacza, jakim był A. Konewka, rozwijała się świetnie i zyskała opinię wzorową.

Wkład umiejelnej, ideowej pracy w dzieło szkoły po paru latach dał dobre wyniki zamaczające się podniesieniem ogólnej kultury środowiska robotniczego. Jego szkoła była nie tylko placówką wychowującą młode pokolenie, ale zarazem i ogniskiem promieniującym wokół. Konewka nie zamykał się wyłącznie w kręgu pracy szkolnej, ale w dostępnym sobie zasięgu przetwarzał i podnosił otoczenie poprzez odczyty, kursy itp.

Konewka wrastał pracą coraz głębiej w środowisko Żbikowa. To, co prowadził, pogłębiał i rozbudowywał i stałe miał nowe zamierzenia i plany działalności. Przy tej pracy zastaje go wojna światowa 1914 r. Nie schodzi z posterunku, trwa i pracuje. Wojna powoduje wielkie zmiany w życiu polskim. Po ustąpieniu w sierpniu 1915 r. carskiego najezdźcy i przyjeździe okupanta niemieckiego przed społeczeństwem stanęły nowe zadania, przede wszystkim w dziedzinie jednej z najważniejszych: podnoszenia oświaty i kultury najszerszych mas. Zaraz w 1915 r., jako emanacja społeczeństwa Warszawy, powstaje Komitet Obywatelski o stosunkowo szerokich kompetencjach. Organem jego staje się powołany do życia Wydział Oświecenia Publicznego kierujący szkolnictwem wszelkich typów. W ramach Wydziału Oświecenia, z inicjatywy Stanisława Michalskiego, utworzona została Sekcja Oświaty Pozaszkolnej m. Warszawy, która potem przejęła była przez magistrat. Na stanowisko kierownicze w tej tak ważnej instytucji organizatorzy uprzyli i powołał Konewkę. Rozpoczyna się teraz nowa, specjalna jego działalność — kształcenie dorosłych, któremu oddaje się już całkowicie do końca życia. Konewka staje się stopniowo wybitnym działaczem oświatowym w dziedzinie kształcenia dorosłych, te problemy będą go żywo interesować i pochłaniać. Oświata dorosłych ma w nim swojego wielkiego znawcę, ordynownika i organizatora. To są chyba najpiękniejsze i najbogatsze karty jego życia, choć i innych było wiele.

Na stanowisku kierownika Sekcji Oświaty Pozaszkolnej Konewka zabiera się do pracy z całą energią i powagą. Ustala wraz ze swoimi najbliższymi współpracownikami credo oświatowe, które będzie dalej przewodnią zasadą pracy wyznającą pojmowanie charakteru służby. Oto jego istota: „Dla pracy kulturalno-oświatowej rozwój osobowości ludzkiej jest celem samym w sobie, bowiem wówczas postawa społeczna

I obywatela całowika kształtują się swobodnie i harmonijnie". A więc przewodnią ideą była bezinteresowna służba dla całowika szukającego wiedzy, praca bez jakiegokolwiek innych ubocznych celów.

Konewka kieruje Sekcją Oświatową Dorosłych m. st. Warszawy około 15 lat i doprowadza jej pracę do rozkwitu. Wielkie, milionowe miasta odziedziczyło po saborszych rządach smutną spuściznę — analfabetyzm. Wolną stolicę czekała więc wielka praca: uczyć, kształcić, podnieść szarego całowika w kulturze i praca to pomnażała twórcze siły narodu. Tym zadaniom i celom służy oświata dorosłych. Konewka świetnie wyczuwa jej potrzeby, przynika jej i ogarnia bystrym umysłem. Pod jego kierownictwem powstają ucelalnie różnych typów: kursy, szkoły, uniwersytety, upełniają je świetlice, biblioteki, wycieczki krajoznawcze, wczasy. Tyśiące młodych i starszych ludzi corocznie przechodzi przez pracę oświatową i otrzymuje wiedzę. Oświata dorosłych w Warszawie nierozdzielnie wiąże się z nazwiskiem Antoniego Konewki. Heć ognisk myśli i czynu rozpałły jego ręce! I choć później, nie bez żalu, odszedł na inne stanowisko, pozostały po nim najpiękniejsze wzory i tradycje, które przyświecały następcom.

Praca oświatowa dorosłych długo była na dorobku, jej biura mieściły się początkowo w skromnych pokojkach przy ul. Kruczej 21, a przecież była to wielka rzecz. W ciężkim trudzie, pochylony nad biurkiem, zatopiony w myślach, wypracowywał tu Konewka plany prac oświatowych na dziś i na przyszłość. W pierwszych latach Sekcji Oświaty Dorosłych Konewka wspólnie z najbliższymi towarzyszymi prac powołał do życia Centralne Biuro Kursów dla Dorosłych. Była to placówka stawiająca sobie za cel, obok techniczno-organizacyjnych zadań i poradnictwa, także pracę badawczą nad ustaleniem naukowych podstaw nauczania dorosłych. Później Centralne Biuro Kursów dla Dorosłych przekształciło się w Instytut Oświaty Dorosłych rozszerzając zarazem podstawę swojego działania.

Konewka wywierał osobliwy wpływ na wielki zespół nauczycieli pracujący w oświacie pozaszkolnej. Miał wiarę w całowika, w jego najlepsze pierwiastki, do nich się odwoływał i na nich budował. Ten stosunek zachęcał i podnosił ludzi, podtrzymywał i dodawał sił w ciężkiej, a jakże często ofiarnej pracy. Wpływem całej swojej osobowości wychowywał Konewka szeregi pracowników oświatowych i w tym jest wielka jego zasługa. Sam cieszył się powszechnym szanowaniem, otaczany był szczerym szacunkiem nauczycielstwa i pracowników biurowych. Z nim miałem szczęście i ja długo pracowałem, dzieląc smutki i radości. Pozostał w moich wspomnieniach jako wybitny oświatowiec, wierny towarzysz prac i serdeczny kolega.

Pamiętam, gdy odchodził ze stanowiska kierownika oświaty pozaszkolnej, siedł za nim szczerzy śal wszystkich z nim w tym szkolnictwie pracujących. Odbył się pożegnalny wieczór, w którym wzięło udział całe nauczycielstwo szkół oświaty dorosłych. Przybyli wszyscy, bo wszyscy pragnęli się z nim sercem w ten niezwykły moment pożegnania. Wręczono mu skromny upominek. Gdy w imieniu zebranych przemówił najstarszy wiekiem kierownik szkoły Mikołaj Nakonieczny, dziękując Konewce za to, co dał, i krzując jego dla oświaty zasług, to głębokie wzruszenie ogarnęło wszystkich, a spotęgowało się jeszcze więcej, gdy on sam z uczuciem serdecznym przemówił. W ten wieczór pożegnania oddany był należny hołd szlachetnej i potrzebnej sercu pływającej.

Odszedł Konewka, ale śiew jego pozostał. Lata jego pracy w oświacie dorosłych Warszawy to piękny, twórczy jej okres. Uczestniczyli w tej pracy razem z nim wybitni oświatowcy. Pamięć przywodzi na myśl cały ich szereg, a wszyscy oni dawali swój szczerzy, ofiarny trud wspólnej sprawie budowania oświaty dorosłych: Maria Gomolińska, Władysław Radwan, Brunon Stawno, Aleksander Janowski, Stanisław Malkowski, Józef Zawadski, Maria Borowiecka, Jadwiga Jachkowska, Maria Błaszczkowska, Franciszka Grajwaka, Kazimiera Kornilowicz, Marian Godecki, Eugenia Kornilowiczowa, Maria Rörichowa, Klemens Frelek, Stanisław Sawicki i wielu innych. Większość z nich odeszła już od życia.

Ustępując z dotychczasowej placówki, nie opuścił Konewka oświaty dorosłych, objął szerze jeszcze jej kręgi. Jako wybitny fachowiec i szlachetny człowiek, został powołany przez Ministra W.R. i O.P. na stanowisko wizytatora szkół oświaty dorosłych w całym kraju. W charakterze ministerialnego wizytatora miał teraz szerokie pola pracy. Pozostając w Ministerstwie około 10 lat, aż do wybuchu wojny, szmował dla oświaty duże zasługi. Nie tylko wizytował, lecz także inicjował i przeprowadzał różne prace, organizował konferencje i zjazdy poświęcone problemom oświaty dorosłych, szczególnie różnym jej formom. Najwyższą uwagę poświęcał Konewka uniwersytetom ludowym duńskimi, szwedzkimi, angielskimi. Badał ich założenia ideowe, ich organizację, szukając w ten sposób najlepszych koncepcji dla naszych uniwersytetów. Konewka był oświatowcem o szerokich horyzontach, wiedza jego w zakresie kształcenia dorosłych była rozległa, zdobywał ją walką pracą i bogatym doświadczeniem, wciąż je pogłębiając i rozszerzając. Brał ze śródeł rodzimych, ze wskazani i ducha najlepszych naszych tradycji oświatowych, ale szukał także dobrych wzorów zagranicznych. Przebywał jakiś czas na studiach oświaty dorosłych w Anglii, zgłębiał ją, zwiadał centralne jej ośrodki w Londynie, Oxfordzie, Cambridge, wszystkich go dociekające z myślą o Polsce.

Konewka pozostawał w przyjaźni i w bliskiej współpracy z innym wybitnym oświatowcem, Kazimierzem Kornilowiczem. Wiele drogich wieczerów poświęcił oni wspólnym naradom nad potrzebami polskiej oświaty. Owocem tych narad i przemyślań był ufundowany w ciągu paru lat Dom Oświatowy przy ul. M. Reja 9 w Warszawie. Trudności w jego dźwignaniu były wielkie i tylko dzięki umiłowaniu sprawy i wytrwałej woli obydwu podjęte dzieło doprowadzone zostało do końca. W Domu Oświatowym znalazły siedzibę i zogniskowanie swoich prac różne pokrewne instytucje: Instytut Oświaty Dorosłych, Związek Teatrów Ludowych itp.

Przez dłuższy czas Konewka redagował miesięcznik „Praca Oświatowa” poświęcony sprawom kształcenia dorosłych. „Praca Oświatowa” utrzymana była na wysokim poziomie, zabierali w niej głos i wypowiedzieli się liczni działacze oświatowi. Programowe i angażujące artykuły przeważnie pisał on sam. Często ukazywały się w jego tłumaczeniu cenniejsze artykuły z angielskich pism oświatowych.

Doceniona była bogata wiedza Konewki w dziedzinie oświaty dorosłych. Aby ją wykorzystać, powołany był do wykładów w Studium Pracy Społeczno-Oświatowej Wolnej Wszechnicy Polskiej. W niejednej dziedzinie prac oświatowych Konewka był pionierem, wytyczał drogi, wskazywał potrzeby. Widział lepiej, niż wielu innych, że przed oświatą dorosłych w Polsce leży jeszcze długa droga i trud, czekając na rozpoczęcie liczne zagadnienia naukowe, które powinny być podjęte i przeprowadzone, by nie pozostać się w pracy po omacku i nie błądzić. Jako najpilniejsze dziedziny do studiów i opracowań wykazywał: pogłębienie pedagogiki, dydaktyki i metodyki nauczania dorosłych, studia nad psychologią i typologią dorosłych słuchaczy, nad socjologią środowisk, z których rekrutują się słuchacze, nad problematyką, bibliografią, nad filozofią nauczania dorosłych. A więc poważna praca. Do niej nawoływał i potrzebę jej uzasadniał.

Przyszła wojna wraz z długą krwawą okupacją i wszelkim marnowaniem, planom i pracom krewa położyła. Rozszalała się furia niemiecka. Wszystkie prace zostały zdławione, a wybitni działacze oświatowi pracownicy zginęli. Straty są wielkie, nie podobna ich tu wylizywać, wymienić tylko parę nazwisk: Kazimierz Kornilowicz zginął w 1939 r. w Lublinie od polskiego w czasie walk, Aleksander Patkowski zamordowany w Oświęcimiu, Aleksander Janowski zmarł w czasie powstania z wyczerpania sił, Jerzy Cierniak zamordowany w Palmirach, Faustyn Czerwijowski zginął w powstaniu.

Konewka przetrwał strasliwą okupację, trwał i pełnił dalej swój wielki obowiązek wobec Polaki. Przez pierwszych parę miesięcy okupant

Jeszcze tolerował pozory polskiej władzy w sukolnictwie, jednak pośrodkiem „smratów”. Delegat Ministra W.R. i O.P. Kazimierza Sierłgowskiego na krótko przed wywiezieniem go do obozu w Oranienburga powołał Konewkę na stanowisko kuratora Warszawskiego Okręgu Szkolnego. Trudny ten obowiązek Konewka przyjął przewidując jednak, że to będzie trwać krótko. Tak się też stało. Niemcy silił się dobrać Kuratorium, wtedy Konewka szedł z pracą w podziemię, by służyć Sprawie Wolności. Najpierw pracował w tajnym szkolnictwie, potem był skarbnikiem w Departamencie Oświaty i Kultury Delegatury Rządu. Głównie kolewki był, zawsze z całym sił swoich służył walce o wolność człowieka w walnej Polsce. Wyrwał z walki z czarkim uciekiem, praca i walka były treścią całego jego życia.

I oto teraz wszystko już dobiegało końca. Powstanie zastało go na Mokotowie na ul. Maleszewskiego 5, gdzie mieszkał. Tu padł pod koniec powstania wraz z rodziną — żoną i córką — pod gruzami walącego się od bomb domu.

Gdy powróciliśmy w 1945 r. z wygnania do Warszawy, szara na wiosnę podjęliśmy poszukiwania zwłok poległych naszych towarzyszy pracy i walk. W kwiecień ZNP ekshumował na Żoliborzu i pochował na Powązkach swojego przecza Zygmunta Nowickiego. Potem rozpoczęliśmy starania, by odgruzować olbrzymie zwaly sromobardowanego domu na Maleszewskiego 5 i odszukać rodzinę Konewków. Prace nie mogły być przeprowadzone zaraz, a wreszcie gdy później odwołano gruby, nie znalaziono tam Konewków, ślad po nich zaginął. Tajemnica do dziś okrywa tragedię tej rodziny. Pozostał tylko przy życiu syn, który go walkach smacznia później powrócił do Warszawy.

Dziś przed oczyma mej duszy staje Konewka w chwale swojego pięknego żywota. Kochał Polakę całą płomienną duszą swoją, kochał ją czynnie i padł pod gruzami umiłowanego behaterskiego miasta. A jednak jest coś bolesnego w tym, że nie udało się odnaleźć prochów jego, by publicznie w pogrzebie hold im oddać. Nie poszli ślubnym orszakem za jego trumną koleśdy i towarzysze całego życia, nie odprowadzili go na jaśnie drogę wieczności ku cmentarnym bramom Powszek. Utuliła go gdzieś inna garść ziemi polskiej.

Antoni Konewka przejdzie do historii oświaty i kultury polskiej jako dobrze zasłużony. Duch jego jasny rozsiadł po drogach życia i pracy tyś sięgo promiennych iskier światła i dobra. W tej niewieście żyje on sam, żyje w każdym czynnie, we wszystkich pięknych dokonaniach tych, którzy brali od niego na drogi swojego życia święte przykazania wiernie służyć i pracy dla Polaki.

Karol Klimek

JANUSZ KORCZAK*)
(1880 — 1942)

Janusz Korczak zginął w pierwszych dniach sierpnia 1942 roku podczas likwidacji getta warszawskiego. Wraz z grupą innych małych wychowawców z Domu Sierot przepędzony został przez ulice Warszawy na trw. Umschlagplatz, czyli miejsce załadunku transportów śmierci i stamtąd wywieziony na straconie. Propozycji indywidualnego zwolnienia i ratowania się nie przyjął. Zginął wraz z dziećmi jak kapitan tonącego okrętu.

Zaczynam to wspomnienie od śmierci wbrew kierunkowi czasu i wciśnemu przebiegowi życia. Stalo się bowiem tak, że legenda, która powstała wokół śmierci Janusza Korczaka, wielbiąc jego męczeństwo i podnosząc go do bohaterkiej roli ofiarnika, przesłoniła sobą w pewnym stopniu jego poprzednie życie, gloryfikując i rozślawiając zgon. Zadaniem historyka czy biografy będzie jednak przypomnieć i ujawnić to życie ofiarowane już wcześniej, u szczytu młodości sprawie dziecka i jego wychowania, a pominięciem celów osobistych.

J. Korczak miał sześćdziesiąt dwa lata, kiedy zginął. Urodził się więc w latach osiemdziesiątych w Warszawie. I znów, wbrew schematowi losów ludzi pochodzenia żydowskiego, urodził się daleko od zagadnień i granic getta, w którym zginął. Pochodził z rodziny asymilowanej i kulturalnej, o tradycjach i obyczajowości polskiej; był synem znanego adwokata. Kształcony starannie, obdarzony bogatą szkołą wyobraźni, łączący talent literacki, wysokie poczucie humoru i liryzm z poważną skłonnością do nauk ścisłych, wystartował w życie pełne wszelkich możliwości i obietnic ambitnych urzędywzięcieli.

Poszytywił zawążył na jego młodościowych decyzjach i kazał mu wybrać zawód lekarza i cel służby społecznej. Młoda Polska dała mu rosgłos rewolucyjnego, oryginalnego, esytanego i dyktowanego pisarza. Około r. 1907 Henryk Goldsmid, znany już podówczas, pod pseudonimem Janusza Korczaka, rezygnuje już po latach studiów zagranicznych z praktyki lekarskiej, po pierwszych książkach i sukcesach — z dalszych perspektyw kariery, postanawia nie zakładać własnej rodziny i poświęca się wychowaniu dziecka.

Wszelkie wrodzone dyspozycje jego serca i umyłu zbiegają się przy tym jednym zagadnieniu. Od tej chwili zarówno życie osobiste zamyka się w ramach sierocińca, jak medycyna i literatura służą sprawie ma-

*) Książka Hanny Morikowicz-Olszkiej pt. „Życie i śmierć Janusza Korczaka” ukazuje się w najbliższym czasie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. (Przypisek Redakcji.)

tego człowieka. Pedagogika, traktowana praktycznie, weblana w życie na terenie trzech z kolei sierocińców, pedagogika będąca zarówno treścią utworów literackich dla dzieci i o dzieciach, jak dzieł teoretycznych i wykładów, weblana w siebie i transponując wszelkie pomocnicze źródła wiedzy, talentu i uczucia. Dziecko — cudze, zazwyczaj dziecko skrzywdzone i słabe, dziecko proletariatu staje się tematem badań i książek, eksperymentów i reform, towarzyszącemu dni rodzinnym, jedyną miłością życia Janusza Korczaka.

U wstępu skorygujemy tu powszechnie panujące mniemanie: dziecko — nie tylko dziecko żydowskie. Twarde prawa życia społecznego i politycznego, kłęką wojny uczyniły z Korczaka opiekuna żydowskich sierot i niepełnospełnia getta. W istocie, ze skłonności i założenia wypowiedział się on i wyładowywał w uczuciu do każdego dziecka, bez różnicy narodowości i rasy. Dwie pierwsze jego książki dla dzieci traktują równorzędnie temat kolonii leśnych dla chrześcijańskich i żydowskich dzieci. I u schyłku życia w epoce najgorszych zadrzań rasowych stwierdza, że zawsze równie drogie były mu Jaski jak Jaski. Z trzech sierocińców, które w ciągu życia prowadził — jeden: Dom Sierot na Krochmalnej był przeznaczony dla dzieci żydowskich, dwa: Przytulisk przy ul. Bogoutowskiej w Kijowie w latach 1916 — 1918 i Nasz Dom, założony w Pruszkowie, a następnie przeniesiony na Białany — były domami dzieci polskich. Cała twórczość Korczaka tematami swymi dotyczy dzieci polskich, wyraża umiłowanie do polskiego języka i do ziemi, i miasta rodzinnego.

W listach z ostatnich lat stwierdza szczerze, że problem: człowiek — przelaniany dla niego zawsze problem: Żyd. Tak więc związek Korczaka z żydowskim dzieckiem, śmierć jego solidarna z żydowskim męczeństwem wynikały z okrucieństw czasu, który z roku na rok pogłębiał konflikty rasowe i separatyzm narodowy. Z bajkota, który odpychał Korczaka od płocówek, na których mógł działać dla wszystkich i ograniczał wielokrotnie pole jego akcji. Wreszcie z poczucia dumy i honoru, i gorzkiej solidarności, która kazała mu się poświęcić bardziej skrzywdzonym i pogardzanym i zginąć wraz z nimi w dniu zagłady.

Nieszczęśliwie jednak od swej działalności filantropijnej i swiżaków, które łączyły go z Domem Sierot na Krochmalnej, Korczak działał i udzielał się jako pisarz, pedagog, prelegent na wielu polach. Działalność ta wzmacnia się po okresie przerwy wojennej 1914 — 1918, wraz z powrotem z Kijowa do kraju. W czasie tym rozpoczyna Korczak prowadzenie dwóch sierocińców — na Krochmalnej w Warszawie i w Pruszkowie. Jest wykładawcą na Studium Pedagogiki Specjalnej i współpracownikiem pisma „Szkoła Specjalna”. Później wyklada na Wolnej Wszechnicy Polskiej, jest biegłym w sądach dla nieletnich, tworzy jedyny w swoim rodzaju eksperyment pisma dziecięcego pisanego przez dzieci dla dzieci, przez

kilka lat przedwojennych wygłasza przez radio słynne „gadaninki pedagogiczne i psychologiczne Staroego Doktora”.

Twórczość jego oddana zagadnieniu dziecka i wychowania, uniezależniona z czasem od panujących prądów literackich, rozwija się ciekawie i samorodnie. Książki dla dzieci i młodzieży Korczaka są rezultatem nie tylko ciekawego, oryginalnego talentu, ale najgłębszej znajomości psychologii dziecka. Od tematów czysto opisowych, jak np. „Jożki, Mośka, Struś” i „Jożki, Jożki, Franki” przechodzi Korczak do utworów, które są obrazem nie tylko życia codziennego, ale i transpozycją ambitnych chorągwi dziecięcych.

„Sława” to historia trojga dzieci z warszawskiego podwórka zaplątanych w twardą i nieprzychylną rzeczywistość dorosłych. Dzieci te postanawiają być sławne. Życie koryguje ich zbyt wygórowane ambicje, ale daje im sławę pożyteczną na miarę dostępnej codzienności. Dalece utwory: „Król Maciuś” czy „Kajtuś” — to już fantazje, utopia i tragiczny koniec państwa rządzonego przez dziecko i dzieci; fantastycznie przygody Kajtusia to sześcienne rojeń ambitnych i trudnych chłopców, którzy marzą i chcą, a którym tak trudno jest się poprawić. I wreszcie historia o upartym chłopcu — Ludwiku Pasternku sprządała te marzenia o sławie na tor realny, pokazuje perspektywy ich twórczego urzeczywistnienia przez wysiłki i pracę.

Książki pedagogiczne Korczaka zwracają się zarówno do dzieci, jak do rodziców i pedagogów. Zagadnienie wychowania dziecka jest dla Korczaka kwestią ogólnego porozumienia i starań. W konflikcie: dziecko — dorosły staje jednak Korczak zdecydowanie i twardo po stronie dziecka. Tłumaczące życiowo i przyjaźnie dzieciom „prawa życia” konieczne do zharmonizowania i skomponowania właściwego współdziałania starają się tłumaczyć i pouczać. Organizując na terenie swych sierotców małe państwa dziecięce z samorządem, sądami, sejmem, gazetą, stara się honorować i uwzględniać prawa dziecka i prawa zbiorowości, stanowić inność instynktów oraz fizycznych, nerwowych i moralnych dyspozycji.

Do dorosłych zwraca się surowo. Zaciekle walczy z ich przesądami pedagogicznymi, z teorią i schematem, z głupotą i zafacianiem rodziców, z rutyną i zarozumiałością wychowawców. Sezonem dla indywidualności dziecka, podsiw dla cudownej i tajemniczej pracy jego organizmu, podpatrywanej i notowanej ze ścisłą i czułą badawczością ucznionego, każe Korczakowi wciąż dziwić się, szukać, zastanawiać, zadawać wciąż nowe twórcze pytania. Tę drogę wskazuje także pedagogom. Uczą ich czujności, wskazując wyższość stałego doświadczenia nad teorią, uczucia nad intelektem, Korczak jedno podkreśla jako pewnik. Znaczenie każdej chwili życia jako jedynej i ważnej. Waga istnienia dziecka na każdym stopniu swego rozwoju, nie jako człowieka przyszłego, ale jako człowieka

istniejącego już, nie jako projektu na przyszłość, ale jako kolejns urzeczywistnienia. Prawo dziecka do samostanowienia, do uwzględnienia jego potrzeb, zamiłowań, uczuć i choćby proklamowane jest z bojową namyślnością w poglądach Korczaka. Zdobyć praw dla dziecka uważa on za dalszy etap po walkach o prawa chłopca, Murzyna czy kobiety.

Z drugiej strony podkreśla Korczak wielokrotnie bezradność wychowawcy wobec przeszłości i przyszłości. W sprawie wychowania celowości jest zawodna. Wychowawca nie jest zdolny walczyć z siłą instynktów przyrodzonych, z przekleństwem dziedziczności, nie wie, jak przesyłać życie obejście się z jego wychowawcą. Odpowiedzialny jest za dzień działy. Ma obowiązek koić, leczyc, stwarzać najlepsze warunki rozwoju, czystą i jasną atmosferę swego sierotcuca czy szkoły. Tak właśnie, w tym duchu organizował Korczak życie podległych mu Domów Sierot. Oparte z braku innych wzorów na formach społeczeństwa dorosłych, miały ona dać dzieciom indywidualną swobodę rozwijania się, stanowienia, chętnia przy jednoczesnych surowych rygorach organizacji.

Organizacja ta konieczna była tam, gdzie zespół dzieci rekrutował się z najrozmaitszych typów, gdzie późniejsza selekcja życia, sądu, więzienia, szpitala nie oddzieliła jeszcze elementów dobrych i złych i gdzie trzeba było właśnie w społecznym życiu wzmocnić i wygrać te pierwiastki czynne i dobre przeciw obojętnym lub destrukcyjnym.

System Korczaka oparty był na podziale małych wychowawców na klasy obywatelskie, stopniowane od niepełnego przybysza do pożytecznego obywatela czy „króla dzieci”, ustalane przez plebiscyt dziecięcy. Dyżury przydzielane były na osobiste zgłoszenia dzieci. Obowiązkowość i pracowitość — sądzona przez codzienne raporty i mierzona wedle jednostek pracy. Sądy oparte na statucie i odpowiednich paragrafach sądziły sprzeczki i przewinienia dzieci. Sejm wybrany z ogółu w osobach 25 poleń zasiadał na obrady raz do roku. Istniał poza tym notariat do spraw handlowych i zamiany, wiele ksiązek i zeszytów sprawozdawczych i wreszcie sprawy domu i świata wyjaśniała i ogłaszała cotygodniowa gazetka, do której dzieci pisywały swobodnie to, czego chcą i o czym myślą, i którą uroczystie odczytywano na cotygodniowych posiedzeniach. Dodatkowo istniało także promiowanie zasług za pomocą pamiątkowych pocztówek i zakładki, które dzieci zawierały same z sobą za pośrednictwem Doktora, wyznaczając sobie samę przewinię, których nie wolno im przekroczyć w ciągu tygodnia. Zakłady nagradzane były cukierkami.

Skomplikowany, oparty na licznych sprawozdaniach piśmieniowych i na swolistej buchalterii system wychowawczy Korczaka realizowany był na terenie dwóch sierotców przy czynnym współdziałaniu dwóch oddanych jego współpracowników Stefania Wilczewskiej i Marii Falskiej. Nie indywidualnego widzięku, czaru osobowości samego Korczaka przeniknęło na